Nowe Erotyki

Jan Napiorkowski

Tegoż autora:

U OGNISKA (wyczerpane)
TOPIELEC — nowele
GRZECH — „
SAM NA SAM — „
LIŚĆ FIGOWY — nowele
LEKCYA ŻYCIA — „
EROTYKI, serya I-a — nowele
HUMORESKI SCENICZNE
OCZY — nowele

Pod prasą:

MONOLOGI

W przygotowaniu:

SZYDERSTWA — nowele

Zygmunt Niedźwiecki

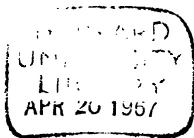
Nowe Erotyki



Lwów 1908

Nakładem Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego

Warszawa: E. Wende i Ska.



Drukarnia Narodowa N. Telza w Krakowie

Jedyne dzieło.

— W miłostkach, jak we wszystkiem, istnieją tysiączne pasye, nałogi, uprzedzenia i kaprysy, cała skala popędów i, że się tak wyrażę, specyalności, któremi kierują się w wyborze przedmiotu swoich uczuć z pomiędzy płci drugiej zarówno mężczyźni jak kobiety — mówił w gronie młodzieży tonem człowieka, podającego się w traktowanej materyi za znawcę i bywalca, łysawy mężczyzna, z miną łobuza.

— Jedni naprzykład oglądają się tylko za miłością sprzedajną, dlatego, że ta nie wymaga zachodów; drudzy na odwrót przypisują wartość bezinteresownej, uczciwej wyłącznie, dlatego właśnie, że ich wymaga. Ci szukają jej tylko u żon własnych, owi, z zasady niemal, u cudzych. Jednych czaruje miłość dyskretna, tajemnicza, cicha, jak noc!... — innych przeciwnie burzliwa, jawna, prawie wyuzdana, jak dzień. Niektórzy po za

uściskiem niczego w niej nie umieją dopatrzyć, gdy równocześnie wielu wydaje on się drobną tylko cząsteczką skarbów nieprzebranych... I tak bez końca!... że trudnoby było znaleźć dwóch ludzi, coby się w tych rzeczach na jedno zgodzili, bez zastrzeżeń.

To samo jednak widzimy w każdej dziedzinie: ten pije piwo tylko z glinianego kufla, nigdy inaczej, tamten pali z pianki z bursztynem albo nie pali wcale, a inny da się raczej zarżnąć, niż się położy spać od ściany. Ostatni z wymienionych objawów towarzyszy zwykle usposobieniu do zazdrości.

Znałem dziewczynę, u której względów daremnieby było szukać, jeśli się nie było — malarzem.

Nie dowiedziałem się tego ani od malarzy, ani od niej samej, — pouczył mnie o tem przypadek.

Tłuściutka ta, różowa i świeża blondynka, z oczyma ciemnemi i ciemną rzęsą, o mince skromnej a wyzywających kształtach, które uwydatniał jasny, perkalowy stanik i przypięty na biuście fartuszek z czarnej połyskującej ceraty, zajmowała jeden z kiosków z wodą sodową.

Było to temu lat sporo, w czasach, kiedym jeszcze przykładem większości szukał po kioskach rozgrzewających spojrzeń, słów i uśmiechów, a nie napoju, który chłodzi. Ujrzawszy Felę w dniu, w którym szczególniej byłem do płci pięknej usposobionym, jak spokojnym i wdzięcznym ruchem ręki odkręcała mosiężny kurek, z którego gwałtownie musujący a tak niewinny płyn gazowy wytryskał z taką wściekłą pasyą, jak gdyby był najbardziej zabójczą z trucizn świata, zapełniłem widokiem tej blondynki odrazu moją duszę, chwilowo wolną od obrazu kobiety, lecz bardzo za nim stęsknioną.

Od owego dnia zrobiłem się stałym, hurtownym, rzec mogę, jej odbiorcą.

Ponieważ usilna chęć przypodobania się jej nie odnosiła skutku, więc, by go przyśpieszyć, chłonąłem gazówkę, jak smok po połknięciu nadzianego ogniem barana wodę Wisły pochłaniał.

Lecz nie wzruszyło jej to bynajmniej. Mimo przesiadywania mego w kiosku przez godziny całe i zapełniania tych godzin niezliczonemi szklankami »czystej« i »z sokiem«, najwyszukańszemi komplementami i najświeższemi dowcipami

z pism humorystycznych ostatniej daty, — pozostawała zimną w jednakim zawsze stopniu. Na wszelkie alluzye miłosne otrzymywałem ciągle tę samą odpowiedź:

— Iii, głupstwo — za całe uznanie, za całą wdzięczność dla mej ciężkiej pracy i kosztów, przechodzących kieszeń dwudziestodwuletniego akademika.

Zacząłem już podejrzewać, że ta zimna jak lód dziewczyna musi być chyba dotkniętą jakimś błędem ustrojowym, czemś nienormalnem, jakiemś wrodzonem lub nabytem kalectwem, — gdy raz, po słowach mych, z powodu jej zachowania, zda się obcego wszystkiemu, co ziemskie, od ślinki wyrzeczonych:

— Z pani to możnaby wymalować jaką świętą... — odmieniła się.

Lalka mówiąca, nalewająca wodę i zgarniająca drobne, uśmiechnęła się, ożywiła, błysnęła oczami, — okazała się dziewczyną!... co ważniejsze, zdawała się po raz pierwszy dostrzegać we mnie mężczyznę...

Mężczyznę?... Nie! — Malarza!... bo zresztą, jak się okazało, w jej pojęciu, a przynajmniej

w skłonnościach, to pierwsze bez tego drugiego nie liczyło się.

— Pan malarz?... — głosem, w którym zadrgało utajone dotąd życie, spytała, zaczepiając po raz pierwszy z własnej inicyatywy rozmowę o ten wyraz.

Nie wahałem się ani chwili skłamać, wobec kobiety gotów do tego zawsze, o cokolwiekby nie szło.

— Jakto?... to pani tego nie wiedziała?!... Ależ rozumie się... Malarz od głowy aż do pięty, malarz na obie ręce...

Uśmiechnęła się, zgrabnie przekrzywiając główkę.

— Nie wiedziałam, jak mamę kocham, chociaż znam tylu... malarzy...

— Zapewne tutejszych, — a ja co dopiero wróciłem z Monachium.

I przemieniłem się niezwłocznie w malarza. A ona z bryły ciała stała się naraz do reszty dziewczyną, uzbrojoną we wszystkie pokusy i sztuczki, jakie jej płeć ma dla mężczyzn, jakie ona miała tylko dla jednego fachu.

W przeciągu jednej doby przyjaźń została zawartą i posunęła się aż do zwierzeń. Powiedziała mi, że ma »na ośmnasty.« Byłem na to przy-

gotowany, widząc dobrze, że jej dwadzieścia na pewne minęło. Wtajemniczyła mnie dalej, że jest modelką, o ile się trafi okazya i o ile mama może ją *zastąpić* w kiosku. Wyznała także, bez wszelkiej przesady, w jakim kapeluszu jej najbardziej do twarzy, nie kryjąc, że takiego na razie nie posiada, a wreszcie, nie urągając blondynom ani brunetom z powodu barwy ich włosów, z wzniesionemi w niebo oczyma, które po drodze w górę o mnie zawadziły, zapewniła, że »nie ma to jak *szatyny!*«

No, dzisiaj zmieniłem już porządnie moją ówczesną maść, szpakowacieję jak stary nowofundlandczyk, ale wtedy byłem szatynem okazowym.

Najbliższych dni zgodziliśmy się oboje w jednej bardzo ważnej rzeczy: że mama Feli nie powinna fatygować się wieczorami w celu odprowadzania córki do domu, skoro ja uczynić to mogę bez trudu a z rozkoszą. Lecz zaraz okazała się między nami sprzeczność w czemś o wiele ważniejszem: Fela pozwalała się odprowadzać bezwarunkowo tylko prosto do domu.

Wtedy to poznałem, że malarzem, takim sobie opowiadanym, być dłużej, nie na wiele się

przyda i że należy mi koniecznie na seryo wziąć się do pędzla.

Propozycya, aby mi zechciała pozować, była teraz całkiem naturalną i została też bez długiego wahania przyjętą, poczem umówiliśmy tylko dzień i godzinę, a ja, z całem natężeniem pomysłowości i kredytu, wziąłem się do przerobienia kawalerskiego pokoiku łatwemi środkami na pracownię. Poszukałem ich w kramach antykwarzy. Wypożyczonemi arkuszami studyów kredkowych, olejnemi »półaktami« i głowami na tekturach, zapełniłem ściany, umieściłem pod oknem kulawą sztalugę, na niej łokciowy blejtram, na kołku starą paletę, na krześle garść zdartych pędzli i siedm cynowych tub, z siedmiu kolorami tęczy. Wydawało mi się to aż za wiele na początkującego malarza, — było zaś tego za wiele szczególniej na moją kieszeń, w której od kosztów tego awanturniczego figla ocalały ostatecznie — zaledwie trzy szóstki.

Ale serce me za to, serce! bogatem było wtedy jak wyobraźnia właściciela losu, na który nazajutrz przypada ciągnienie!... Nie! bogatszem!... ciągnienia zawodzą! ja zaś grałem napewne...

Pewność jednakowoż nie wyklucza w takich

razach obawy. Im pragnienie jest gorętszem, im szczęście oczekiwane wyższem się wydaje, — tem bardziej potęguje się niepokój, aby coś nieprzewidzianego, jakaś niespodziewana psota przypadku nie obróciła wszystkiego w niwecz... A dopóki czekałem na przybycie Feli, nadzieje moje równoważyły się jeszcze ciągle szansami niedoczekania się...

Byłem jak w febrze. Szumiało mi w uszach, migało przed oczyma, świerzbiała mnie skóra, nawskróś cierpnąłem cały i nie mogłem sobie znaleźć miejsca...

Nakoniec przyszła...

Teraz już byłem w stanie uspokoić się nieco, zapanować napowrót nad sobą... gdybym nie był tak bardzo uradowanym? tak bardzo szczęśliwym, widząc ją tu, jako mego gościa, tę śliczną, tę rozkoszną Felę, u siebie, w mem mieszkaniu, za memi drzwiami, które zamknąłem nieznacznie, w mojem atelier, do którego wiedziała przecież chyba, po co przychodzi, nie od dzisiaj znając malarzy.

Z jakim wdziękiem ona mi się wymknęła, kiedy ją chciałem zaraz u drzwi pocałować...

— O! ja na to nie pozwalam nikomu!...

— A ja mam zwyczaj zawsze witać modele w ten sposób.

— Mnie pan tak niech nie wita.

— Jeszcze nie... tylko aż pani zdejmie woalkę.

— A jak nie zdejmę?

— To ja ją zdejmę, rzecz prosta.

— Prawda, to już wolę sama zdjąć... Wyście tacy zgrabni...

Wyście!... w tem »wyście« ja się mieściłem, było to preludyum do »ty«, to »wyście«, zbliżało nas, spoufalało.

Zaczęła zdejmować kapelusz a ja zbierałem tymczasem całe me męstwo, humor i blagę, szczególniej tę ostatnią.

Te modelki piekielnie muszą się znać na malarstwie... Cudem chyba wybrnąłem z powodzi jej fachowych zapytań, któremi mnie zasypała, a które, aby się nie zdemaskować, musiałem zbywać żartami.

Głowę można było stracić, słysząc jej ciągłe: A co pan teraz maluje? a co pan ma na wystawie? jak długo pan byłeś za granicą? gdzie? do jakiej szkoły pan należy? czemu pan nie ma

północnego światła? dlaczego przynajmniej szyby nie umyte?«

W końcu jednak sama wybawiła mnie z dalszego ambarasu pytaniem: co to będzie, w czem ona ma figurować?...

Odpowiedź miałem gotową.

Będzie to »Wenus śpiąca«.

W pomyśle krył się fortel, — ściśle biorąc dwa.

— Wenus?

— Tak: bogini miłości i piękności.

— Aha... No, a ta święta, co pan wtedy mówił?...

— Co za święta?

— Chciał mnie pan w niej malować...

— O tej pani mówisz!... Ech, dosyć nią pani byłaś tam, w kiosku.

Uśmiechnęła się i zaraz nowe pytanie:

— Jakiż kostyum?

— Klasyczny.

— To niby jaki?

— Lekka draperya na lewem biodrze.

— Co? na lewem tylko?

— No tak, na lewem albo na prawem, wszystko jedno.

— A zresztą?

— Zresztą nic.

— Iii, głupstwo.

Słowa z kiosku; przypomniały mi one najgorsze chwile mej sprawy.

— Dlaczego głupstwo?

— To przecież nie jest żaden kostyum.

— Przepraszam: klasyczny!

— Widać, że to wszystko jedno...

— Gdyby się chciało rozbierać, to... no... to... może i tak... Ale...

— Więc pan chyba żartuje? Przecież pan nie przypuszcza, żebym ja w ten sposób pozowała?

— Ciekawym, czemu nie.

— Ależ to nieprzyzwoicie!...

— Dlaczego?!

— Na jednem biodrze...

— Lepiej przecież na jednem, niż na żadnem!...

— Ach nie! sama myśl!...

— Więc pani niech nie myśli. Po co!...

— I to wobec mężczyzny!...

— Tu przecież nie ma mężczyzny, — jest tylko malarz!...

— Nie, nie!... O tem niema co nawet mówić.

Zaniepokoiłem się, nie wiedziałem, co począć. Jej opór krzyżował moje plany.

Zacząłem jej przedstawiać, że to skrupuły dziecinne, że tu przecież idzie o sztukę, że obraz tego wymaga, że ja nie mogę samowolnie zmieniać postaci, w jakiej Wenus dała się poznać światu, że już draperya na jednem tylko z bioder jest z mojej strony ustępstwem, wiadomo bowiem, że Wenus obchodziła się bez niej całkowicie.

Nie mogłem na niej wymódz zgody. Nie liczyła się nic a nic z prawdą historyczną.

— Proszę mnie nie obrażać — mówiła, podnosząc czoło tak wysoko, a powieki opuszczając przytem na oczy tak nisko, że przyszło mi na myśl, czyli przypadkowo nie byłem pierwszym z malarzy, co tak śmiałą odważał się jej czynić propozycyę.

Wstała nawet z miejsca i zwróciła się ku drzwiom, jak gdyby zamierzała odejść.

Lecz był to manewr ostrzegawczy. Nie zbliżając się bowiem bynajmniej do progu, łukiem obeszła pokój.

Wówczas jednego jeszcze spróbowałem argumentu.

— Tyle obrazów przedstawia boginie w takiem... w takiej... toalecie — rzekłem — i najpiękniejsze kobiety nie wahały się służyć do nich malarzom za model, a panią to gorszy... A toż to przecie tryumf własnej urody przedstawiać: boginię piękności!... szczyt — sam szczyt! arcywzór! ponad który nie ma już nic doskonalszego!... Ja, gdybym był kobietą, kobietą tak piękną jak pani, od rana do wieczora pozowałbym do wszystkich bogiń...

Milczy, zagryzając usta. Wydało mi się, że się waha.

— Panno Felo, ja panią proszę!...

— Ale bo...

— Czyż jeszcze się pani ociąga? mimo mych ustępstw?...

— Widzi pan... bo ja... ja tylko raz w życiu pozowałam w ten sposób...

— Co! i namyśla się pani, czy uczynić to po raz drugi?!...

— Ale wtenczas draperya była na obu biodrach...

— Ha! niechże więc wreszcie będą oba, kiedy już pani chce tego koniecznie... Niech stracę

i niech straci tradycya... Ale panią trzymam za słowo i weźmy się raz do tego malowania.

— Ja jeszcze nie przyrzekłam...

— Pani mnie chyba chce zamęczyć?...

— Zresztą nie widzę draperyi...

— Oto jest... Mam się obrócić?...

Stanąłem twarzą do okna, z oczyma zwróconemi na ganek przeciwległego skrzydła domu, gdzie wykręcaniem ścierek w tej chwili zajęta nad zlewem służąca pokazała mi zęby, pewna, że ją kokietuję. Właśnie w tej chwili jej do tego przyszła ochota, a kiedyindziej to udawała, jakby miała wielbicieli w bród.

Za memi plecyma tymczasem i w mojej myśli Fela stopniowo upodobniała się do bogini w postępie rozpinania guzików i rozwiązywania węzłów. W chwili, kiedy w mej wyobraźni zupełnie była do nieśmiertelnej podobną, usłyszałem: »Panie...« — obróciłem się — i ujrzałem na sofce prześcieradło, nic tylko prześcieradło, nie tłómaczącemi się wcale wypukłościami z pod spodu wypełnione. Głowy, z grymasem zażenowania i zimna, jak u kogoś, co wbrew woli wepchnięty został do chłodnej kąpieli — nie liczę.

— O, panno Felo!... nic z tego!... — zawołałem. — Pani się owinęła po brodę, jak zakonnica, tak nie można.

Dopieroż w targi o każdy kawałeczek skóry, o każdy cal, na jaki trzeba było obniżyć draperyę, dla zadosyćuczynienia umowie. A w tej walce jeszcze po dwa razy musiałem zdobywać jedno: wynurzyło się po prawem ramieniu lewe, w tej samej chwili prawe już znika, odzyskałem tamto, to znów tracę z oczu... Lecz w końcu postawiłem na swojem.

Wtedy to, sprawdzając naocznie dawne moje domysły, z niepodrabianym rzekłem entuzyazmem:

— Wie pani?... Nie marzyłem nawet nigdy o tak przepysznym modelu do mego obrazu!

— Tak pan tylko pewnie mówi...

— O nie! dość powiedzieć, że gdyby nie pani, nie malowałbym go wcale...

— Przesadza pan...

— Słowo honoru daję... Ach! panno Felo...

— No! tylko zdaleka... bo wstaję i ubieram się!

— A malowanie?...

— Więc niech pan maluje...

— Proszę się wygodniej ułożyć... Nie bójże się pani, przecież stoję na miejscu!... Główka cokolwiek w górę... Tak... Ramiona nie tak ściśnięte... Oczy zamknąć.

— Co znowu!

— Rzecz prosta. Przecie to ma być osoba śpiąca, więc trzeba na nią wyglądać, trzeba zamknąć oczy.

— Oho! nie chcę. Zasnęłabym naprawdę. Poszłam wczoraj późno spać. Prasowałam.

Rzeczywiście miała oczy zaczerwienione.

— Łatwa na to rada. Nie dam pani zasnąć. Będziemy rozmawiać.

— Czemuż pan nie maluje raz?

— Już maluję.

— A pędzel?

— Ach prawda... Przy pani głowę się traci.

Jakże mi ciężko teraz było: patrzeć na nią i stać od niej zdala, czuć dla niej tyle szczerego uwielbienia, a zamiast jej o niem mówić, zamiast je okazać, zamiast pozyskać ją sobie szczerze i otwarcie — grać tymczasem tę lichą komedyę, bawić się niesmacznie w malarza i modelkę.

Lecz trzeba było już kończyć, zacząwszy, za-

dając gwałt uczuciom. Za mało miałem zresztą odwagi i zręczności, aby wyrzec się niedorzecznych forteli a dać rzeczom bieg naturalny... Mój plan mnie krępował.

Mściłem się za to wszystko na płótnie.

Zmuszony udawać, że maluję, zasmarowywałem je najpotworniejszemi kleksami, które utworzyły wkrótce na przestrzeni kwadratowego łokcia prawdziwy cmentarz barw.

Wśród tego plótłem, co mi tylko na język przyszło, przypominając Feli stale, by oczy były zamknięte.

— Dużo pan już zrobił?

— Sporo.

— A co?

— Głowę.

— Podobna?

— Jeszcze nie dość piękna...

— Ciekawam też bardzo...

Nakoniec po jakimś czasie, znużona pozycyą, nieruchomością, zamkniętemi oczyma, mojem gadaniem coraz mrukliwszem, coraz monotonniejszem, nudniejszem i cichszem... usnęła, przybierając naprawdę pozę śpiącej, a z piersi jej wy-

mknęło się westchnienie i równy, długi oddech snu...

Ogarnąłem ją wówczas spojrzeniem szczerego, gwałtownego pożądania i podziwu, nie potrzebując już nic udawać — i uczułem się szczęśliwym, szczęśliwym!... chociaż i cokolwiek drżącym...

Drżącym, jak człowiek... który z największą ostrożnością odkłada pędzel i paletę... który skrada się na palcach, umęczając swe nogi, aby obuwiu nie dać zaskrzypić... który zapiera oddech, z obawy spłoszenia nim snu-sprzymierzeńca... któremu sześć kroków oddalenia wydaje się milą... którego trzy tylko pozostałe przerażają jeszcze... który stawiając ostatni z nich, zapomina już o całym świecie...

— A! panie!... Panie!... Idź pan... To szkaradnie...

— Dlaczego?

— Wstydź się pan... Powiedziałeś, że nie dasz mi zasnąć...

— Czy pani nie zbudziłem?

— Ale w jaki sposób!

— Przecież się pani nie myślisz gniewać o jednego całusa...

— Odejdź pan!... Fe! nie spodziewałam się tego po panu... Gdybym była wiedziała, że pan taki, to... No! proszę mnie puścić... Cóż to znowu?!... Puśćże mnie pan...

— Dobrze — ale proszę nie drapać.

— Puści mnie pan, czy nie?

— Przeprosiwszy... bez tego nie.

Nadąsana, z rozdętemi nozderkami, przestała się bronić, ale oczy gniewnie patrzyły w sufit. Dyszała ciężko.

A ja, dysząc także, zacząłem się wstawiać za sobą. Zacząłem jej prawić czułości, okadzać jej piękność, reklamować moje gorące uczucia i odwoływać się do jej dobroci...

— Wszyscy jednacy — szepnęła z chichotem.

Obsypałem ją teraz pocałunkami bez rachuby i bez jej oporu już, gdy naraz szepnęła z odcieniem prośby w głosie:

— Zimno mi...

Uciszyło to na chwilę moje samolubstwo, pewne zwycięstwa.

— Może się napijemy kawy?

— Ee...

— No?... Wypijemy ją razem, jestem bez śniadania.

Jeszcze jeden całus i już mnie nie ma.

Jak burza przebiegłem trzy piętra tylnemi schodami na dół, potem jeszcze ośm schodków do suteren do stróża, któremu kazałem przynieść dwie kawy, dwie skromne, »małe« kawy z rogalkami, pozbywając się ostatka pieniędzy. Przypilnowałem tylko, aby przy mnie wyszedł, bo mi zależało na pośpiechu i coprędzej, przesadzając po trzy schody naraz, powracam na górę z sercem bijącem niecierpliwością.

Co to znaczy?... Drzwi otwarte.

Wpadam do pokoju... struchlałem... pusty!...

Oglądam się po kątach w przypuszczeniu, że się schowała przez psotę... nie ma jej!

Wybiegam zrozpaczony na ganek, na schody, jedne, drugie...

Nie! nikogo!... Ani osoby, ani jej echa... Uciekła... Dlaczego!?

Naraz znalazłem się przed mem płótnem.

Na ciemnem, brudno zamazanem jego tle iskrzyły się, wyrywały, wrzeszczały prawie, żółtą, kanarkową farbą niekształtnie nabazgrane litery, składające wyraz:

— na domiar szyderstwa błędnie nakreślony ręką tej, która opuściła ze wzgardą me mieszkanie, zobaczywszy, przekonawszy się, żem ją oszukał, że nie jestem malarzem, że studya i rysunki podpisane są cudzemi nazwiskami, każde innem, że w kapeluszach moich przyklejone są wewnątrz karty wizytowe z dopiskiem: słuchacz filozofii, że na płótnie, gdzie miała być ona, są tylko plamy i kleksy, jednem słowem, że dowód zaufania, podstępnie od niej wyłudzony, jakim obdarzała jedynie artystów za cenę uwiecznienia jej piękności, odpłaciłem jej zdradą jak najhaniebniejszą...

Jej głosem ciskały mi teraz w oczy te żółte smugi obelgę, którą modelka mściła się za to, że ją wywiodłem w pole, niestety nie tak daleko, jak chciałem.

Wtem szmer za mną.

To stróż z tacą, na niej dwie kawy.

— Cóż to to jest? proszę pana... — pyta bałwan, śmiejąc się i przenosząc oczy z płótna na mnie i napowrót, jak się to porównywa osobę z portretem, czy trafiony.

Już miałem zawołać:

— A dyabliż ci do tego kpie jakiś!

Ale wolałem spytać go pierwej:

— Umiecie wy czytać?

— Nie.

— No to postawcież kawę i wynoście się do wszystkich piorunów!...

Musiałem wypić sam obie kawy, a owo płótno, to jedyne dzieło mojego pędzla, podarłem w pierwszej pasyi na drobne strzępy i wyrzuciłem.

Gdyby nie to, miałbym je do dzisiaj, bo chętnie zbieram pamiątki.

Zazdrość.

Siedzieli obaj w pokoju zaciemnionym roletą, dla słońca, bez surdutów, w kamizelkach tylko, w niedbałych pozach ludzi, udręczanych upałem letniego popołudnia, senną ociężałością poobiednich godzin trawienia, paląc papierosy i przesuwając figury na szachownicy leniwie, w roztargnieniu, przerywając nagłem ziewaniem nieszczere wybuchy nerwowego śmiechu nudów, gotowi każdej chwili odwrócić uwagę od gry ku lada drobnostce i nie zająwszy się nią dłużej niż na jedno mgnienie oka, znowu ziewać.

Naraz rozległo się gdzieś na piętrze trzaśnięcie drzwiami, od którego zadrżał dom cały.

— Cóż tam za bydlę! a już zasypiałem... — zaklął przez zęby, sapiąc, pół leżący na krześle przechylonem brunet, z maleńkiemi, kształtnemi baczkami, dowodami próżności i powodzenia

u kobiet, na twarzy pełnej, świeżej, młodej, utrzymanej starannie jak płeć kokietki.

— Widzisz? to tak ciągle!... Mam to od rana do wieczora. I wuj się dziwi, że wolę przesiadywać w mieście, niżeli w domu. Upatruje w tem pociąg do lampartki, co jest najprostszym popędem do spokoju. Co za ohydna buda ten jego dom; jedyną jej zaletą, że mi się kiedyś dostanie. Każde otwarcie drzwi, każdy przechodzący, napełniają klatkę schodową takim hukiem, jakby się po stopniach staczała lawina. Szczególna akustyka: potęguje dźwięki, jak soczewka kształty. Zupełnie inaczej, niżeli u Wandy — co? — w tym magazynie wełnistych portyer, miękkich mebli i grubych dywanów, tłumiących głos w połowie drogi, wskutek czego się tam tak gładko plecie największe bezeceństwa...

— Ależ nie! tobie tu chyba na złość robią!... To ktoś umyślnie wali obcasami dla powiększenia hałasu... Posłuchaj tylko.

— Gdzież tam. Zaręczam ci, że to jest stąpanie kobiety o lekkich i zwinnych nóżkach. Znam je.

— Ze słychu?

— Na własne oczy. I ty je poznasz: zaraz wejdą.

— Tu? do ciebie?... W takim razie ja...

— Daj pokój, nie potrzebujesz się chować, ani ubierać, skoro ja tego nie czynię. To służąca mojego wuja.

— Ta młoda? ta ładna, o której mi coś kiedyś wspomniałeś?...

— Z taką żałośną miną. Ta: lat ośmnaście— prześliczna!

— Do dyabła! twój wujaszek dba o ciebie jak Mahomet o swych wyznawców.

— Przeciwnie, ten stary nie dba o mnie wcale i pastwi się nademną. To potwór!

— Zabiera ci ją? Czyż jemu jeszcze podobne figle w głowie?

— Ależ nie.

— Więc ona sama mu się narzuca? Takiej konserwie człowieka!... Szkaradna dziewczyna.

— Nie dajesz mi przyjść do słowa. Ona...

W tej chwili drzwi się otwarły, przerywając rozmowę. Z ręką na klamce, z drugą obładowaną stosem białych, świeżo uprasowanych sztuk bielizny, ułożonych warstwami jedna na drugiej, aż pod jej brodę, którą je przyciskała

od góry, ukazała się jak w ramach młodziutka szatynka, zbytkowna pokojóweczka, jakby stworzona do zajmowania się rzeczami przyjemnemi i ładnemi, do omiatania cacek, prasowania koronek i miłostek z ładnymi chłopakami, ubrana w świeże, pełne smaku perkaliki, obciskające jej kibić, godną przywdziać zarówno toaletę damy, jak ubiór wiejskiej dziewuchy, jak każdą suknię, każdy strój i ozdobą być dla każdego.

— Wejdź Józio, śmiało. Nie będziesz nam przeszkadzać.

— Może później? — odparła dźwięcznym głosem, inteligentnie akcentując, z takim ruchem ciała, jakby zamierzała się cofnąć, zarumieniona pod spojrzeniami tych dwóch par napadających na nią męzkich oczu.

— Nie, nie; będę zaraz potrzebował coś z tego.

Uśmiechnęła się zlekka, na znak, że rozumie pretekst, ale nie śmie i nie chce się opierać, i weszła ostrożnie, z oczyma w dół spuszczonemi, pod nogi, aby nie rozsypać śliskich, krochmalnych sztuk bielizny. Zatoczywszy przy zamykaniu drzwi krąg fałdami spódniczki, poniżej których ukazały się zgrabnie stąpające małe sto-

py w płytkich, świecących bucikach, skierowała się ku komodzie, zarumieniona, z falującą piersią, czując, że ją obejmują, przyciągają, zagarniają ich oczy, któremi towarzyszyli jej krokom i każdemu ruchowi aż do otwarcia szuflady, do rozpoczęcia pracy układania w niej bielizny, przyczem uklękła na jednem kolanie.

— I cóż? — zapytał po chwili w języku francuskim gospodarz gościa, śledząc z nieco złośliwem zadowoleniem podziw, w jakim tamten pochłaniał dziewczynę od stóp do głowy, nie tracąc żadnego jej giestu, nie przeoczając żadnej z linii jej ciała i rysów.

— Zachwycająca. Od jak dawna jest twoją kochanką?

— Zwaryowałeś?

— Niby dlaczego?

— A wuj?

— I cóż wuj?

— Pilnuje jej jak stróż haremowy.

— Nie zechcesz przecie, aby ci ją stręczył.

— Czyni wprost przeciwnie.

— Ależ mając ją w domu, pod bokiem, sto okazyj dziennie znalezienia się z nią sam na sam...

Porzucając francuzczyznę, zawołał gospodarz:

— Czy słyszysz Józiu?... Ten pan sądzi... Prawda, nie mogłaś nas rozumieć... Szkoda. Ale wiesz przecie chyba, że mówimy o tobie.

Zaśmiała się ślicznie, błyskając oczyma, uszczęśliwiona, na chwilę tylko odwróciwszy głowę od swej pracy z niezrównanym wdziękiem.

— Jak ona się rusza! jak ona się pysznie rusza?!.. — podziwiał brunet, wracając do obcego języka i kiwał głową w prawo i w lewo, przymróżywszy oczy, utkwione w pokojówkę i wciągnąwszy policzki dla zapalonego co dopiero papierosa, którego świeżym dymem lubieżnie upajał płuca.

— Bój się Boga — ponowił — mówiłeś przecie, że stary jej nie bałamuci.

— Ach! nawet nie udaje czegoś podobnego. To już przepadło. Zanadto gorliwie pracował, aby tę chwilę przyspieszyć.

— Więc jeżeli i z jej strony nie ma w tem żadnej rachuby, co może stać na przeszkodzie tobie wyjść z sfery westchnień, które wobec pokojówki...

— Co?... Jego zazdrość.

— Czyja?

— Mojego wuja.

— Który nawet udawać nie może bałamuta?!

— Który go nawet udawać nie może.

— Żartujesz. Gdzież tutaj zazdrość możliwa?

— Ależ to właśnie jest grunt dla zazdrości, jedynej, prawdziwej, typowej zazdrości ekskobieciarza, czciciela kobiet z urodzenia, ich wyznawcy, który poświęcił im pół życia, trzy czwarte majątku, całą duszę, wszystkie myśli, i który — pomyśl tylko: naraz traci je, traci wszystkie; nie jednę, tę lub ową, po której postradaniu można u boku drugiej, dziesiątej, szukać pociechy, ale wszystkie, wszystkie odrazu, co do jednej — na zawsze! — na rzecz innych, szczęśliwszych, na rzecz całego świata kochających i kochanych, do rzędu których on już nie należy, należeć nigdy nie będzie, wykluczony z ich grona niepowrotnie, wyzuty nieodwołalnie z prawa do szczęścia, do pocałunków, do pieszczot, do rozkoszy uwodzenia, kochania, zdradzania — tego wszystkiego, jednem słowem, co było wyłączną niemal treścią jego burzliwego życia, jedynem zajęciem, w którem zresztą doprowadził

do majsterstwa. Zapewne, że odniósłszy tyle co on zwycięstw, z honorem możnaby spocząć na laurach. Tak robi wielu i robi słusznie. Skoro się zdobyło parę pięknych kart w życiu, jest się czem pocieszyć, gdy smutne nadchodzą. W jego usposobieniu to jednak nie leży widocznie. Nie potrafi on powiedzieć sobie: »Basta — spełniłem zadanie« i wycofawszy się z obiegu, z filozoficznym uśmiechem uspokojonego patrzeć na szaleństwa młodszych, mrucząc: »wszystko to już było«. Myśl o tem, że inni w pełni rozkoszują się tem, czego on nie zakosztuje więcej nigdy, nie daje mu pokoju, upokarza go, zawstydza, dręczy. Nie może się pogodzić z prawem natury i popada w najstraszniejszą, chorobliwą zazdrość ku całemu światu, któremu chciałby wydrzeć, odebrać wszystkie kobiety, aby ich nikt nie posiadał, skoro dla niego raj grzechu zamknięty na wieki. Ideałem jego odtąd jest czystość, niewinność. Wszystkie kobiety chciałby konserwować w dziewictwie i niepokalaniu, bo upadek najpiękniejszej, najbardziej czarującej dla niego pozostać musi bez pożytku. Nie mogąc wzbudzić i odwzajemniać miłości żadnej z nich, zwraca swój zachwyt ku tym, które nie należą

do nikogo, stwarza je. Przyjmuje sobie co parę miesięcy nową sługę, jakąś śliczną, młodą, świeżą dziewczynę, wyszukaną niewiadomo gdzie, z pozazdroszczenia godną zręcznością i szczęściem, bezużytecznemi dziś zabytkami dawnych, lepszych czasów. A potem zamęcza ją swą podejrzliwością, szpiegowaniem, śledztwami i wykładami moralności, w mniemanej trosce o jej cnotę mszcząc się na niej za swą wobec niej bezradność. Ale przedewszystkiem nienawidzi mężczyzn. Nienawidzi ich jako szczęśliwszych od siebie — jak żebrak nienawidzi bogacza, chory zdrowego, karzeł olbrzyma, niedołęga siłacza, jak kobieta brzydka, opuszczona przez wszystkich, nienawidzi piękną, którą kochają, jak wszelkie upośledzenie nienawidzi wyższości. Otóż najpierwszym celem tych uczuć, ich kozłem ofiarnym jestem ja, który jako jeneralny spadkobierca wujaszka z natury rzeczy obowiązany jestem do pewnej wyrozumiałości wobec jego manii. On jednak wyzyskuje sytuacyę w całej pełni, postępując sobie ze mną jak z zakładnikiem nieprzyjacielskiej armii, który głową własną odpowiada za wszystkich swoich. W ten sposób co kilka tygodni

zjawia się tutaj jakieś cacko rodzaju żeńskiego w rodzaju tej ot przyczyny wielu grzechów przeszłości, a ja—wyobraź sobie, co za męka—patrzeć muszę na nie z tego oddalenia, jak ty obecnie.

— Lecz gdyby mnie tu nie było?

— Te same szanse. W najmniej spodziewanej i pożądanej chwili wpadłby wuj. Tak jest zawsze. Dziwię się, czemu się jeszcze nie pojawił — co tylko go nie widać.

— Ależ schody go zdradzą.

— Schody są w porozumieniu z nim. Jest to jedyna osoba, której kroków nigdy nie słyszę — może dlatego, że zjawia się zwykle w chwilach, kiedy jestem bliski zapomnienia o całym świecie, — lecz może i dlatego, że się bestya spuszcza po poręczy, czy ja wiem?...

W tej chwili drzwi się znagła otwarły, a na progu ukazał się z wytrzeszczonemi badawczo oczyma mężczyzna pięćdziesięcioletni, starannie ubrany, ogolony, wymuskany, ufarbowany, który pomimo całego wysiłku uczynienia się młodszym, na pierwszy rzut oka przedstawiał się jako ruina.

— Ach, masz gościa?... Przepraszam... — wy-

rzekł, nagle zmieniając postawę. — Chciałem cię prosić, żebyś mi przysłał Józię, skoro ci nie będzie potrzebną.

Gdy drzwi się zamknęły, pokojówka niżej nachyliła się nad robotą, chichocząc — oni zaś mówili:

— Widzisz? To tak dwadzieścia razy dziennie.

— A w nocy?

— W nocy Józia na górze, pod kluczem.

— I jakże się to kończy?

— Najfatalniej dla wujaszka. Ponieważ dzięki nosowi doświadczonego kobieciarza, dobiera sobie same dziewczęta z temperamentem, dojrzewają one szybko w opisanej atmosferze i prawie wszystkie jego pupilki dotąd, wydostawszy się z pod jego opiekuńczych skrzydeł, coprędzej sięgają po ten owoc, który tak im się starał zohydzić.

— Czy się przyczyniasz do tego?

— Ile razy tylko mogę.

Schadzka.

I.

Pewnego wiosennego południa czternastoletnia Mania, powracająca ze szkoły w towarzystwie swej młodszej nieco koleżanki Julci, odebrała od Kazka ukłon tak uroczysty, że to zwróciło uwagę tamtej. Zaczęła się wypytywać, co to za jeden, skąd się znają, i wkrótce to, czego się o nim dowiedziała, wydało jej się dostatecznem do orzeczenia:

— On się w tobie musi kochać.

Ton słów był poważny i stanowczy, jak u osoby znającej się na rzeczy.

Manię przejęło zdziwieniem tak niespodziane odkrycie.

— E?... — szepnęła naiwnie, dodając pewności towarzyszce swojem niedowierzaniem.

— Powiadam ci. A ty?

— Co »ja«?

— Czy kochasz go także?
— Albo ja wiem?...
— Zarumieniłaś się: kochasz go.
— Skądże ty możesz wiedzieć?...
— Po sobie. Kiedy mnie kto zapytał tamtego roku o mojego ciotecznego brata Leonka, wiesz, tego blondyna z grzywką... zaraz się czerwieniłam.
— Tyś się kochała w Leonie?
— No?... Całe wakacye!

I przybrawszy minkę wielkiego doświadczenia, zgrabnie stąpała w tym długim pochodzie uczenic, nóżkami, widocznemi do połowy pończoszek, świadoma efektu swej krótkiej sukienki, która dawała jej sposobność już teraz ściągać uwagę mężczyzn na swoje zręczne ruchy i kształty wcześnie rozkwitające.

Przed niemi i za niemi płynęła rzeka młodych dziewcząt z książkami i zeszytami w ręku, po dwie, po trzy razem, wśród szeptów, chichotu i strzelania oczyma, odbierających ukłony od młodych chłopców, których mnóstwo w tej właśnie ulicy znajdywało dla siebie najkrótszą drogę z zakładów męzkich. Szły, bez końca, różnego wieku, urody, stroju, od pomykających po pod mury,

ze wstydu, biedaczek ubogo odzianych lub brzydkich, aż do elegantek, pyszniących się najświeższą modą, dla których droga z domu i do domu była właściwym celem uczęszczania do szkoły i od młodych dzieciaków w spódniczkach, ledwie zapowiadających niekiedy oczyma dyablika przyszłą kokietkę, aż do ośmnasto i dwudziestoletnich »aniołów«, kończących kursa, dumnych poważnym zastępem wielbicieli, zaręczonych często. Dwa razy na dzień, o dwunastej i o piątej, odbywa się ta rewia młodzieży obu płci, wśród której rozgrywają się całe setki platonicznych miłostek, na podstawie jednego, bezwiednego często, ruchu, uśmiechu, spojrzenia, wyrastających bujnie w wyobraźni obserwatora, przychodzącego tutaj z sercem bijącem, pełnem tęsknoty i romantycznych mrzonek.

Mania rozstała się z Julcią pod elektryzującem wrażeniem wyroku, usłyszanego z ust koleżanki. Dziwił on ją, cieszył i znajdywał jej wiarę, tłómaczył bowiem zmiany, jakie sama w postępowaniu towarzysza lat dziecinnych, syna swojego ojca chrzestnego, dostrzegła.

Zmianom tym uległ Kazio nagle, na wstępie tej właśnie wiosny. Zaczął się czesać, obcinać

paznogcie, nie darł już na kolanach i łokciach ubrania i ręce nie tak jak dawniej miewał brudne. Przywdział olbrzymie, oślepiająco białe kołnierze i mankiety modnego kroju, oraz najjaskrawsze, jakie tylko sobie wystawić można, krawaty. Dalej nauczył się kłaniać bardzo poważnie i obowiązująco, w miejsce dawnego swego dzikiego ukłonu szałaputa, ukłonu, który mocno wyglądał na chęć podrapania się w głowę po przez kapelusz, — wreszcie zapowiadał wszystkim znajomym niepewnym głosem, wahającym się chrapliwie między piskiem sopranu a basem, że najbliższej zimy bezwarunkowo będzie się uczył tańczyć, ponieważ skończył lat szesnaście.

Wszystko to wraz z całą jego obecną pretensyonalną sztywnością, czyniło go bardzo komicznym wyrostkiem, u boku tego rozkosznego, nic o sobie nie myślącego dzieciaka o jasnych włosach, jakim była Mania, z którą niegdyś plamili oboje fartuszki, grzebiąc się razem w piasku, zbijali sobie guzy, potykając się na tych samych kamieniach jedno za drugiem, i psuli żołądki temi samemi niedojrzałemi owocami w ogrodzie Kaziowego ojca, handlarza ryb nad rzeką, dalekiego krewnego Mani.

Byłaby jednak zapomniała o tem, co zaprzątnęło całkowicie jej myśli aż do wieczora, gdyby tegoż samego tygodnia w środę, Kazio, widujący się z nią codziennie, nie oznajmił jej tajemniczo, że powie jej w niedzielę coś »bardzo ważnego«.

Przez cały tydzień zamęczała go swą ciekawością. Lecz bronił się niewzruszenie, z poważną miną:

— Zaczekaj do niedzieli.

Spotkali się jak zwykle u chrzestnego ojca, w domu Kazia i zaraz Mania, ledwie zrzuciwszy kapelusz, porwała chłopca do ogrodu i natarła nań, ściskając dłoń jego w swych rączkach, podskakując na miejscu z niecierpliwości i wyciągając ku niemu szyję jak dziecko, gdy się napiera o całus lub cukierek.

— I cóż takiego? cóż to?...

— Aż po kawie.

— Jak ty się ze mną drażnisz... A ja wytrzymać nie mogę!...

— Kawa będzie zaraz. Już ją Elżbietka miele... Słyszysz?...

Nakoniec wypili kawę, ona duszkiem, rogalek chowając do kieszeni ukradkiem przed rodzi-

cami, i czemprędzej po zamienieniu spojrzeń z Kaziem wymknęli się do ogrodu.

Poszli w sam jego koniec: Kaziek trochę zakłopotany, ale bardzo uroczysty, ona z iskrzącemi oczyma, cała zmieniona w ciekawość.

Kiedy się znaleźli pod samym prawie parkanem ogrodu, okrytego pierwszą jasną zielenią maja, Kaziek obejrzał się na dom. Wychylał on zdala z po za krzaków bzu szczyty swych okien niby oczy; ze starszych nie było widać nikogo. Wtedy Kaziek obrócił się do Mani plecyma i udając, że wącha kiść bzu, którą przyciągnął ku sobie i głowę do niej jednocześnie zadarł, wyrzekł:

— Wiesz ty, że ja się w tobie kocham?

— Nie może być! — odparła seryo i serce jej zabiło. Jednocześnie przypomniała się jej Julka.

— Słowo honoru ci daję.

— Patrzaj to ona zgadła.

— Kto?

— Jula, moja koleżanka z klasy, ta co z nią wtedy szłam, jakeś mi się ukłonił... Powiedziała mi potem, że ty... to... to się musisz we mnie kochać.

— A widzisz?...

— Ale żebyś wiedział, co jeszcze powiedziała?

— No?
— Że i ja w tobie także!
— Doprawdy?
— Aha. Bom się zaczerwieniła.
— A tobie jak się zdaje?...
— Czy ja wiem...

Spojrzeli na siebie i rozśmiali się, Mania szczerzej, on z pewnym przymusem, bo mu te sztywne, wysokie kołnierzyki, ściskające szyję, wszelką swobodę odbierały. Wykręcił się tylko na pięcie, a ona podskoczyła w miejscu, podrzucając się w górę jak ptak do wzlotu, aż jej się grzywka, kokardy i fałdy sukienki rozwiały. Klaszcząc w ręce po przed ustami, zachichotała: »hi! hi! hi!« i rzekła żargonem klasowym:

— A to heca dopiero!... No!...

Po jakimś czasie Kazio, zajęty jakiś, jak gdyby nie wypowiedział jeszcze wszystkiego, odezwał się:

— Teraz musisz mi dać schadzkę.
— Schadzkę?

Objaśnił ją ogólnikowo, co znaczy schadzka. Jest to rzecz, bez której niepodobna się kochać. Będą się schodzić w umówionem miejscu i czasie.

— Po co?
— Żeby się zobaczyć, żeby z sobą pomówić...

— Czy się u nas i u was w domu nie widujemy?

— Ależ to zupełnie co innego.

Nie pojmowała różnicy.

— Pokazuje się z tego, że mnie nie kochasz. Ja o tem tylko ciągle marzę, żebyś mi dała schadzkę.

— No więc dobrze. Zgoda. Jeżeli tylko będę mogła. Ale... jeszcze jedno...

— Cóż?

— Czy tylko to miałeś mi powiedzieć?

— A cóż więcej?

— Bo ja taka byłam ciekawa... Myślałam, że to będzie Bóg wie co!...

Nazajutrz domyślność Julci odniosła tryumf. Mania opowiedziała jej wszystko, dodając zapytanie:

— Jak ty myślisz: powinnam pójść?

— Bezwarunkowo.

— Tyś się z Leonem widywała?

— Jeszcze się pytasz?... Przez cały sierpień!

— A to chyba.

— Ale powiesz mi potem, jak to było?

— Wolałabym, żebyś tam była ze mną.

— Oj ty dzieciaku!... I cóżby to była za schadzka!.

II.

Spotkali się nazajutrz wedle szczegółowej umowy o siódmej wieczorem w spacerowym ogrodzie publicznym.

Mania, porzuciwszy książki, do których zasiadła z wieczora, aby się pod pozorem nawału lekcyj wykłamać od pójścia z rodzicami w jakieś odwiedziny, zdala już ujrzała swego wielbiciela, jak chodził tam i napowrót, u stóp ogromnych drzew, czekając na nią w oznaczonem miejscu.

Z bijącem sercem i uczuciem wstydu, którego nie pojmowała, przywitała chłopca.

— Przyszłaś?... o! dziękuję ci!...

Drżący, wylękły, szedł obok niej, patrząc w ziemię, nie wiedząc co mówić, oglądając się czasem na boki i po za siebie.

— Chodźmy w tę aleję — zdobył się nareszcie i po nowej przerwie jeszcze raz to samo:

— Jakaś ty dobra, żeś przyszła, Maniu... Dziękuję ci!... dziękuję!...

Ściskał ją za ręce gorąco, a ona łamała sobie główkę, za co tu właściwie tak dalece dziękować. Miała ochotę coś mówić, ale jego milczenie ją krępowało. Sądząc, że będzie jej miał chociaż tym razem jakieś ciekawe rzeczy do powiedzenia, czekała. Wreszcie przejęła jego zakłopotanie i nie wiedziała zupełnie, o czemby zacząć rozmowę. Już miała na ustach opowiadanie o tem, jak popołudniu straciła wszelką nadzieję przyjścia, jak się teraz wyrwała z domu, powiedziawszy służącej, że idzie po pióra do sklepu — lecz w chwili, kiedy była bliską śmiać się z tych psot, zgasła w niej dziecięca, wesoła ochota śmiechu i wydało jej się naraz, że przychodząc tu, uczyniła coś złego.

— Mówże co, — odezwała się wreszcie do chłopca.

Wtem Kaziek, który się jej tutaj, w tym olbrzymim ogrodzie, pod ogromnemi drzewami, wydawał mniejszym niż kiedykolwiek, wydusił z siebie:

— Teraz to już wierzę, że mnie kochasz.

Nic nie odrzekła. Patrzyła przed siebie, przejęta dziwnym niesmakiem.

— A żebyś wiedziała, jak ja cię kocham?!... Przyniosłem ci wiersze.

— Pokaż...

— Może ci przeczytać?

Poszli usiąść na ławce, a chłopiec skwapliwie wziął się do czytania, które go ratowało z kłopotu.

Ale już po wygłoszeniu paru wierszy przerwał..

Kilka kropel z szelestem spadło na papier.

Mania spojrzała zaniepokojona na niebo szare i chmurne.

— Co to? deszcz?... Dla Boga! uciekajmy! Nie mamy parasoli... — i wstała z ławki natychmiast.

— Może przejdzie?...

— Któż to wie!... Wstań, chodź, do domu tak daleko!... I uchwyciwszy go za rękę, w której bezradnie trzymał papier, zmusiła go do powstania.

Zaczęli iść szybko po żwirze, który obsuwał im się pod nogami z chrzęstem. Nie myśleli już o sobie, tylko o deszczu.

W całej przestrzeni dokoła nich słychać było szept cichy i równy spadających na ziemię kropelek, drobnych i rzadkich jeszcze, które jednak

zdawały się róść, gęstnieć, mnożyć, których strugi stawały się coraz wyraźniejszemi a szelest coraz głośniejszym.

— Jezus, Marya! będzie ulewa!... — zawołała Mania, drgnąwszy, gdy jakaś kropla spadła jej za kołnierzyk i stoczyła się po ciele, przejmując ją dreszczem.

— Spieszmy się! — nagliła towarzysza, przyspieszając drobne kroki.

Zaczęli prawie biedz, potykając się na grubszych kamykach żwiru, z oczyma zaprószonemi deszczem.

Ulewa wzmagała się z każdą chwilą i strugi wody, siekące z ukosa ziemię, stały się tak gęstemi, że niepodobna było dłużej ociągać się.

Bezwiednie puścili się oboje naraz kłusem poprzez puste jak wymiótł, zaciemnione już zmierzchem i słotą aleje, w których nie było widać ani człowieka, ani ptaka, tylko uderzające o ziemię z siłą gęste strugi deszczu, w pył rozbite, białą, do mgły podobną powłoką okrywały chodniki i ławki. Zwykły gwar ulic nawet ucichł, czasem jedynie dolatywał turkot dorożek, przeżdżających szybko i dachy ich, całe zlane, zalśniły im na chwilę z po za drzew przed oczyma.

Jedną ręką przytrzymując kapelusz, drugą ujinając sukienkę, biegła dziewczyna bez przerwy,

a on obok niej, schyliwszy głowę przed bijącą mu w twarz nawałnicą, która zamieniała się w potop. Wszystkie przedmioty dokoła zbladły, zasnute szarą, ruchomą zasłoną tych nieustannie, równoległemi, coraz gęstszemi sznurami spadających z nieba mas wody. A szelest jej, z początku stłumiony, zamienił się niebawem w hałaśliwy, ze wszech stron dolatujący syk i szmer, jakby gotującego się ukropu, z jakim nawałnica prała ubity grunt, trawniki i płynące ich krajem strumienie.

Mania wyjęknęła głosem drżącym od zmęczenia i skoków, bliska płaczu:

— Cała zmoknę!...

Opadała już z sił.

Wtem znaleźli się obok kiosku z wodą sodową, o tej porze roku zamkniętego wieczorem.

Jednym skokiem wpadli doń oboje, aby naraz znaleźć się po za ulewą, po za smaganiem jej zimnych strug i po za sprawianym przez nią głuchym, stłumionym, jednostajnym hukiem.

Odetchnęli z głębi piersi. Zaczęli otrzepywać suknie z wody, ona swoją, pociemniałą od wilgoci, z jasnej, szarej, prawie czarną, kapelusz

przesiąkły deszczem, obwisły, ciężki, a potem chusteczką poczęła ocierać mokrą twarz. Spojrzawszy na buciki, zabłocone aż po sam brzeg cholewek, krzyknęła rozpaczliwie:

— Boże! jak ja wyglądam!...

Kaziek przyglądał się temu z boku skwaszony, ze stulonemi uszyma, nic nie mówiąc, zbity z tropu takim obrotem rzeczy, czując się winnym, czując, że zasłużył na jej wyrzuty.

— Czyś bardzo przemokła? — zapytał potulnie po chwili wpatrywania się z nią razem w przestrzeń, pełną jak oko sięgało tych z góry na dół migających białawych smug, któremi czasami wiatr wionął w taki sposób, jak gdyby to były jakieś niby szkło przejrzyste a miękkie czułe na każdy podmuch włosy, jakaś delikatna, napół płynna przędza, spadająca pasmami z chmur na ziemię, aby się tu rozlać w potoki.

— Caluteńka! Czuję na ramionach nawskróś przemokły żakiet, sukienkę...

Aby co bądź powiedzieć dla pocieszenia jej, bąknął:

— Już słabnie, zaraz wyjdziemy.

Wstrzymała na ustach opryskiwe zaprzeczenie

tem silniej uczuwając gniew, że go nie mogła objawić.

Nie słabło bowiem wcale, a oni stali pod daszkiem odcięci od miasta, od ulic, uwięzieni tutaj kto wie na jak długo, czując czasem kropelki opryskujące im twarz, któremi wiatr rzucił w tę stronę, i wilgotny powiew powietrza, oziębionego w kąpieli deszczu, przesiąkłego nim. Niekiedy zamigotała blado błyskawica.

— Och Boże mój! Boże! Kiedyż się to skończy?... — jęknęło naraz dziewczę płaczliwie, jak dziecię, cieniutkim głosikiem.—Już tak ciemno...

W istocie świat im w pomroce znikał, stali tu z pół godziny.

— Ja chyba pobiegnę tak do domu — zawołała z rozpaczą.

Sprzeciwił się, korzystając ze sposobności okazania się troskliwym, aby ją przebłagać.

— Ale co! — mówił — jeszczebyś się rozchorowała. Przemokłabyś do nitki. Popatrz, jak leje!...

— A jeżeli to do jutra nie ustanie?...

Przeraził się na tę myśl, ale odparł:

— Ustanie, musi ustać, już coraz słabszy... tylko usiądź tymczasem...

— E...

Miała ochotę usiąść, ale ją stłumiła natychmiast po jego propozycyi, aby bodaj w ten sposób objawić swe nieukontentowanie.

Stali więc dalej, obserwując ulewę tak jak się stoi nad kimś dla przyśpieszenia pilnie oczekiwanej roboty, jakby sądzili, że stojąc, przyspieszą koniec deszczu. A w Mani, do głębi przejętej przykrem wrażeniem chwili i kłopotliwego położenia, na dobitek zbudziła się obawa, aby rodzice nie powrócili przed nią do domu i nie dowiedzieli się o wszystkiem... Kaziek wydawał się jej obecnie najnieznośniejszym w świecie chłopcem, a Julka złą i głupią dziewczyną. Oni to byli winni wszystkiemu.

W tem, już w grubym zmroku, wielka i czarna postać wpadła do kiosku tak nagle, aż się cofnęli oboje, zadrżawszy od stóp do głowy z przerażenia.

Bezwiednie przysunęli się do siebie i wylękłym wzrokiem spojrzeli na przybysza, wyrobnika, z zarosłą twarzą, w lichej odzieży, który im się w tem miejscu i o tej porze wydał niepospolicie groźnym.

Uspokoiło dopiero pierwszy ich strach dobroduszne brzmienie głosu, jakim zawołał:

— A to pluta! Bodaj ją siarczyste... Cały człowiek w wodzie.

Zdjąwszy z siebie surdut, począł go wykręcać, jak się bieliznę wykręca w praniu, a z surduta ściekała strumieniami, z pluskiem, woda ciemna, brudna. Potem tak samo wykręcił czapkę. Nakoniec zapalił fajkę i pod światłem jej żaru spojrzał na nich, pobudzając oboje do rumieńca.

— Psiakość, kiedy temu będzie koniec—mruknął jeszcze po chwili i usiadłszy na ławeczce, z nogą założoną na nogę, ręką podparty, pykał z fajki, spluwając czasami, zadumany.

Po jakimś czasie ulewa szybko zaczęła słabnąć. Cichła, cichła, w końcu dolatywała tylko zaledwie że pochwytnym szeptem, od którego odbijało dzwonienie pojedynczych kropli, kapiących z dachu i z drzew pobliskich.

Wtedy obdartus wstał, wychylił się, obejrzał w dwie strony i mruknąwszy:

— Czas w drogę — wybiegł z kiosku.

— Chodźmy — odezwała się Mania zmienionym głosem i puścili się oboje rozmiękłemi ścieżkami ku miastu w milczeniu, szybko, prosto

do niej, skuleni w powietrzu oziębionem i wonią wilgoci przejętem. Przed samą bramą zapytał jej:

— Nie gniewasz się?

— Ja?... Nie.

— Podajże mi rękę.

Podała mu ją bezmyślnie i na jego »dobranoc« odpowiedziawszy tak samo, ze drżeniem wbiegła na schody, cała w obawie zastania rodziców w domu.

Na szczęście nie powrócili jeszcze. Za to służąca niespokojna, okrzykiem zgrozy przyjęła stan jej sukni.

Rzuciła się słudze na szyję i zaczerwieniona, z niebywałą serdecznością całując ją, zaklinała:

—Moja Róziu! moja złota! tylko też ani słówka przed mamą! Zlituj się! moja kochana!...

— Żeby tylko panienka nie odchorowała... Po co to było chodzić po te pióra... Jabym przecie była skokła...

— Nigdy już! nigdy więcej nie pójdę!... Zaraz się przebieram.

Zaczęła zrzucać z siebie suknie nawskróś przemokłe, aż do bielizny, wszystko, co miała na sobie. Robiła to szybko, ze drżeniem, zatrwożona, czemprędzej chcąc usunąć i zatrzeć ślady

grzechu i nie uspokoiła się dopóty, aż całkowicie przebrana, uprosiwszy sługę, aby w największej tajemnicy oczyściła buciki, mogła usiąść przy stole, gdzie rozłożone zeszyty i książki czekały na nią pootwierane tak, jak je zostawiła temu półtorej godziny.

Wakans.

I.

Chórem przyjęły Damskiego okrzyki aktorów i aktorek, zebranych na ranną próbę w półciemnej salce wędrownego teatru na prowincyi.

Pod oknami wznosiła się tu, zasłaniając je, sklecona z żerdzi, desek i podartych szmat niedołężnie malowanego płótna, mała i niska scenka, robiący wrażenie żebraka w łachmanach kram z sztuką wędrowną. Szczupłe miejsce przed scenką zapełniały najróżniejszych kształtów krzesła z uwiązanemi do poręczy sznurkiem numerami na kartonach, na krzesłach zaś, rozsypanych z zwykłego szyku bezładnie, jak oddział żołnierzy w chwili odpoczynku, siedzieli mężczyźni i kobiety, te i tamci w kapeluszach na głowie, z rolami w ręku, w lichych ubiorach, niewygodami podróży, ciasnotą kufrów i długiem użyciem steranych tak samo, jak steranemi były ich twarze, wytarte szminką, zniszczone

głodem i niewywczasem, zwiędłe i pomięte od ciągłego strojenia przymusowych min, — jak zwiędłemi i zszarganemi były ich dusze od ciągłego udawania, od ciągłej, ciągnącej w błoto, wytężonej walki o każdy grosz, rolę, oklask, o wszystko.

— Awansowałeś Damsiu! — wykrzykiwał do przybyłego kogucim piskiem ospowaty komik Płaczek, którego odstające od walcowatego korpusu i krótkie ramiona przypominały kształtem i ruchami zmarniałe lotki północnego ptaka.

Kobiety zawtórowały cienko:

— Awansowałeś! A jakże! Winszujemy!

— I prosimy o protekcyę! — huknął na zakończenie grubym basem bohater trupy Wajda, zgrubiając jeszcze potężny ton swego organu uderzeniem pięści w ramię pucołowatego, jasnowłosego, o małych, nieustannie mrugających ślepkach amancika Damskiego, który rozpoczynał dopiero karyerę kaleczenia odwiecznych ról, donaszania rozlatujących się w strzępy kostyumów i uwodzenia jubilatek zakulisowych romansów.

— Jak to?... co takiego?... nie rozumiem... — odparł chłopak, uspokajając na chwilę oczka, a zaczął natomiast potrząsać kolanem, jak stu-

dent, gdy kuje na pamięć lekcyę. Ruch ten nałogowy od uczenia się ról, choroby nawiedzającej czasem nowicyuszów teatralnych, towarzyszył mu wszędzie, cechując wybitnie wszystkie jego kreacye. Trząsł nogą oświadczając miłość, potrząsał nią w scenach zazdrości, rozpaczy, dobrego humoru, zmięszania, trząsł nią kiedy mówił i kiedy milczał, był to główny czynnik gry jego mimicznej.

Zaczęli go hałaśliwie, niby po przyjacielsku, niby drwiąco, jak aktorzy, błaznując wśród opowiadania, wszyscy razem i po kolei, objaśniać, co znaczył okrzyk, jakim został przyjęty.

Oto dyrektorowa, w trupie tej dzierżąca rządy tytułem skrzyni manuskryptów, dwóch płóciennych dekoracyj i jednej siwej peruki z łysiną, odziedziczonych wraz z koncesyą widowisk po zmarłym z winy jej temperamentu mężu dyrektorze, — pobiła się wczoraj wieczór, po przedstawieniu, z Gładyszem, o obrachunek z kasy, w której tenże był siedział. Scena odbyła się w cztery oczy, w jej mieszkaniu, ale zbyt cienkie ściany i okna rozwarte pozbawiły ją charakteru poufnego i dzisiaj cały personal teatralny i pół ludności miasteczka znały już dokładnie

nietylko rodzaj obelg, jakiemi się darzono, oraz liczbę zamienionych policzków, lecz także i to, co wczoraj już Gładysz uroczyście własnemi usty, opuszczając kwaterę dyrektorowej, obwołał: że trupę porzuca.

Ostatnie słowa w tym względzie miały brzmieć z stron obu:

— Wynoś się! masz dymisyę, złodzieju!

— Kpię sobie z twej dymisyi, małpo, i tak miałem jutro jechać.

Dowodem autentyczności cytatu był przebijający się w nim ostry ton, właściwy zwaśnionym.

Posada tedy po Gładyszu wakuje: piękne stanowisko pierwszego amanta trupy i faworyta dyrekcyi, na którem, jak wszyscy faworyci, potrafił się dać uczuć kolegom.

Nie szczędzono zajściu komentarzy, pełnych ducha, bo skandal zaostrzył inteligencye. Ostatecznie osądzono, że to, co się stało, stało się dobrze. Gładysz zanadto już ostatniemi czasy zadzierał nosa i kara spotyka go w porę. Co do dyrektorowej, ta pewnie nie będzie po nim łez ronić, dziś, kiedy już schudł na swej posadzie tak bardzo. Ale ponieważ Damski jest obecnie najpulchniejszym, najmłodszym i najniż-

szym (specyalność dyrektorowej) z członków towarzystwa, więc wakujące miejsce dostanie się jemu, na którego, uważano to, nie od dziś miała oko.

Jasnowłosy amancik słuchał tego wszystkiego, skubiąc nerwowo małe wąsiki pod nosem i pokrywając wzruszenie drwiącym uśmieszkiem niedowierzania.

— Kawały! — zawołał, skoro opowiedziano mu wszystko, otrząsając się z ochoty uwierzenia, która świeciła mu w oczach. Obawiał się, że chcą go wywieźć w pole, co jest głównem, zawodowem zajęciem aktorów, względem znajomych, nieznajomych, kolegów, publiczności, krytyki, dyrektorów, autorów, wierzycieli, uprawianem całe życie.

— Nie wierzysz?!... Czekaj, zobaczysz.

Nie czekał długo.

Za progiem rozległ się stuk kroków a po chwili ukazała się w drzwiach salki wysoka, chuda postać czarno odzianej kobiety lat trzydziestu, która żałobnemi szatami, o ile ich na scenie nie zamieniała na trykoty, nadawała sobie majestat wdowiej powagi.

Uchylono kapeluszy, ona zaś w tonie uprzej-

mej wyższości, która chętnie się zniża, rzekła chropawym, suchym, do częstego pokaszliwania pobudzającym ją głosem krtani, przeziębionej na zawsze wśród jakiejś zimnej nocy, podczas przeprawy wozami z miasta do miasta:

— Dzień dobry. Za minutkę zaczniemy próbę... Panie Damski?...

Stężał cały, — siląc się wszakże na swobodę w głosie i ruchach, podszedł do niej z słowami:

— Słucham dyrektorowo.

Nachyliła się doń i położywszy mu rękę na ramieniu, z łaskawym uśmiechem zaczęła szeptać zcicha, poczem podała mu do rozniesienia po domach pęczek afiszy i biletów, które się na prowincyi wciska ludziom przemocą, co z nędznych małomiasteczkowych teatrzyków czyni jawnie narzucającą się żebraninę.

Kiwnąwszy głową na znak zrozumienia zleceń, z sztucznie obojętną miną wyszedł.

— Czekaj-no pan!... — zawołała dyrektorowa, już kiedy się oddalił, i pospieszyła za nim w obliczu niemo obserwujących tę scenę aktorów, którzy ukradkiem tylko zamieniali między sobą wymowne spojrzenia.

Skoro trzasnęły już za nimi drzwi wchodowe,

komik Płaczek dał hasło tłumionej dotąd wesołości, zapiawszy dyszkantem, brzęczącym przeraźliwie jak cymbałowy regestr organów:

— Nominacya publikowana! posada objęta!... Od dzisiaj trzymam z Damskim.

— A ja z tobą! — huknął basem Wajda. Z zwyczaju nieustannego przypominania swej siły otoczeniu, palnął przytem Płaczka w ramię, aż się komik zatoczył, co tamci przyjęli wybuchem śmiechu, a Płaczek, nie lubiący dzielić się z nikim przywilejami pierwszego błazna trupy, wybuchem wściekłości.

Któryś z mężczyzn półgłosem rzekł bez krzty szczerości:

— A to komedya, jak Boga kocham... Bezwstydna baba. Czy uważaliście, że ma podrapaną szyję? Słowo honoru wam daję: do krwi, koło lewego ucha.

Z innej strony jednak brał rzecz tę sufler Wachs.

Z piersi jego wyleciał szept niekłamanej zazdrości:

— Szczęśliwy Dama, — westchnął, — obiad pewny!

Przy tych słowach, poprawiwszy cwikier o je-

dnem szkiełku, przekrzywiający mu się co chwila na małym nosku, do wszystkiego, tylko nie do noszenia szkieł zdatnym, z miną człowieka uporczywie pomijanego przez wrogi los, ściągnął mocniej rzemienny pasek na swoim wiecznie głodnym brzuchu.

Wtem wróciła dyrektorowa, od progu już wołająca z wyrzutem:

— Tłamska, Natowiczowa!... znowu siedzicie na krzesłach numerowanych i to w pierwszym rzędzie!... Dałabym głowę, że te krzesła nie będą sprzedane! Ile ja wam to razy powtarzać muszę!...

Był to teatralny przesąd, zwalający przyczynę niepowodzeń na najniewinniejsze okoliczności.

— No! zaczynamy!

Usiadła w pobliżu budki suflera na krześle bez numeru, aktorzy zaś powskakiwali na chwiejące się, trzeszczące podium z nieheblowanych tarcic, zaczęli podawać ręce koleżankom i wciągać je po jednej na podwyższenie.

Dyrektorowa obejrzała się za suflerem.

— Gdzie Wachs?... Aha, jesteś.

Właśnie wycierał nos w palce za jej plecyma, teraz zaś dał susa na łokciowe wzniesienie po-

dium, które zadrżało wraz z zgromadzoną na niem obsadą sztuki, dzwoniąc szkiełkami lamp naftowych, umocowanych do frontowej deski. Osuszywszy wilgotną rękę, nieznacznie a wprawnie, w pierwszą kulisę salonu, czem jej plamistość odrazu stawiał w właściwem świetle, z jękiem, jak człowiek za życia włażący do grobu, spuścił się w głąb budki, zniknął w niej i po chwili, z szelestem przewróciwszy kilka kartek egzemplarza, zawołał:

— Gotów! — poczem zaczął mamrotać tekst pierwszego aktu, a personal powtarzał słowa za nim niedbale.

Lecz brakło bohatera sztuki: wzruszającego starca, galernika, który po latach niezasłużonej kary, wraca zdemaskować swych prześladowców i odnieść jeden z tych budujących, bezwzględnych tryumfów, jakie cnota w sztukach starej roboty tak często na deskach teatralnych święci.

Rolę tę grał Gładysz, nieobecny. Aż do ostatniej chwili nie było o nim mowy, bo aktorzy nie chcieli poruszać sprawy ze względu na jej drażliwość, silnie zaznaczoną na jednym z policzków dyrektorowej. Lecz teraz najciekawsza

ze wszystkich, mała, czterdziestopięcioletnia, niespożyta w rolach naiwnych dziewczątek Natowiczowa, która miała nos zakrzywiony w lewo, ale go na scenę zamalowywała na prawo, o tyle zręcznie, o ile czasem nie zanadto — wyrwała się nagle:

— A »galernik«! gdzież »galernik«?...

Z zupełnym spokojem, tyle tylko, że odchrząknąwszy nieco silniej niż zwykle, oświadczyła dyrektorowa, nie zmięszana pytaniem ani spojrzeniami:

— Galernika gra Damski. Markujcie tam za niego w pierwszym akcie, bo mniej ważny. Tymczasem wróci; poszedł z biletami.

Aktorzy porozumieli się oczyma, ona zaś stuknęła parasolką w budkę suflera.

— A prokuratora w trzecim akcie za Damskiego — rzekła, — ty robisz Wachs, pamiętaj. Trzeci akt będzie się suflowało z za kulis, kto wolny. Tam nie ma żadnej zbiorowej sceny.

— Dobrze, — ze drżeniem radości odrzekł sufler.

Ani słowa o Gładyszu!

I próba szła dalej, aż do powrotu Damskiego. Tylko Wachs poddawał tekst aktorom mniej

gładko niż zwykle, oszołomiony radosną niespodzianką, spełnieniem swych ciągłych westchnień, zaspokojeniem żądzy wszystkich suflerów, żądzy grania, ukazania się bodaj raz w blasku kinkietów, wynurzenia się z kryjówki na światło, przed zapatrzone oczy, zasłuchane uszy publiki, wzięcia jawnego udziału w podniecononem, sztucznem życiu widowisk, które wrzało nad jego głową, nie dając mu ani wywierać wrażeń, ani ich doznawać, choć był tak ważną ich tajemną sprężyną.

Tymczasem wpadł Damski, zdyszany, spotniały, w zapylonych butach, i zwrócił się do dyrektorowej, wręczając jej za parę szczęśliwie pozbytych biletów trochę pieniędzy, na widok których z oczu aktorów pierzchła troska o obiad dzisiejszy.

Damski miał już wobec kobiety minę, ton i giesta nieco poufałe, jak wobec osoby, z którą łączą go teraz bliższe stosunki i interesa. Rolę galernika przyjął jakby mu się należała. Stanąwszy na scenie w swojem miejscu, począł z niej głośno czytać.

Marzył on o tej roli. Małomieszczanie opłakiwali zawsze jak bobry smutne koleje biednego

kajdaniarza. Była to najefektowniejsza z ról całego repertoaru, przywilej każdorazowego faworyta dyrekcyi. Cała trupa wzdychała do tej roli, grałyby ją, gdyby mogły, nawet kobiety — ci jednak, którzy nie mieli szans zdobycia najpoufniejszych względów przewodniczki towarzystwa, nie łudzili się wcale nadzieją uzyskania roli, były to bowiem rzeczy nierozłączne.

Zdając sobie z tego wszystkiego sprawę, widząc oczekujące spojrzenia kolegów i dyrektorowej, Damski postanowił okazać się godnym Gładysza następcą, przewyższyć go, zaćmić.

I wycisnął z siebie cały swój zapał, prawdziwy zapał, na którym się poznano, bo nawet Dylewicz szepnął w kulisie do Natowskiej:

— Gra bestya! Jak sobie szczęścia pragnę: gra. Ale wieczór mu już tak nie pójdzie, wypluje z siebie na próbie wszystko.

Dyrektorowa patrzyła, robiła miejscami bohaterowi dramatu uwagi, nie tyle dla dobra sztuki, ile dla zaznaczenia swego prawa wtrącania się i powtarzała od czasu do czasu półgłosem:

— Dobrze! bardzo dobrze! O! tak sobie to myślałam... tak samo... To rozumiem. Powinien był oddawna grać tę rolę... Doskonale! Ty masz

talent, Damski, tylko nie trzęś tak ciągle kolanem.

Aktorzy, nic nie mówiąc, mrugali do siebie jednem okiem, Płaczek zaś w stosownych miejscach znacząco kichał. Tamci śmiali się w głos, dyrektorowa zaś wywoływała drugi z zabobonów teatralnych:

— Ej, nie bawcie się! nie bawcie! bo publiczność wieczorem bawić się nie będzie.

Między drugim a trzecim aktem mały epizod. Bosy łobuz z ulicy wpadł, bębniąc piętami w podłogę, z pękiem papierów, które wręczył dyrektorowej, ta zaś, obejrzawszy, oddała go Damskiemu.

Pochwycił go z rozkoszą. Były to role Gładysza, same najlepsze role z wszystkich działów, czterdzieści popisowych kreacyj, związanych starą krawatką.

Po próbie nastąpił rozdział pieniędzy w małych cząstkach drobnem srebrem i miedzią, przyczem wśród targów i kłótni, Wajda, jak zwykle, prawem pięści o szóstkę więcej niż drudzy zdobył. Innemuby to nie uszło, lecz on był w łaskach, i gdyby nie awanturniczy charakter oraz

zbyt silna budowa, dawno już byłby zajął stanowisko Gładysza.

— Panie Damski! gdzie pan obiadujesz? — zapytała teraz dyrektorowa tłustego blondynka, zwracając nań spojrzenie więcej niż przedobiadowe.

Nim zebrał się na odpowiedź, dodała:

— Chodź pan ze mną. Masz niewiele czasu, musisz uczyć się roli, a do mnie dwa kroki. Co się będziesz uganiał za obiadem... Dobrze?

Poszedł, dając się opanowywać dumie w miarę wchodzenia w swe prawa, a koledzy posyłali za nim spojrzenia zazdrości, jak za wybrańcem losu.

II.

Zjadł obiad z apetytem, niezmąconym bynajmniej przez częste okazye ucierania noska trzyletniemu, mizernemu malcowi dyrektorowej, który rozdzielał wprawdzie ich krzesła, nie przeszkadzał jednak pod stołem spotykać się ich obuwiu.

Podczas jedzenia, ona bardzo często, postawiwszy mu jakieś pytanie, zatrzymywała kęsek w zębach i nie domykając ust, patrzyła mu bystro w oczy. On patrzył na ten kęsek, potem na jej usta, gdy się już zamknęły, potem na uśmiech, który je rozszerzał, i myślał:

— Chuda bo chuda, ale dosyć przyjemna.

Ona zaś, z zadowoleniem obserwując jego tuszę, myślała o niej, jak o kapitale, mogącym starczyć na długo.

Po obiedzie, ośmielony, pocałował ją w rękę bardzo lubieżnie, najpierw z wierzchu, potem w dłoń i nad wszelkie swe oczekiwania dostał

za to policzek tak silny, że czuł się w prawie żałować, iż służąca znajduje się w pokoju.

Dyrektorowa pochwyciła jego spojrzenie, zwrócone na dziewczynę, i zrozumiawszy je, pogroziła mu palcem przy słowach:

— Pan jesteś numer!

Wybuchnął śmiechem, zaczerwienił się i bąknął, dygocąc z zadowolenia:

— Co?! — dlaczego?!...

Naraz nachylił się do dziecka, podniósł je i pocałował, z oczyma utkwionemi w matkę, która zagryzła usta.

Potem tonem człowieka zrozumianego i przyjętego, poprosił ją o perukę, siwą perukę, jedyną w entrepryzie, wspaniałą perukę starca, aby ją sobie przeczesać.

Pożądliwie nadziewał na głowę przed lustrem ten brudny, tłusty, cuchnący potem ktoż zliczy ilu głów, worek z pończochy, niezgrabnie naszyty białą szerścią i z artystycznym dreszczem dopasowywał go do swej głowy, próbując przytem min i giestów. Tą peruką koronował się na pierwsze w personalu stanowisko.

— No! a teraz do roboty!... — rzekł, zabierając się do wyjścia.

— Tak, tak, idź. A pamiętaj: to jest rola!...

— Czyż źle ją rano grałem?

— Owszem, żeby tylko wieczór tak poszło.

— Dyrektorowo! poznasz pani wieczór, co jestem wart! — wykrzyknął i wybiegł.

Pospieszył uczyć się do siebie, pracując już w drodze myślą nad niektóremi ustępami roli.

Wtem niespodzianie zetknął się z Gładyszem.

Był to mały, śniady, z świecącą, jak gdyby tłuszczem natartą twarzą, szatyn o zaostrzonym nakształt dzióba nosku i wystającej bródce, prostujący się ile możności na wysokich obcasach i korkach, aby się wydać większym. Na głowie miał z fantazyą włożony, miękki, zrudziały kapelusik, w ustach, skrzywionych wzgardliwie, papieros, pod brodą, na szyi, krtań sterczała mu jak kęs, który uwiązgł w gardle. Ubranie wytarte, szczupłe, z krótkiemi rękawami, obnażającemi kostki czerwonych, suchych jak szczapa rąk, i krótkiemi spodeńkami, poniżej nich storbiała guma bucików. Kroczył z oczyma zmrożonemi zarozumiale, w postawie gimnazyasty, który podchmieliwszy sobie, przesadnie udaje dorosłego, z pełną wiarą w efekt.

Ujrzawszy Damskiego, pierwszy go zaczepił

świszczącym swym głosem, który brzmiał jak gwizdanie w ostrze noża:

— I cóż? Zdecydowałeś się pan podobno odziedziczyć po mnie te kości, które cię zawsze takim wstrętem przejmowały. No, nie wypieraj się pan. Wymyślałeś pan na nią i na mnie. Mówiłeś, że to skandal. Mógłbym się teraz zrewanżować, co? Ale ani mi to w głowie. Chodź pan na wódkę.

Wszelkiemi sposoby starał się okazać, że nie ma do niego żalu, by wyjść z honorem z swej roli detronizowanego władcy. Nigdy jeszcze dla Damskiego nie był tak wylanym.

Damski znów udawał, że wcale się nadeń nie wynosi, aby nie pastwić się nad upadłą wielkością, co zakrawałoby na małoduszność.

Gładysz tymczasem, traktujący stosunek swego następcy do dyrektorowej jak prosty interes, mówiąc o niej, nie żałował jadu. »Ta podła baba« zjadła mu zdrowie, ma jej już dosyć, kontent jest, że się jej pozbył, powinien to był uczynić od dawna.

Zresztą najlepszej był myśli.

— Mam pięć *engagement*, jedno do Warszawy, trzeba panu wiedzieć — mówił butnie

przez zęby, ściskające papieros, i pokazywał niby jakiś list, nie rozwijając go, bo i bez tego Damski poznał kartkę z roli.

Rozstali się w dobrej komitywie: Damski w kierunku mieszkania, Gładysz w stronę miasta, aby odszukać resztę towarzyszy, okazać im miną wesołą, że nie rozpacza, przeciwnie, że jest bardzo zadowolony, nawymyślać przed nimi na »tę podłą babę«, skaptować sobie każdego kieliszkiem wódki za pieniądze, o które kłótnia zwaliła go z piedestału wczoraj, oraz zapewnić wszystkich, iż ma do wyboru pięć *engagement*, z tych jedno w Warszawie.

Idąc z Dylewiczem i Płaczkiem, wśród żywej gawędki w powyższym duchu, spotkał dyrektorowę.

Szła na przechadzkę do lasu, prowadząc wolno za rączkę swe blade, wątłe dziecko, opłakany dorobek tułaczego życia, poczęte niewiadomo gdzie, z kim, urodzone nie w porę, żywione z flaszki mlekiem co dwa tygodnie innej krowy, wiecznie chore i płaczące.

Towarzysze Gładysza ukłonili się jej coprędzej bardzo uniżenie, by nie sądziła, że z wypędzonym spiskują. On zaś zmierzył ją z ukosa

szyderczym wzrokiem, a skoro ją minęli, syknął pod nosem, niby ktoś, co otrząsnąwszy się z zaślepienia, pojąć go nie może:

— Gdzie ja miałem oczy! gdzie ja miałem oczy!...

Upał dnia letniego rozprószył ostatecznie wszystkich, jednych wpędzając do cienistego lasu, innych do mieszkań lub do szynków, gdzie według utartego w żargonie frazesu: »puszczano gębę na kwestę«, — to jest, za pomocą pożyczanych konceptów i błazeństw, wyłudzano od małomieszczan kufle piwa, wódkę i papierosy.

Jan Napiórkowski

III.

O szóstej wieczorem, na godzinę przed spektaklem, zjawił się w garderobie, małej ciupce obok scenki, sufler Wachs, nachmurzony i zły. Posępnem okiem ogarnął aktorów, którzy garbiąc się nad małemi lusterkami do światła jedynej lampy, nacierali twarze szminką i kłaki przylepiali pod nosem za pomocą mastyksu, przepełniającego izdebkę silną wonią. W twarzach niektórych znać już było gorączkę przygotowań, poczynający się proces twórczości, stopniowe wcielanie się w kształty roli.

Widząc to, odczuwając ich nastrój żywiej niż kiedykolwiek i więcej niż kiedykolwiek im go zazdroszcząc, rzucił Wachs z furyą swój sekstern przed Damskiego takim zamachem ręki, aż mu się *pincenez* na nosie przekrzywiło.

— Co to? Co ci się stało?... — zapytał Damski z przesadnem zajęciem, pragnąc skaptować

sobie suflera, który przed widowiskiem jest zawsze przedmiotem wygórowanej czułości ze strony wszystkich grających. Twarz Damskiego, pokryta pokładami tłustych farb, które jej odbierały wszelkie ludzkie cechy, czyniła go podobnym do wpółzgniłego trupa.

— Zdejm perukę Damski, zdejm! — zawołał Wachs z goryczą, przemierzając izbę z rękoma na plecach. — Nie będziesz robił galernika.

— A to dla czego?

— Bo ci Gładysz nie da.

— Oho! Zrobi awanturę? zerwie spektakl, czy co?!

— Wcale nie. Sam będzie grał.

Z żywością młodzieniaszka siwowłosy trup zwrócił całą twarz ku mówiącemu, odwracając się od lusterka.

— Ty! dlaczego? dlaczego?... — zawołała Natowiczowa, która z kobiecej garderóbki po drugiej stronie sceny przyszła tu zagrzać sobie żelazko do zapiekania włosów nad lampą, tam bowiem miano tylko kawałek stoczka.

— Skąd wiesz? — pytali inni, łapiąc Wachsa za rękaw, w przeczuciu ciekawych nowin z ust

suflera, który z swej budki u stóp sceny bacznie obserwował i trafnie umiał oceniać wypadki.

Damski patrzył nań ciągle, w oczekiwaniu.

— Skąd wiem?... z lasu!

— Z lasu?!...

Pootwierały się oczy i gęby szerzej, Damski słuchał.

— Mówno, jak to było?

— Tak było: Uczyłem się w lesie roli. O trzeciej przychodzi dyrektorowa z bębnem, — uczę się dalej. O pół do czwartej zjawia się Gładysz, — uczę się ciągle. O czwartej widzę ich już razem, chowam rolę do kieszeni i oto mnie macie. — Damski, nie bądźże głupi, proszę cię, zdejm perukę i przestań się mazać, bo z tego nic nie będzie, powtarzam.

— No, to się pokaże — odparł Damski zuchowato. Sięgnął po pędzelek i zaczął w lusterku szukać na twarzy wolnego miejsca, gdzieby jeszcze jednę zmarszczkę dodać można.

— Ale co dalej?... co dalej?... w tym lesie... — z potrząsaniem rąk zawołała Płaczkowa, chude kobiecisko bez zębów, grające amantki. Z twarzą natartą karminem, którego jeszcze nie pokrył bleiweis, wyglądała jak obłupiona ze

skóry, a negliż jej, źle przysłonięty szalem, aż oczy ranił widokiem krańcowej chudości.

— To niech już pani mąż dokończy — odparł Wachs, a Płaczek po nim:

— Dokończę ci, dokończę, tylko nie teraz, bój się Boga Mańka!...

Śmiech zagłuszył słowa, śmiech robiony, suchy, ludzi przesyconych oklepankami dowcipu.

W tej chwili drzwi się otwarły, wszyscy spojrzeli ku nim. Dyrektorowa weszła z pośpiechem, zmierzając prosto na scenę, gdzie przez otwór w kurtynie zaczęła się przypatrywać salce, z której po przez płótno dolatywał stłumiony szmer gromadzących się widzów. Za nią ukazał się Gładysz. Niósł jej chłopczyka na ręku a dziecię opasywało mu rączkami szyję.

Damski zobaczył z ukosa wszystko, lecz wysilił się, aby robić dalej swoje, mimo że drżał cały.

Wtem Gładysz odezwał się głośno dla wyjaśnienia od razu sytuacyi:

— Panie Damski! zdejm pan perukę z łaski swojej. Zaraz się ubieram.

— Jakto? co to ma znaczyć? — wybuchnął Damski.

— Czyż pan nie rozumiesz? Gram moją rolę.

— Tak?!...

Damski porwał się z krzesła i pobiegł szybko do dyrektorowej, która na ciemnej scenie poprawiała krzesła i stoliki, już rozstawione do pierwszego aktu.

— Dyrektorowo! — rzekł, hamując jeszcze wzburzenie, — więc ja nie robię galernika?

Z pobłażliwym uśmiechem odparła, niby tłomacząc się:

— Gładysz tak lubi tę rolę, widzisz pan.

Już go nie tykała.

Zatrząsł się cały.

— Rozumiem! — zawołał. — Powiedział to pani w lesie! Nieprawdaż?... Gdybym był wiedział, że o to idzie, potrafiłbym się był zdobyć na to samo.

— Cicho! co tak wrzeszczysz... Publiczność się schodzi.

Odbiegł, przekonany, że dociął jej niesłychanie.

Z wściekłością zerwał z głowy perukę i rzucił ją o ziemię, a potem począł ocierać szmatą twarz, której młoda, rumiana cera ukazywała się kawałkami z pod żółtej powłoki farb.

Odziawszy się, z zaciśniętemi szczękami po-

mknął ku drzwiom, unikając spojrzeń wzgardliwie.

— Ty! — zawołał za nim sufler, — a nie zapomnij, że wychodzisz w »prokuratorze« z początkiem trzeciego aktu.

— Zobaczycie mnie! — odparł tamten hardo i trzasnął drzwiami aż szyby dźwiękły, a Gładysz, już w peruce, roztapiający właśnie szminkę nad lampą, mruknął przez zęby:

— To osioł.

Sufler pobiegł do dyrektorowej. Miał jeszcze iskrę nadziei uratowania swego niedoszłego występu. Powtórzył jej słowa Damskiego.

Kobieta machnęła ręką uspokajająco.

— Do trzeciego aktu daleko — rzekła.

W ukropie antraktowego pośpiechu nie uważano, kiedy, jak Damski przyszedł, ubierał się, charakteryzował, ale w właściwej scenie stanął gotów do wejścia i grał swoją małą rólkę lepiej, niż kiedykolwiek.

W obłędzie.

Po pełnem plastyki opowiadaniu lekarza o świeżo spełnionej zbrodni, o tem podwójnem morderstwie, dokonanem na młodej i pięknej żonie, oraz na sobie samym, przez nowożeńca, człowieka lepszego towarzystwa, w pełni sił i zamożnego, w samą noc poślubną — słuchacze, przejęci grozą, oburzeniem, przestrachem i wstrętem dla tego gwałtu, zadanego naturze i zwykłemu porządkowi rzeczy, poczęli się prześcigać w domysłach pobudek zbrodni, wynajdując najdziwaczniejsze.

Lekarz jednak, — wtajemniczony dokładnie w szczegóły wypadku, ponieważ należał do komisyi, która zwiedziła miejsce czynu z urzędu, położył koniec przypuszczeniom jednym wyrazem: obłęd — a na poparcie go odczytał następujący list, pozostawiony przez samobójcę i na-

kreślony bezpośrednio przed zbrodnią, prawdopodobnie do przyjaciela.

»Mój drogi! Czy pamiętasz nasze wspólne chwile szczerych przyjaciół, nie mających dla siebie tajemnic, sprzecznych we wszystkiem, a kochających się przecież nadewszystko?

Czy pamiętasz godziny ścierania się mej niezadowolonej ze wszystkiego, chorej może duszy, z twoim duchem spokojnym, pobłażliwym i rozważnym?

Czy pamiętasz, ile to razy, mając dla wszystkiego, — oprócz naszej przyjaźni — pogardę, bryzgałem jadem nienawiści na szablonowe, niedołężne formy życia i jak się naigrawałem z owych naprzykład, między innymi, zaprzysięgających dozgonną miłość krótkowidzów, którzy w dziecinnej pogoni za szczęściem trwałem wyobrażają sobie naiwnie, że chwytają zaklęciem przysięgi to, co się ująć nie da, bo — nie istnieje?!...

Nie były to majaki unoszącego się chwilowemi chimerami nerwowca, był to żywy, niezmienny wyraz mojej duszy, mego widzenia świata, była to niby woń mojej istoty, jej tylko właściwa

i od niej nieoddzielna, jak zapach wrodzony pewnym roślinom, zwierzętom...

Ileż to razy zaklinałem się, że nie ożenię się nigdy, ja, na którego tyle zewsząd zastawiano sieci — ty zaś śmiałeś się ze mnie, przepowiadając mym przysięgom nieuchronny los wszystkich podobnych.

Sprawdziło się. Chwila, wywróżona przez ciebie, przyszła — zjawiła się ta, wobec której zdawało mi się, że się przeobrażam, rozwijam, dojrzewam, że odkrywam prawdziwy cel życia i jakieś rozległe, powietrzne i świetliste w niem przestwory, nieznane mi dotąd i nie przeczuwane, która zmusiła mnie zapomnieć i sprzeniewierzyć się poglądom i uczuciom całego dotychczasowego życia mego...

Czy był to jej tylko właściwy czar, który mnie odurzył? — czy przepowiedziane przez ciebie przebudzenie? zwrot ku zdrowiu? — nie wiem; — wiem tylko, że jeśli istnieją kobiety, dla których się popełnia największe z szaleństw dobrowolnego zakucia się w dozgonną niewolę duszy i ciała, — ona, ta, którą pokochałem jak prawdziwy szaleniec, musiała być między temi czarodziejkami jedną z niezwyciężonych!...

Czy była tak piękną? zalotną? ponętną? czyli w szczególnie wysokim stopniu odpowiadała memu ideałowi kobiety? lub wprost narzuciła mi sobą ów ideał, jak narzucają go istoty wyjątkowo doskonałe?...

Nie wiem, nie zdawałem sobie z tego sprawy i nie starałem się o to, — ale żadna z błyskotliwych, aż nadto mi znanych pokus jej płci, nie znęciła mnie ku niej, to pewna.

Wzywała ona i zatrzymywała swą dobrocią, prostotą i czystością. Przymuszała bezwiednie poświęcić sobie wszystko... milczącą, nieświadomie wypowiadaną wszystkiemi składnikami kobiecej istoty obietnicą oddania całego swego życia — za drugie. Odurzała jak woń kwiatu, jak widzenie nadziemskie, i jak widzenie odbierała poczucie prawdopodobieństwa, wpajając ślepą wiarę w możliwość szczęścia i w jego trwałość...

Kilka kropel narkotyku robią to samo, — nie miałażby być zdolną do tego kobieta, najcudowniejszy w oczach męzkich utwór natury?

W jej obecności,—a nie mam na myśli obecności fizycznej, dość było, kiedy się zjawiła w mej wyobraźni,—wyśmiewałem wraz z tobą mój stary przyjacielu, dawnego siebie i podda-

wałem się napełniającej mnie zdradliwie rozkoszy uczuć, doznawanych po raz pierwszy.

Dlaczego jednak unikałem cię?... Dlaczego przez cały okres tego delliryum nie przyszedłem ani razu powiedzieć ci: oto mnie masz takiego, jakim mnie mieć chciałeś! — Dlaczego z tłumionym ale wracającym niepokojem zamykałem oczy i uszy na wołania mojej dawnej istoty, których wyparłem się, które zepchnąłem na dno duszy, na samo dno, aby je tam przywalić zwycięzko wznoszącą się budową nowego, lepszego życia, dalekiej i jasnej przyszłości, znanej, spodziewanej, upragnionej...

Znanej, spodziewanej—upragnionej?... O ironio! Upragnionej dla mnie, który nie znałem nigdy większego ciężaru, niż: spodziewać się — większej katuszy, niżeli: być pewnym; dla którego najbardziej wymarzona rozkosz stawała się wstrętną, skoro tylko przestała być wątpliwą i miała swój oznaczony czas, formę, miejsce, a nie była czemś, bodaj częściowo nowem i niespodzianem; który porzucałem nieraz po długich zabiegach z trudem uzyskaną schadzkę, dlatego tylko, że byłem jej pewnym, który zrażałem sobie szczerze przychylnych mi ludzi, dla-

tego tylko, że przeniknąwszy ich na wskróś, nic więcej nie znajdywałem w nich nowego...

To dziwne — ale wrodzone.

I ja teraz w przeciwieństwie do całej mej natury nurzałem się, wmawiając w siebie z uporem zaślepieńca: jakżeż ja będę szczęśliwy!!.. jakiż ja zdrów jestem!..... Z przymkniętemi na złowróżbne refleksye oczyma, gorączkowo spieszyłem do chwili, która miała mnie ubezpieczyć w posiadaniu tego zdrowia, ubezpieczyć niewątpliwie i na całe życie, niby potęgą cudownego zaklęcia — tą jedną godziną uroczystego związku i uroczystej przysięgi.

W oszołomieniu przyspieszanych przygotowań doczekałem się wreszcie tej chwili rozkosznej — o! rozkosznej nad wszelki wyraz; wyznaję to i przysięgam nawet teraz, kiedy ta rozkosz minęła, jak mija widzenie ducha, podniesionego ekstazą, przed którem trzeźwy chłód codziennego życia chyli czoło, chociaż go nie rozumie już i nie odczuwa więcej po jego przejściu...

Mówiłem raz—pamiętasz?—że warto się zabić, aby zaspokoić ciekawość śmierci, kogo ona pali...

Dla podobnej ciekawości zdobycia upragnio-

nych wrażeń, nieznanych a potężnych, poświęciłem wszystkie wrodzone mi wstręty...

Stało się to wczoraj, przy blasku świec, dźwięku organów, widoku uroczystych twarzy i uroczystych obrzędów, wśród całej tej działającej na wyobraźnię sceneryi, która oparta na znajomości natury ludzkiej, różową mgłą przesłania ścieżkę życia w tem miejscu, gdzie po za kobiercem i kwiatami zaczynają się wyboje i osty.

Było w tem trochę przykrego przymusu robienia z siebie widowiska dla ciekawych oczu obojętnego mnie i jej tłumu — lecz potem... Potem zatarła i nagrodziła wszystko omdlewająca z słodyczy i błogości kryzys oczekiwania, nieporównany czar pierwszego sam na sam i pierwszego, zdającego się wszystko szczęście całego świata oddawać w posiadanie spojrzenia zgody i poddania, które wydaje się jakby bezpośredniem, dziwnie, dziwnie rozkosznem muśnięciem się dusz... A potem...

Potem miała nastąpić upragniona i z niezachwianą pewnością spodziewana przezemnie trwałość szczęścia, pochwyconego na powszechnie praktykowany sposób, według starej, wypróbowanej recepty...

Usnęła z uśmiechem miłości i szczęścia — a ja zostałem sam, po raz pierwszy sam... pomiędzy przeżytą dopiero co chwilą rozkoszy, a mającym teraz nastąpić szeregiem chwil dalszych, które złożą przyszłość...

Przyszłość!...

O nieszczęsny! zatajony we mnie a wiecznie i wiecznie czyhający gadzie niewiary i zwątpienia, ty okrutny, rozkładający zabójczo ducha, który mi zasępiałeś najpogodniejsze momenta życia, ukazując ich krótkotrwałość, ich fałsz, ich nicość — ukazując, jak rzadko mamy złudzenie szczęścia i jak raz przeżyte, nie wraca ono nigdy, a wszystko, co zdaje się przypominać dawniej przeżytą rozkosz, jest od niej lichsze, słabsze, brzydsze... Ty bezlitosny, na moją zgubę wszczepiony we mnie, od tak dawna mi znany, jak szatan kuszący podszepcie: że najstosowniejszą chwilą zgonu jest chwila szczęścia, chwila rozkoszy...

Wychyliwszy słodką czarę, skonać z uśmiechem na ustach, zanim te usta wykrzywi gorycz szumowin, które zatruwają każdy napój, tak jak w każdem życiu tkwi posiew przeznaczonej mu

śmierci, a w każdej sile jedno, zaczajone, mające ją kiedyś rozłożyć drgnienie niemocy...

O bezlitosny, okrutny nałogu zwątpienia i rozpaczy! dlaczegóżeś mnie nawiedził tej właśnie nocy, znajdując mnie tak bezbronnym pośród jej mroku i ciszy, tak wypalonym po zgasłych co dopiero żarach zakosztowanych uniesień?...

Stało się we mnie coś zadziwiającego...

Spojrzałem na śpiącą opodal kobietę — nieba! jak ja ją nazywam!...— na moją żonę, na moją ukochaną, drogą żonę... jak na obce ciało, zawierające obojętną mi duszę...

Myślałem o świeżo minionej chwili, jak o obłędzie nieprzytomnych zmysłów, o wszystkiem, co zaszło, co minęło już... minęło bezpowrotnie!.. jak o zawrocie głowy, jak o przebytej chorobie!..

Bo to nie było zdrowie! przenigdy! była to choroba!...

Chorobą było dla mnie znalezienie się w przeciwnym mej naturze nastroju, który jest zdrowiem innych ludzi. Chorobą to skrępowanie w zapały obcej mi ufności wrodzonych mych zwątpień. Popadłem w nią, pociągnięty tkwiącą

widać i we mnie cząstką powszechnej skłonności, omamiony widokiem kobiety, która opętała mnie wyjątkową swą siłą... albo też... wyzyskała chwilę mej słabości...

Tak jest! chwilę słabości! słabości, w którą popadłem — w którą zacząłem popadać — tracąc indywidualne cechy mej istoty... chwilę niemocy nadchodzącej starości, kiedy niezdolni walczyć o zachowanie właściwej nam, odrębnej postaci, przyjęciem form, narzucanych przez powszechność, okupujemy spokój lenistwu naszemu lub niedołęstwu...

Niezdolny więc już byłem odtąd bronić swej niezależności, pośród ogólnego prądu własną iść koleją!... dawałem się mu porywać!...

I zgroza mię przejęła — zgroza! jak gdybym spostrzegł na sobie pierwszy atak śmiertelnej choroby, wstrętnej i straszliwej, która nurtuje wskutek jakiegoś przedwiecznego zakażenia ludzkość całą. Nieuchronna, powszechna, przyszła i na mnie, objawiła się już i zacznie mnie zwolna trawić, dopokąd nie stoczy ze szczętem...

Był to więc pierwszy paroksyzm niedołęstwa i ciasnoty, któremu pod wpływem kobiety ule-

głem, na własną zgubę odpychając od siebie głuche z głębi mej istoty dopominanie się o zachowanie prawdziwego jej kształtu i tłumiąc je w sobie, z ślepą chorobliwych zechceń wiarą w zabobon sięgnąłem po czczone przez wszystkich, a przecież wszystkich zawodzące misteryum życia...

I cały dawny człowiek, cała dawna treść mojej duszy, która odtrącana gromadziła się i piętrzyła, z dniem każdym przybywając i rosnąc, zwaliła się teraz na mnie nawałem wrodzonych popędów. I powstał przedemną ten wypoczęty olbrzym, ten szatan, który każdego z nas do zgonu po bezdrożach wodzi, szatan właściwej każdemu z nas odmiany ułomności ludzkiej. I stanąłem, ocknąwszy się, ja dawny, ja istotny i prawdziwy, wobec zadanej temu jedynemu, rzeczywistemu, na chwilę tylko opętanemu ja, niecofniętej krzywdy i gwałtu, jak ktoś, coby po otrzeźwieniu przeczytał na samego siebie w chwili nieprzytomności własną ręką podpisany wyrok śmierci.

Życie, które w pogardzie dlań dawniej znosiłem, bo nie obiecując nic, obiecywało wszystko — stało przedemną teraz jak ciasna i brudna cze-

luść więzienna, ponieważ przedstawiało się moim oczom w ściśle określonych kształtach, takich a nie innych, znienawidzonych kształtach pewności, zohydzonych tem wszystkiem, na co od dzieciństwa u innych patrzyłem z największą odrazą.

Jakiem ono będzie to życie, którego każdy moment mogłem odtąd i musiałem przewidzieć z cisnących się do oczu zewsząd przykładów, z obserwacyi całej mojej przeszłości... Jakiem ono będzie?

Najpiękniejsza jego chwila minęła i nie powróci nigdy więcej! nigdy!

Urok jej, gasnąc stopniowo, w coraz to bledszych powtórzeniach, zniknie niebawem do szczętu, zwolna zamieniając chwilę blasku w pochmurny smutek bytu, chylącego się ku zachodowi...

Zaczniemy się starzeć i psuć... Ciało nasze zbrzydnie, a dusze zmęczą się i zniechęcą...

Przyjdą choroby, zawody i troski, drobne na codzień, wielkie na święto, te dokuczliwe swemi rozmiarami a tamte liczbą, coraz większe i częstsze z powodu przymusu liczenia się z ludźmi,

w których zakon głupoty i złości się teraz wprzęgło.

Na znikające, a nawet trwałe przymioty nasze będziemy się stawać coraz nieczulsi, bo słaba dusza ludzka przesyca się i obojętnieje tak łatwo — tylko wady i braki nasze odczuwać będziemy coraz dotkliwiej, z rozwijającą się z wiekiem zdolnością cierpień, którą dobroć życia zostawia nam do samej śmierci, nie żałując mąk w samej chwili zgonu.

Przyjdą dzieci, do których się najpierw przywiążesz, a które cię potem opuszczą; którym najlepiej z całej ludzkości życzysz, a dla których nic, podobnie jak dla siebie samego, uczynić nie jesteś w stanie, by je uchronić od ogólnej reguły zawodów i bólów; te opłakane, urągające ci odbicia ciebie samego, które zmuszony jesteś przez prawo natury wyróżniać i kochać wpośród mrowia robactwa ludzkiego za to, że ci najwierniej przypominają własne twe ułomności, w których po raz drugi przechodzisz niczego nauczyć nie mogącą zgryzotę rozczarowań, przekazywaną z pokoleń w pokolenia. Bo czyliż dać może inne rezultaty prócz rozczarowań

stworzenie rodziny komuś, co czuje żywo i jasno myśli?...

Tak wlec się będzie życie nasze, z dnia na dzień wytknięta włóczęga dwojga skutych z sobą na zawsze istot, oddalających się nieprzerwanie od pięknego uśmiechu życia po to, aby od czasu do czasu, wstecz się obejrzawszy, dostrzegały, jak go zostawiają daleko i coraz dalej za sobą, aby przed sobą widzieć coraz ciemniejszą przepaść, a w sobie samych odnajdywać coraz mniej dawnych uczestników niezapomnianych i niepowrotnych uniesień poranku dni swoich.

I przyjdzie nakoniec starość, skazująca nas z wyczerpaną zdolnością do szczęścia widzieć i bodaj trochę odczuwać szczęście drugich, a tak bardzo, tak niezmiernie go zazdrościć — rozpaczać w niemocy zdobycia go, zakosztowania raz jeszcze — udręczać się pytaniem bez odpowiedzi o cel tego pochodu z góry na dół, z wyżyn w przepaście...

A z nią przyjdą wstrętne, obrzydliwe dnie lęku przed zgonem starca, niezdolnego poddać się śmierci, choć dawno już żyć nie potrafi, niepotrzebny drugim, samemu sobie nieprzydatny.

Starość!... Czyż jest coś okrutniejszego nad te

lata kary za przeżytą młodość, kary i tortur niewymownych, jakie sprawiać musi uczucie stopniowo ubywających sił, więdnącego ducha, chylącej się ku ruinie istoty całej?... nad ten nieustanny, wszędzie z sobą obnoszony proces własnego upadku istoty, która przeżywszy wyznaczony sobie okres czasu, z dniem każdym zbliża się do nieuchronnej, nieodwołalnej zagłady!..

Brrr! dreszcz mnie przeszedł. Zdaje mi się, że chłód mrozi moją wyłysiałą czaszkę, ledwie przysłoniętą ostatkiem siwych włosów, że brzydzę się własnemi członkami, na pół strupieszałemi, że już podlegam zgrzybiałości, że ulega jej ona, ona! która niegdyś była różową, świeżą, pachnącą, — że jej nienawidzę nienawiścią trzydziestu lat pożycia, które daje poznać wszystkie błędy, że ją nienawidzę za tę jej niewłasnowolną, przez naturę narzuconą starość, za zdradę, jaką starość ta popełnia przeciwko mnie na jej młodej duszy i ciele dziewiczem... że przeklinam w niej bezsilnym wyrzutem pokrzywdzonego przez wyższą potęgę — całą niezmienną, tak opłakaną i tak nędzną treść życia, na jakie skazuje nas bezlitosne okrucieństwo natury.

Jakże-bo straszliwą natura czyni z nas so-

bie igraszkę, tyle kłamliwych przyrzeczeń w pierwszych ułudach życia rzucając nam na przynętę, aby nie spełnić ich nigdy, popędzając nas tylko w nieskończoną a bezowocną pogoń za mamidłami swych obietnic, które, brudnym fortelem szynkarzy, dawszy nam pierwszą czarę słodyczy, kuszą do pożądliwego sięgania po następne, napełnione mętami... mętami zawsze! coraz brudniejszemi mętami do ostatka!... Ohydny podstęp, uknuty przez brutalną despotkę na to, by zaprządz w swą ciężką służbę nas niewolników, potrzebnych w całokształcie wszechrzeczy, którego tak drobną, znikomą i biedną jesteśmy częścią.

I naraz, poznawszy tego ukrytego we własnym swym ogromie wroga, zapieniłem się wściekłością małego i wątłego robaka, który zagrożony przez większe, silniejsze zwierzę — zabija się, aby się tylko nie stać bezsilnym łupem tamtego.

Uczułem się na siłach obrócić w niwecz przebiegłość tego potworu i porwała mnie szalona żądza takiego zwycięztwa, bo poznałem jego broń i spostrzegłem tę, jaką sam, nie wiedząc o tem dotychczas, posiadałem.

A posiadam ją!... posiadam niewątpliwy spo-

sób, przystępny dla wszystkich, po który jednak tchórzostwo, głupota, nikczemne zamiłowanie kajdan życia innym sięgać nie pozwalają...

Bronią tą: śmierć!...

Tak! śmierć!...

Co za wspaniała, potężna, ile zapewniająca tryumfu, ile zadająca upokorzenia broń do obalenia milionkroćrazy silniejszego przeciwnika, do zdeptania jego przewrotności i zdrad!...

Dreszcz rozkoszny wstrząsa mnie na myśl, ile siły daje niezależny, trzeźwy rzut oka przebudzonej świadomości!...

Tak jest! zdobędę ten tryumf i to szczęście najwyższe: nie dać się skrzywdzić, nie dać się zaprządz w jarzmo!...

Bo czyż nie jest szczęściem uniknięcie tego, co nam się przeciwnem mu wydaje?... Jest niem niewątpliwie.

Czyż nie jest najwyższym tryumfem tyranizowanego przez przemoc natury człowieka, ogłupionego przez nią chytrze wpojoną obawą śmierci, wzgardzić jej obłudnemi pokusami, wziąć przynętę, nie pozwalając się złowić na haczyk — przyjąć z góry zapłatę ciężkiej, krwawej, upa-

dlającej służby życia i nie dać za nią nic, — nic! nic!!...

Czy to nie jest tryumfem! czy to nie jest siłą! czy to nie jest rozumem!

Jest — i przeczuwałem to w tylokrotnych pokusach śmierci, nasuwających się właśnie w chwilach lepszych, jaśniejszych, — a przeczucia te były budzącą się czujnością mego ducha i teraz dopiero dojrzały i zamieniły się w niezachwianą pewność!

Nareszcie!

Umrę. Umrę za chwilę. Piszę to bez trwogi, z spokojem raczej, jeżeli spokojnym można nazwać człowieka, uniesionego tem bez miary radosnem przeświadczeniem, że za chwilę wyswobodzi się z zagrażających mu niechybnie tortur, ponieważ nie jest jak wszyscy ślepym i słabym.

Umrę! umrę!! — nie znam w tej chwili piękniejszego, bardziej dźwięcznego i wspaniałego wyrazu!... Jak on upaja!... pieści!...

Lecz naraz... ten szmer po za memi plecyma... ten szmer kobiecej bielizny, szmer ruchu jej ciała...

O! jakżeż jesteśmy słabi!... Jak słabą jest dusza nasza i jak podłem wszystkich jej klęsk

winne ciało, jak ohydnie nikczemną we wszystkiem zarówno jest przyroda, rzucająca nas na pastwę tych dwóch nierozdzielnie spojonych, a sprzecznych, wzajem się gubiących i wrogich sobie żywiołów...

Jak nędznem jest posłannictwo kobiety, która nas rodzi do cierpień, w zabiegach o siebie każe podejmywać wszystkie marne i głupie wysiłki życia, każe je następnym, równie jak my sami nieszczęsnym nędzarzom zbrodniczo przekazywać, i zawsze pochłania wszystkie nasze siły i wywołuje wszystkie występki, jeśli się jej oddamy, a pozostawia nieukojony żal i udręczenia, jeżeli nią wzgardzimy...

Jakiem szyderstwem z naszych uczuć jest ta kobieta, której pożądanie doprowadza nas do szału w jednej chwili, aby nam ją zaraz potem uczynić wstrętną niemal — a za chwilę znowu rzucić w jej objęcia i znowu odepchnąć... utrzymując nas, podobnie do wszelkich doświadczeń życia, w ciągłej zmienności, w ciągłej rozterce i niepewności, w ciągłej zwodniczej pogoni za niczem!...

A przecież jedną z nich, tę, której oddech senny za memi plecyma słyszę — kocham! bo

istota moja posiada wszystkie ludz kie instynkta pozbawiona jedynie zasłaniającej ich marność samolubnej ślepoty.

Czyż jednak ulegnę? czy dam się pociągnąć jej, którą niedawno kochałem jak inni, a teraz, kocham napowrót według własnej natury, litując się nad wspólnym jej ze mną losem?

Czy ulegnę, aby jej i sobie zgotować wszystkie zawody ludzkiej egzystencyi, które widzę jak na dłoni i których w jeden tylko sposób da się uniknąć?...

Nie! trzeba być silnym.

Umrę — ale i ona umrze także.

Zabiję ją.

Zabiję ją, bo ją kocham.

Zabijając ją, spełnię najwyższy akt posiadania, zabiorę to życie, które mi oddała, zabiorę ją z sobą w nicość...

Wszak zaprzysięgliśmy sobie wspólną dolę...

Powiem jej, wytłomaczę, oświecę, przekonam...

Pokażę jej życie takiem, jakiem je sam widzę, i przejmę ją dla niego tą wzgardą, jaką sam jestem przejęty...

Hola! A jeśli... jeżeli ona mnie nie zrozumie...

jeżeli nie dość będzie rozumną, aby mnie pojąć... niedość ufną, aby uwierzyć... niedosyć kochającą, by się poddać...

Jeżeli weźmie mnie za szaleńca, zamiast widzieć we mnie bez granic oddanego kochanka.

Co się wówczas stanie?

Co wynagrodzi mi ból tego zawodu? jaką będzie moja śmierć wówczas — lub życie, bo czyliż będę zdolny i wówczas jeszcze umrzeć?...

Czy nie zatrzyma mnie ona, nie upoi, nie opęta tak łatwo wkradającemi się w duszę, oplątującemi wolę zaklęciami i wyznaniami kobiety?...

Czyliż oprę się jej wpływowi potężnemu, raz już uległszy?...

Albo czyli znalazłszy ją inną, niżeli mniemam nie zohydzę sobie tej najdroższej dotąd ze wszystkich, tej tak drogiej istoty?... i czy nie zabiję jej wówczas ze wstrętem i wzgardą, jak liche zwierzę, które zawiodło mą ufność?...

Nie!... zabiję ją bez jej wiedzy i woli, zabiję nie dłonią zbójcy, lecz dłonią kochanka.

Popełnię może gwałt? zbrodnię? bezprawie? narzucając jej swą wolę; może postąpię nikczemnie, odbierając jej życie w ten sposób?...

Lecz cóż lepszego czynią ci, którzy przyku-

wszy nas do siebie na lat dziesiątki, stopniowo, po troszę, cedzą w nas jad śmierci, zabijając nas powoli, niepostrzeżenie, trującem oddziaływaniem swej bliskości, swych wad, swoich przywar, swego samolubstwa, — jeżeli nie swoich podłości i zbrodni?!...

Mamże i ja w ten sposób ją udręczać pod pozorem wspólnego życia, przez dnie, miesiące i lata? Mam po obietnicach tylu zawodzić ją przez pół wieku, czy też poznawszy niepodobieństwo spełnienia danych przyrzeczeń, uwolnić ją jednym ciosem, zanim się śmierci przerazi, zanim spostrzeże, że jej ulega...

Zresztą zabiję ją, bo nie chcę jej zostawiać w tym brudzie, od którego sam uciekam, bo ją kocham!... bo jestem zazdrosny o samo życie, któreby ją posiadało po mem odejściu, a cóż dopiero o tego, który... ach!... zdołałby może... i niezawodnie... pozyskałby jej serce...

Zabiję ją wreszcie, bo jest to ostatnia żądza mej miłości, ostatnia, jaką pragnę zdobyć tu jeszcze między wami, cząstka szczęścia.

Gonicie za niem wszyscy!! — i ja je mieć muszę«.

Wanna.

Jeszcze pani Ulska, mała i szczupła, ciemnowłosa kobietka, zamężna dopiero od pół roku, nie miała czasu zapomnieć uśmiechu i głosu, jakim jej niespodzianie narzucił swe prośby grzeczny, chociaż tak mało znany sąsiad, jeszcze nie odzyskała tyle spokoju, aby się zastanowić, jak się to stało, że nie odmówiła, — kiedy przysłana służąca, powołując się na daną obietnicę, z pomocą drugiej zabrała wannę, o którą szło, na górę i widać teraz było, jak ją niosły przez ganek, dalej przez schody, aż w końcu zniknęły razem z nią w drzwiach mieszkania na drugiem piętrze. Wkrótce potem zaczęto tamże wodę znosić konewkami.

Skoro pani Ulska ujrzała to zaufane naczynie czystości i zdrowia w cudzych rękach, unoszone na użytek osoby obcej, nieznanej, i wyobraziła ją sobie na swojem miejscu używającą

rozkoszy ciepłej kąpieli, uczuła niesmak tak przykry, jakby w jej oczach oblekał ktoś brudne swe ciało w jej czystą i świeżą bieliznę, i teraz dopiero prośba wydała się jej zuchwalstwem, a zadośćuczynienie jej niedorzecznością. Doznała przytem owego niemiłego uczucia, jakie się budzi w samolubach, kiedy przez próżność okazania się uczynnymi, zmuszeni wyrzec się chwilowo na czyjąś korzyść wyłącznego rozporządzania swą własnością, dręczą się obawami, co się z nią dziać będzie, czy ją odbiorą w całości.

Zaczęła sobie wyrzucać niewczesną dobroć, zła na siebie i na natręctwo sąsiada.

W tem nieukontentowaniu znalazł ją w pięć minut potem mąż, mały, czupurny urzędnik intendentury, z twarzą zawsze czerwoną, brwiami zawsze namarszczonemi groźnie, i wąsem zawsze w górę zuchowato wykręconym. Dumny z prawa noszenia munduru, który oblekał parę razy na rok do przeglądów, uważał się i w stroju cywilnym za wojskowego, nadawał sobie odpowiednią minę i wymagał, aby się z nim bardzo liczono, o byle drobnostkę gotów wybuchać

wielkim, łatwo gasnącym gniewem, podobnym do teatralnych błyskawic.

— Jesteś jakaś nieswoja? — od jednego rzutu oka zauważył, po zrzuceniu surduta, dla gorąca, w kamizelce tylko siadając do stołu, na którym kurzyło się z wazy. Spóźniwszy się nieco na obiad, był dzisiaj wyjątkowo głodny i zabrał się ochoczo do jedzenia.

— Ach, bo wyobraź sobie...

I napełniając mężowi talerz, zaczęła rzecz o wannie. Słuchał, dmuchając w łyżkę zupy. Zanim ją połknął, zmarszczył się i mruknął krótko, z niecierpliwem poruszeniem całego ciała:

— Impertynent.

— Przeciwnie, bardzo grzeczny — zaprzeczyła żona z zakłopotaną minką.

— Ale co za śmiałość!... Był tutaj?

— Spotkałam go na ganku.

— Na ganku cię o coś podobnego zaczepił?

— Tak, kiedy przechodziłam. Mówił, że to dla żony...

— Co za natręt — i zaczerpnął powtórnie z talerza.

Zupa jednak, gorętsza niż zwykle, na rozgrza-

nej już łyżce stygła teraz pomału i wystawiała cierpliwość zgłodniałego na próbę. Odezwał się zatem, aby czemś skrócić czekanie:

— Trzeba mu było przynajmniej odpowiedzieć jak należało w podobnym wypadku.

— Trudno było...

— Ale odmówiłaś?

— Właśnie, że nie.

— Jakto!... nie?!...

— Nie miałam na razie wymówki.

— Niby to coś tak trudnego!

— A cóż mogłam powiedzieć?

— Że wanna właśnie potrzebna, że nie masz zwyczaju jej pożyczać, a ostatecznie — nic. Przecież nie mamy obowiązku. Pamiętaj, jeżeliby się przypomniał, odmów stanowczo.

Spróbował jeść małemi haustami z brzegu talerza, gdzie płyn był nieco chłodniejszy. Wtem żona wtrąciła:

— Kiedy już przysłał po nią...

— No i...?

— Zabrał...

— Jakto!... Pozwoliłaś?

— Tak nagle się to stało...

W tejże samej chwili, gdy wymawiał te słowa,

sparzył się ukropem w język. Odłożył łyżkę gwałtownie i odsuwając korpus od stołu, wykrzyknął podniesionym głosem dobitnie:

— Jakżeż można było! obcym ludziom! wannę!... Że też ty mogłaś!... Nie, nigdybym się tego po tobie nie był spodziewał. Proszę cię, poszlij ją zaraz odebrać...

— Teraz? pod jakim pozorem? — odparła zmięszana.

— Ach! to mi już wszystko jedno. Pod jakimkolwiek. Podobna ordynarność!... Oni jutro gotowi zażądać od nas pościeli!...

Oburzenie w nim rosło na widok dymiących potraw, których nie mógł dotknąć.

— Ale to się tak skończyć nie powinno. Temu panu należy się nauczka. Zaczepiać cudzą żonę dla wanny!... Dajno mi papier i pióro.. Albo nie...

Zaperzony zerwał serwetę z szyi i powstał, odsuwając krzesło z impetem. Ona wstała również zaniepokojona.

— Dokąd chcesz iść? — zapytała.

— Do niego!

Drżenie ją przeszło, miała go za bardzo gwał-

townego, nieustraszonej odwagi człowieka, który na wszystko się waży.

— Poszlij lepiej — prosiła, — po co się narażać na niepotrzebne zajście...

Rozpostarł ramiona zgorszony.

— Ależ ty chyba nie pojmujesz kobieto?... Wanna! Napadać nieznajomą o wannę!... To tak, jakby cię prosił... albo ja wiem, mnie już słów braknie... On cię znieważył! rozumiesz?.. Takich rzeczy nie puszcza się płazem... Byłbym chyba niedołęgą... Nie pozwolę przecie, żeby moją żonę pierwszy lepszy... To bezczelność!.. Czyż ty tego nie czujesz?

Uczuła.

Dała się unieść jego gwałtownym giestom i płomiennemu spojrzeniu. Uwierzyła, że ją ciężko obrażono. Zarumieniwszy się, przyznała, że tego niepodobna puścić bezkarnie.

Tak jest!... co temu człowiekowi się zdawało gdy żądał od niej sprzętu, równie drażliwego jak cel, do którego służy, sprzętu, którego samo wspomnienie nasuwa myśl o nagiem ciele...

Teraz sama nalegała na męża, aby poszedł upomnieć się o jej krzywdę. Miała łzy w oczach, kąciki ust drżały jej żałośnie, — a kiedy ją za-

czął uspokajać, mówiąc, aby nie brała tego tak bardzo do serca, bo to przecież nie jej wina że ktoś jest gburem, — rozpłakała się na dobre, do głębi przejęta doznaną obelgą.

Ledwie ją utulił, poczem dla dodania sobie powagi przywdziawszy mundurową bluzę i czapkę, wybiegł z mieszkania, utwierdzony jej łzami w zamiarze załatwienia sprawy seryo.

Kipiąc, wpadł na drugie piętro. Przez odchylone drzwi kuchni, w której nie zastał nikogo, tylko obsychające po umyciu talerze i widelce przypomniały mu jego własny, zaledwie napoczęty obiad, wszedł do pokoju.

Na pierwszy rzut oka wydało mu się, że i tu także nie ma nikogo i już zamierzył następne drzwi przekroczyć, gdy naraz potrącił ruchem ciała i wywrócił lekki, patyczkowy parawanik, który osłaniał przed nim aż dotąd wannę, a w wannie młodą kąpiącą się kobietę.

Na widok obcego mężczyzny wydała okrzyk i z przerażeniem w oczach co żywo zaczęła zakrywać wnętrze naczynia przewieszonem przez brzeg prześcieradłem.

Lecz skutek był częściowy: szyja i ramiona

zostały widoczne, a także głowa, apetyczna główka kobiety w pełnym rozkwicie, z włosami obwiązanemi fularem, z twarzą w rumieńcach.

— Kto pan jesteś?!... czego pan tu chce?!... — zawołała piskliwie, pomięszana, cała w wodzie, której ciepłe, delikatne dotknięcie dawało jej żywiej uczuć kompletny negliż.

Ulski, niemniej zdumiony, był w wielkim kłopocie, co począć z nadmiarem przyniesionego gniewu. Spodziewał się zastać mężczyznę, — o nim, biegnąc tu, myślał, tymczasem ta kobieta w wannie...

Nagle przypomniało mu się echo krążących po domu pogłosek o tej młodej parze, którą z pewnem wahaniem nazywano małżeństwem, i o niej, o której wspominając, mężczyźni przymrużali jedno oko i mlaskali językiem, jeżeli żony nie było w pobliżu.

Stał więc, przykuty do miejsca myślą o tym kawałku płótna, który go od niej oddzielał i mimowoli, napięciem wyobraźni, wnikał po za tę cienką zasłonę.

— Najmocniej panią przepraszam — bąkał w celu przedłużenia swej obecności, — nie spodziewałem się, że... Sądziłem, że mąż pani...

— Ależ... przecież pan widzi, że go nie ma... Jak można do cudzego mieszkania tak wchodzić... Służąca gdzieś poszła, nie zamknąwszy drzwi... Anusiu!... Nie ma jej... Ach, Boże...

— Niech mi pani wybaczy... Daję słowo... Ja nie chciałem...

Plotąc, co mu na język przyszło, dając się coraz bardziej owładać roztargnieniu na myśl o tej, tak bliskiej siebie nagości kobiecego ciała, która nęci, woła, porywa, — wystawiając się na jej pytania i wikłając się w nich, wygadał się, że przyszedł z powodu wanny, którą zabrano bez wiedzy jego żony...

Wannę?... bez wiedzy?... — zdawała się nie rozumieć. Nagle, pojąwszy, zawrzała gniewem, który zabłysnął w jej oczach wyzywającą żądzą skandalu. Nie skrępowana już bynajmniej swem drażliwem położeniem, przeciwnie, chciwa doprowadzenia go do ostateczności, owładnięta jednem z tych uniesień, które jej w całym domu pozyskały opinię bziczka, zdolnego do największych szaleństw, zawołała:

— Ach! więc pan przyszedł odebrać... O! jeżeli panu o to chodzi?... jeżeli pańska żona się

obawia?... jeżeli państwo sądzicie... proszę, niech pan zabierze... nie zatrzymuję...

I wynurzyła się z wody, mokra, ciągle pod prześcieradłem, wyrzucając z sykiem przez zęby, pomimo zatrzymujących giestów Ulskiego, który osłupiał:

— Zabierz pan, zabierz natychmiast...

W jego oczach białe płótno przylgnęło do jej wilgotnych kształtów, które ukryła za poręczą łóżka, siadając w kącie na czemś niskiem, na walizce lub stołeczku, nasycając złośliwą żądzę wmówienia w tego męża, przysłanego tu przez żonę po odebranie wanny, że zastawszy ją w niej, kazał jej wyjść z kąpieli. Między wanną a tą kryjówką w półciemnym kącie, zostały na podłodze tylko ślady jej mokrych stóp, niknące odbicia drobnych nóżek, w wannie zaś, pustej teraz, rozkołysana woda podrzucała w górę połyskujące fale, jak gdyby chcące ścigać, odzyskać to ciało, z którem się pieściły niedawno, którego miały niedosyć.

Ulski popadł w rozpacz.

— Dla Boga! co pani zrobiła!... — wołał zrzucając z siebie wszelką za jej postępek odpowiedzialność, przestrzegając, że się naraża na

przeziębienie, błagając, aby dokończyła przerwanej kąpieli.

Odetchnąwszy nieco, odczuła wreszcie śmieszność chwili i z śmiechem tłumionym zapytała:

— Pan jeszcze tu?

Corychlej oddał ukłon niewidzialnej, potykając się na wywróconym parawanie, i wyszedł, cały w potach, osądziwszy, że musi wyjść, a myśli jego zostały za nim.

Wyobrażał ją sobie, jak zrzuca teraz prześcieradło i wstępuje napowrót do wanny, najpierw jedną nogą, potem drugą, z rękoma wspartemi o brzegi. I naraz uczuł, że powinien był zostać...

Lecz w tejże chwili rozległ się trzask zamku za jego plecami.

Zamyślony kroczył po schodach.

Nim zdążył ochłonąć ze wzruszenia, obudził go troskliwy głos żony, która wyczekiwała go przy drzwiach z pocałunkiem, jak rycerza, co stoczył zwycięzką walkę w jej obronie:

— Czyś się tylko zanadto nie zirytował?

Machnął ręką w odpowiedzi na jej czułe pytanie, zdjął kurtkę i zmierzając prosto do stołu,

bez jednego na żonę spojrzenia począł zakładać serwetę.

Czując jednak utkwiony w siebie wzrok kobiety, ciekawej dowiedzenia się przebiegu sprawy, wyrzucił szorstko:

— Rozumie się, że się zirytowałem. Rzecz prosta. Ale komu to mam do zawdzięczenia?!... komu?!...

Pochylił się nad talerzem i wlał łyżkę zupy w usta. W tej samej jednak chwili skrzywił się niemiłosiernie. Wystygła zupełnie i jeść jej nie było można. Podobnie reszta potraw — cały objad był do niczego.

Cholera.

I.

Wróżona od lat kilku, każdego lata oczekiwana pewniej, z coraz to innej strony, w chwili nakoniec, kiedy się z jej możliwością już oswojono i kiedy o niej mało kto myślał — przybyła.

Po kilku dniach niepewnych pogłosek dzienniki jednego wieczora doniosły:

»Wczoraj stwierdzono w naszem mieście sześć wypadków cholery — z tych jeden śmiertelny«.

Osobno w sążnistych artykułach nawoływania władz do czujności mieszkańców, do posłuszeństwa rozporządzeniom, przestrogi i rady.

Tegoż samego dnia panika jak wicher wionęła po mieście, wstrząsając wyobraźnią i nerwami ludności, kładąc słowo: cholera wszystkim na usta i wszystkich myśli, sp+ło-

szone, strwożone, skupiając na fatalnej nowinie. Udzielano jej sobie, przerażano nią drugich i z wzbudzonego przerażenia czerpano podnietę do tem większego dla siebie strachu. Odnawiano znajomości z lekarzami, ze czcią patrzano na apteki, niespokojnie przypominano sobie treść ostatniego objadu i szukano w twarzach znajomych i nieznajomych pierwszych objawów choroby. Ludziom naraz wszystkie dotychczasowe ich troski wydawały się małemi, zniechęconych do życia najniespodzianiej myśl o nagłej śmierci straszną przejmowała trwogą, hypochondrycy łapali się za brzuchy, a ci, których stać było na wyjazd, dowiadywali się na gwałt, gdzie jeszcze cholery nie ma i pakowali manatki. Większość przysłuchiwała się wieściom obojętnie lub przyjmowała żartami opowiadania tych, co przeżyli dawniejsze epidemie. Ci ostatni przez najbardziej wystraszonych otaczani byli podziwem, jak bohaterscy uczestnicy zwycięzkiej kampanii, wyciągani na słówko, jak gdyby ukrywać mogli sekret zwalczenia strasznej choroby. Wypytywano ich najdokładniej o ich tryb życia w czasie poprzedniej epidemii, o to, co jedli, pili, co robili, jak się ubierali, nieledwie co my-

śleli. Ile przy tej sposobności nałgano z żartów i dla popisu, daremnem byłoby badać.

Wacek, wyczytawszy pod markizą letniej kawiarni wiadomość tę z gazety, nad szklanką kawy, w której właśnie łyżeczką cukier rozgniatał — zbladł, przestał kawę mięszać, ujął dziennik w obie ręce, i ze skupieniem raz jeszcze szybko oczyma przebiegł artykulik, zatrzymując na nim wylękłe spojrzenie.

— Więc jest! — pomyślał, i mrowie przebiegło mu po całem ciele, przenikając go zimnem aż do kości.

Serce zaczęło mu bić gwałtownie, oddech stał się ciężkim, skóra na nim ścierpła, myśl w nim zdawała się zamierać wobec tego strasznego odkrycia, wobec spełnionego faktu, którego prawdopodobieństwo i bliskość przerażały oddawna jego wyobraźnię, czułą wobec wrażeń, jak barometr na wilgoć powietrza.

Powiódł nieprzytomnym wzrokiem przed sobą i nic nie widział, nie mógł rozpoznać miejsca, nie mógł długi czas zebrać, uporządkować myśli, co się rozpierzchły, rozleciały jak chmara zeschłych liści, na które wiatr wionął.

Doniesienie o pojawieniu się cholery w mie-

ście było dlań jakby wyrokiem, jakby przewrotem strasznym, potężnym i nieubłaganym, który odmieniał zupełnie dotychczasowy porządek, nadawał mu nowy kierunek, przeobrażał świat cały, zaciężył groźnie nad wszystkiem.

Doznał uczucia, jakby jedna tylko, możliwa, lecz okropnością podająca w wątpliwość prawdopodobieństwo swoje, rzecz, która zagrażała dotąd od długiego czasu — jakby się ta rzecz, najstraszniejsza z ostateczności, teraz nakoniec stała, spełniła. Przedstawiła się ona jego chorobliwie wylękłej wyobraźni jak jakaś olbrzymia, mordercza dłoń, która zawisła nad nim i nad wszystkimi, wstrzymując jeszcze chwilowo cios niechybny... Ale cios ten spadnie... i w tej chwili wszystko już uważać można za skończone, chociaż właściwy koniec nie nadszedł jeszcze...

Powoli przyszedł do siebie i obejrzał się z trwogą po stolikach kawiarni, tego publicznego miejsca, które wydawało mu się niemal zabójczem, dla wszystkich bez wyboru przystępne, otwarte, gdzie dzisiaj, wczoraj i przez cały tydzień, tłumnie przesuwali się miejscowi i obcy, niewiadomo kto, skąd, z tych samych szkla-

nek pijąc, na tych samych siedząc krzesłach, ocierając usta w te same serwety, płacąc pieniędzmi, które za chwilę otrzyma kto inny, i probując w palcach świeżości pieczywa, które przed upływem kwadransa obmacywały inne ręce, przed półgodziną inne jeszcze i jeszcze inne godzinę temu...

Sześć wypadków cholery stwierdzono wczoraj, z tych jeden śmiertelny... Iluż jednak nie skonstatowano wcale lub zatajono? Ilu z tych sześciu chorych znanych, i ilu z pomiędzy niewiadomych dotychczas mogło być tutaj, w tej samej kawiarni co on, już z początkami choroby, z objawami, których jeszcze sami nie dostrzegli lub nie pojmowali dopiero?... Ilu dziś, dziś, przed chwilą, w tej chwili nawet, znajduje się tutaj takich, co za kwadrans, za minutę, uczują pierwsze oznaki... Może ten tłusty żyd z obwisłemi powiekami na ślepiach przekrwionych? może jeden z dziarskich wojskowych przy tamtym stoliku? może bufetowa, kelnerzy?!...

— Płacić! — zawołał, zrywając się.

Zostawił kawę nietkniętą, nie ruszył gazet, ani świeżych, będących w rękach dopiero od godzin kilku, ani tych, które krążyły już od ty-

godnia; wyrzekł się reszty takim giestem, jakby go samo jej dotknięcie zabić miało na miejscu i uciekł, uciekł stąd coprędzej, omijając stoliki, aby nawet krajem sukni nie dotknąć którego.

— Pan dobrodziej żądał papierosów? — zawołał usłużnie, zabiegając mu drogę z otwartem pudłem, chłopiec.

— Nic nie żądałem! — odparł co prędzej, a obszedłszy chłopca zdaleka, wypadł z pod markizy na wolne powietrze tak szybko, jak gdyby czuł sięgające doń z tyłu niewidzialne ręce, którym nie wymknąć się natychmiast, co żywo, znaczy: umrzeć...

Z początku samo oddalenie się z miejsca, w którem ogarnął go pierwszy napad trwogi, sprawiło mu ulgę. Lecz nie na długo.

Niebawem przyszła mu myśl, że jeśli uniknął jednego niebezpieczeństwa, ociera się teraz o setki innych, rozsianych wszędzie...

Którą-bo iść ulicą? dokąd się zwrócić, — aby go nie spotkać, aby zejść z drogi temu niewidzialnemu widmu, które już było w mieście, unosiło się już w powietrzu, napełniało każdy zakątek, obejmowało wszystkich, wszystkim za-

równo grożąc każdej chwili, przed którem nie było obrony ani ukrycia...

Obok trwogi zaś, wzbierało w nim dziwne, nieokreślone oburzenie, bunt przeciwko tej grozie, rozlanej w przestrzeni, która przyszła wybierać ofiary nie wiadomo z jakiego powodu i po co!...

Ujrzawszy zdala znajomego, instynktownie zwrócił się ku niemu, aby wylać przed nim uczucia, jakie nim miotały, i w tej chwili, w spotęgowanem wzburzeniu, uczuł wprost potrzebę jak najwymowniej odmalować grozę niebezpieczeństwa, jak ją odczuwał, obawy swoje, swoją wściekłość przeciwko naturze, igrającej z życiem istot tak niemiłosiernie.

Ale w ostatniej chwili nagle odepchnęło go coś od człowieka, ku któremu spieszył, gotując już słowa, jakiemi go zagadnie. — Pomyślał bowiem:

— A jeśli on był u chorego?!... jeśli sam jest zarażony?!

I bez zastanawiania się uskoczył w bok z drogi, aby uniknąć niebezpiecznego spotkania, przysięgając sobie, że poznany, przywołany, ani się obejrzy, ani odezwie... Tu chodzi o życie!...

Biegł teraz co odludniejszemi ulicami niby w malignie, nie mając odwagi zatrzymać się gdziekolwiek, przerażony myślą, że przebiegając wszystkie miejsca, jakby umyślnie wyzywał nieszczęście, jakby go szukał.

Wszystko go przestraszało po drodze.

Coraz bardziej zdenerwowany, uciekał przed podejrzanej fizyonomii domami, otwarte okna przepędzały go na drugą stronę ulicy, jak gdyby z ciemnej głębi tych okien wnętrze domu zionęło zarazą nakształt rozwartych ust trupa. Cofał się w tył na widok ścieku, otworu kanałowego, kupy śmieci, brudno odzianego przechodnia. W końcu nawet szyldy lekarzy i aptek, do których najpierw zwracają się chorzy i ci, co z nimi zostają w styczności, przejmowały go dreszczem.

Zewsząd groziła śmierć, niepochwytna a obecna, której bliskość, nie dająca się wskazać i nie dająca się zaprzeczyć, czyniła w jego oczach tę spokojną na pozór, zwykłą, pogodną fizyonomię miasta szyderczą, okropną, przerażającą!...

I napełniła go rozpacz wobec zapadających mroków wieczora, co z sobą pocznie, w jaki sposób ochroni się przed udręczeniami myśli

choćby o niebezpieczeństwie, gdy samego niebezpieczeństwa oddalić nie był w stanie.

Ach! teatr.... Przypomniał sobie teatr, wybierał się tam nawet dzisiaj, bo dawano nową, zabawną operetkę.

Pobiegł teraz skwapliwie. To go rozweseli, uspokoi.

Niestety, zawiódł się. Poznał, że dzisiaj wszystko odczuwa inaczej. Śmiał się z konceptów z przymusem, z zasępioną miną śledził kokieteryjne pozy primadon i trykoty chóru żeńskiego, dla których dawniej tyle miał zapału. Złowrogie *memento mori* pozbawiało dziś w jego oczach uroku wszelką doczesność, każda rzecz ludzka wydawała mu się jakąś cmentarną figurą smutnego, odwiecznego tańca szkieletów, które widział na wskróś żywych, drgających siłą i zdrowiem ciał.

Opuścił teatr rozczarowany, przybity, gdy naraz przypomniawszy sobie, że od południa nic jeszcze nie miał w ustach i że żołądek czczy nie najlepszą jest przeciw cholerze tarczą, postanowił czemprędzej posilić się.

Po długiem wahaniu, męczącej walce tysiąca sprzecznych racyj, na jakie umie się zdobyć tylko

rozhukana fantazya hypochondryka, tysiąca potwornie wybujałych skrupułów, gdzie iść i czem się pożywić, taką w nim wszystko budziło obawę i niedowierzanie, zdecydował się w końcu na skromną mięsną kolacyę w pierwszorzędnej jadłodajni, gdzie bywają sami »porządni« ludzie.

Nasycony, odzyskał część humoru, a parę kieliszków koniaku do reszty rozweseliło w jego oczach sytuacyę.

Powiedział sobie, że jest nerwowym, że przez zbytek imaginacyi przesadził niebezpieczeństwo. Czuł się teraz odważnym i aby się nim sobie jeszcze więcej wydać, opuszczając lokal, z fantazyą zagadnął gospodarza:

— Podobno mamy cholerę? co?...

— A tak, już zmiata...

— Phi!... Tchórzów zmiata. Nie bać się! oto na nią sposób. Dobranoc.

Powrócił skrzepiony na duchu na ostatni akt do teatru i bawił się wybornie, wybuchając śmiechem i klaszcząc na zabój, aż się sąsiedzi oglądali.

— No, jestem wyleczony — pomyślał, kontent z siebie — z najgorszej rzeczy, to jest z obawy. Teraz kpię sobie już z całej cholery.

Ścigał jeszcze po teatrze jednę z chórzystek, tę blondynkę z zadartym noskiem, z prześliczną szyją. Kto wie nawet, coby stąd było wynikło, gdyby przez kogoś drugiego równocześnie ściganą nie była i to z powodzeniem.

— Mniejsza o to — mruknął do siebie Wacek — nie dziś, to jutro.

I poszedł, gwiżdżąc refren kupletu do domu, na drugi koniec miasta.

Długość drogi, noc, cisza, samotność, oddalanie się od chwili sztucznie wzbudzonego humoru, obniżyły tymczasem jego wesoły nastrój do minimum.

Naraz zobaczył na rogu ulicy, pod latarnią, grube głoski plakatu:

Z powodu wybuchu cholery.

Brrr! — otrząsł się cały.

Była to odezwa władz miejskich do mieszkańców, poważny głos ze strony urzędowej, który odświeżył w nim odrazu wszystkie obawy.

Obejrzał się po ulicach. Były puste, jakby już miasto wymarło... Kto wie, jak prędko złudzenie, którego doświadczył w tej chwili, zamieni się w rzeczywistość!...

Pobiegł do domu spiesznie, czując, że powracają doń przykre myśli, bojąc się ich i chcąc im uciec...

Ale trzymały go one dobrze w swych szponach, wpijały je coraz głębiej.

Wieczór ten stał się dla niego okropnym. Nie mógł się opędzić trwodze, z każdą chwilą większej, która ogarniała i przenikała go na wskróś w dziwny, niepojęty sposób.

Nie mógł ani czytać, ani palić, więc położył się spać.

Ale i zasnąć nie mógł także. W głowie jego zapanowało niezdrowe napięcie. Przypisywał je działaniu koniaku, który musiał być fałszowany... Lecz daremnie się zapierał: pochodziło to z trwogi, nie opuszczającej go ani na chwilę, potęgującej się bez przerwy, aż do obłędu...

I w strasznych mękach, jakie mu zadawała myśl własna, przewracał się do późnej nocy na posłaniu, napół nieprzytomny z przerażenia, przygnieciony tą ciemnością, w której widział wywlekające się z nor, rozlatujące, rozłażące po uśpionym świecie zmory zagłady. Całe miasto, owiane zabójczem tchnieniem epidemii, wydawało mu się teraz bezbronnie zdanem na łup

klęski, która oburzała zarazem do najwyższego stopnia i paraliżowała swym ogromem oburzenie na myśl, jak wszelkie życie, wszelkie plany, prace, dążenia, uczucia, są w tej chwili zawisłe od potwornej gry przypadku, co bez najmniejszej loiki, bez cienia sprawiedliwości, skazywać będzie na śmierć setki, tysiące....

II.

Na swoje szczęście obudził się nazajutrz lepszej myśli i z kiełkującem postanowieniem, aby bądź co bądź uczynić coś dla swego bezpieczeństwa.

W samej ochocie już mieściło się źródło otuchy, a obmyślanie środków dało mu czas utrwalić ją w sobie.

Z głową, pełną kawiarnianej lektury, z której wyniknął cały strach wczorajszy, w niej też odszukał lekarstwo. Postanowił przedewszystkiem odosobnić się, uważając ten środek za najlepszy; wyrzec się knajp, spacerów, teatru, zamknąć się w domu, w kawalerskiem mieszkaniu zamożnego próżniaka, wśród książek, które nakoniec zostaną rozcięte, na zdrowym, umiarkowanym, gospodarskim wikcie, o który ugodził się natychmiast u sąsiadów, średniej przyzwoitej rodziny urzędniczej. Butla karbolu miała

oczyszczać powietrze w mieszkaniu, na humor i fantazyę zaopatrzył się w kilka butelek dobrej wódki, zapas czerwonego wina i cygar.

Przygotowania te zupełnie uzdrowiły mu wyobraźnię.

Przez dwa tygodnie żyjąc w ten sposób, rozkoszował się myślą, jak jest szczęśliwym, że wpadł na ten pomysł ubezpieczenia się i że ma możność przeprowadzenia go. Ażeby się zaś nie czuć samolubem, nie żałował litości swej tym biedakom, co nie mogli lub nie umieli bronić się jak on przeciwko zarazie. Lekarze naprzykład, o ile nie pouciekali z miasta.... Posłańcy publiczni.... Urzędnicy, pracujący w biurach, do których się cały świat schodzi.... Obsługa szpitalna, pogrzebowa, cmentarna.... Listonosze, biedni listonosze!... zmuszeni wkraczać do domów, choćby w połowie już wymarłych, z listem w ręku, także już może od nieboszczyka w tej chwili.... Ach! biedacy! biedacy! Jakże w porównaniu z nimi wszystkimi był szczęśliwym, mogąc po za oknami swego czystego, powietrznego, wygodnego mieszkania, jak w niezdobytej twierdzy drwić z oblężenia, gniotącego miasto całe...

Lecz naraz — z początku niedostrzeżona, roz-

winąwszy się stopniowo, zatruła mu wkrótce jego spokój rzecz, której układając obecny tryb życia ani przewidział, ani się spodziewał... rzecz wagi niemałej: potrzeba kobiety....

Wacek miał lat trzydzieści, stałą, sporą pensyę od bogatej rodziny, której był bliską, gołą jak laska odroślą, był zdrów, silny, i oddawna zastosował we wszystkiem swe zwyczaje do potrzeb.... Potrzeby zaś te nie pozwalały mu nigdy nawet przez tydzień trzymać się zdala od swych przyjaciółek, tych, które się nazywa po imieniu. Cóż dopiero przez dwa tygodnie, dwa długie tygodnie!... nie, przez półtrzecia !!...

Półtrzecia tygodnia nie widział żadnej z nich!... Wieki !...

Zaczął o nich dużo myśleć, zadawalniając tem zrazu swą tęsknotę, zanim, a przyszło to bardzo szybko, uczuł, że uspokoić go zdoła tylko tak gwałtownie pożądana rzeczywistość.

Ale rzeczywistość ta leżała po za obrębem jego mieszkania, — aby ją zdobyć, potrzeba było przekroczyć próg.

Co czynić?...

Iść tam?

Ależ niepodobna się bardziej narazić. One

wszystkie są tak głupie, tak lekkomyślne, tak bardzo wystawione na niebezpieczeństwo.

Wezwać do siebie?... znaczyło to to samo lub gorzej jeszcze.

Zresztą: którą z nich? która przedstawiała jakąkolwiek rękojmię, że przed chwilą nie całował jej człowiek, wijący się teraz w kurczach lub może już siny, stężały...

Co począć? co począć?... Stan jego stawał się nieznośnym. Natura jego buntowała się przeciwko gwałtowi, jaki jej zadawał. Nie miał jednak odwagi pójść za jej głosem, bojąc się opuścić mieszkanie, jak gdyby za jego progiem czekała nań zguba niechybna.

Przyszło mu wtedy na myśl rozejrzeć się po domu i po najbliższej jego okolicy, czy nie dostrzeże przypadkiem przedmiotu, mogącego odpowiedzieć jego życzeniom. Niestety, po całodziennej obserwacyi z okna, okolica okazała się nienormalnie ubogą w tym względzie, pomimo że Wacek, zamiłowany w wygodach i komforcie, tym razem gotów był obniżyć swe wymagania.

Dwa dni się przemęczył.

Okropność!...

Trzeciego, od rana daremnie próbując zająć się czemkolwiek, bo uparcie powracające przed oczy widziadła nie dawały mu ani na chwilę spokoju, — wyrwał się wreszcie z domu pomimo przestróg rozwagi, — jak pijak, co odprzysiągłszy się wódki, po długiej walce z pragnieniem, nie widząc nic przed oczyma tylko kieliszki, kieliszki, nie czując nic oprócz zapachu i smaku alkoholu, z uszyma pełnemi jedynie nazw likierów i nalewek, na oślep pędzi do szynku, aby przyłożyć usta choćby do kranu od kufy!... i pić!... pić!... pić!...

W godzinę powrócił do domu blady jak trup.

Był u Emmy i Wandy, które mieszkały razem. Jednę tylko zastał, tę drugą. Powiedziała mu, przerażona, struchlała, że Emkę, tę śliczną, idealną jak anioły i gieniusze w fantastycznych baletach, Emkę jasnowłosą, dziś rano zabrano do szpitala w kurczach. Żadnych od tego czasu wieści....

Trzy dni przesiedział w domu, spaliwszy natychmiast po przybyciu ubranie, które miał na sobie podczas tej wycieczki i poparzywszy sobie skórę na rękach karbolem — między cią-

głą obawą rozchorowania się a sztucznym spokojem, siłą woli na sobie wymuszanym.

Ale po trzech dniach, nie doczekawszy się cholery, w nowe porwany obroty przez głód pocałunków. który go coraz srożej trapił, puścił się na oślep w miasto, mrucząc:

— Jeszcze dni kilka, a wściekłbym się chyba... Niech się dzieje co chce.

Zmierzał do Miny.

III.

Dziewczyna ta odznaczała się pedantycznem zamiłowaniem Niemki do czystości. Była czystą jak kotka. Mieszkanie jej wyglądało jak wnętrze szuflady z czystą bielizną, ona sama podobną była figurce, wyciętej z kolorowej ryciny najświeższego żurnalu, z podpisem: »ranny szlafroczek dla młodej mężatki«.

Wacek wpadł oszołomiony do jej domu. Czy się tylko nie przeprowadziła...

Nie! bilet na drzwiach. Drzwi — zamknięte. W dziurce od klucza klucz — z wewnątrz.

Zapukał.

Milczenie.

Wtem usłyszał kroki, — potem zaś doleciało go:

— Kto tam? — a głos jej, stłumiony drzwiami, przejął go rozkosznym dreszczykiem radości.

— Ja.

— Kto taki?

— Wacek.

— Co? ty?... nie umarłeś?

— Fe! co znowu....

— Czegóż chcesz?

— Przyszedłem zobaczyć, czyś nie umarła.

— Bój się Boga! podobny żart w tych czasach.

— Widzisz, jak smakuje? Słuchajno Mimi, czyś sama?

Milczenie. Do licha... więc przybył nie w porę.

— Odpowiedzże — i poruszył klamką niecierpliwie.

— Hm... sama... ale...

— Ale co? — zadrżał; przyszło mu na myśl, że może chora. Puścił klamkę i odsunął się od drzwi instynktownie.

— Czemuś nie był tak dawno?

— Czemu... Nie wychodziłem nigdzie od czterech tygodni...

— Co?!... może byłeś chory?!... — zapytała szybciej, niespokojnie.

— Ale gdzieżtam. Bałem się.

— Cholery?! — żywo zawołała.

— Cóż robić: cholery.

Klasnęła w dłonie za drzwiami i odkręcając klucz w zamku, mówiła teraz wesoło:

— Ach! to co innego, to doskonale... To tak jak ja! Tak samo jak ja!... Miesiąc już progu nie przeszłam, ani nie wpuściłam nikogo... Wystaw sobie, co za męka! dla mnie!... Przecież mnie znasz... to też mi sił zaczynało braknąć!...

— Ha! ha! wybornie!... Tak samo jak mnie.

Otwarła drzwi, ukazując się w pąsowym szlafroku, kostyumie »dla nich«, marniejącej w samotności powłoce płomienistszego od jej barwy ciała.

— No chodź, prędko.... Jesteś pierwszym i jedynym! i to tylko dlatego, że przesiedziałeś sam jeden w domu całe cztery tygodnie.... Czy tylko z pewnością?

— Zobaczysz niedługo. A ty?

— Ach mój kochany, najlepszy dowód, że dojadam mych oszczędności i jak to dłużej potrwa, jeżeli ocaleję od cholery, to za to umrę z głodu.

— Na to znów ja nie pozwolę.... Mina!... dla Boga!... co robisz?... udusisz mnie!... Ależ dosyć już... dosyć... wierzę już, że jestem pierwszy od czterech tygodni...

Rozstali się około północy, umawiając się, że jutro zobaczą się znowu, z zastrzeżeniem obustronnej wierności i pod warunkiem, że Wacek pójdzie prosto do domu.

Zaledwie przyszedłszy do siebie, zapominając, że nie jadł nic od objadu, bo przyczajona obawa nie pozwalała mu u niej wziąć cokolwiek w usta — rzucił się na łóżko i zasnął snem kamiennym.

Rano, przed świtem jeszcze, obudziła go dziwna czczość i burczenie w żołądku, w której nie umiał w pierwszej chwili, zaspany, rozpoznać głodu....

Natomiast przypomniał sobie, gdzie i jak spędził wczorajszy wieczór.

Dzisiaj, w tej chwili, w niemiłym półcieniu ranka, wolny już od zaślepień zmysłów, które go wczoraj po tylu dniach pokus wygnały do miasta, pomyślał nagle, że popełnił straszną lekkomyślność, prawie szaleństwo.... Łamać cały dotychczasowy tryb życia, w niwecz obracać to bezpieczeństwo, jakie sobie nim zapewniał, przepędzać pół dnia w obcem mieszkaniu... w takiem mieszkaniu!... Pocałunki... tyle pocałunków!...

Uczuł ból w wnętrznościach i zadrżał.

— Eh! siedziała od miesiąca zamknięta, — pomyślał dla pocieszenia się.

Lecz mogła skłamać! One kłamią zawsze, wszystko. Nie wypadało jej mówić inaczej. Wprawdzie kłamała zręcznie, ale tej sztuki miała czas wyuczyć się stopniowo przez cały miesiąc, grając ją coraz to z kim innym....

Znowu ból....

Ależ tak! musiała nawet kłamać.... Skłamała z pewnością... W przeciwnym razie czyżby go przyjęła tak łatwo, po kilku bylejakich zapewnieniach, bo nawet sobie nie zadawał trudu....

I otóż... samochcąc...

— Dla Boga!... mnie coś niedobrze!...

Przez chwilę, podniósłszy się na łóżku, z wytrzeszczonemi strachem oczyma, zdawał się śledzić ból wewnętrzny. Wreszcie uległ trwodze i wybełkotał:

— Co to jest?... czuję dreszcz... ściskanie... Boże... Ach! ależ... boli... Dla Boga! boli mnie... tu!... Ratujcie!... gwałtu...

Zbiegło się zaalarmowanych wrzaskiem parę osób zaspanych, napół odzianych, które bojąc się do niego przystąpić, zbiły się u progu... Przybył pobliski lekarz z dwoma ludźmi, dał

mu jakichś kropli, towarzysze jego poczęli chorego nacierać, a on wił się i krzyczał....

— Panie doktorze, czy to cholera? — zapytał szeptem, trwogą w gardle zdławionym, ktoś z sąsiadów, dygocąc pod narzuconą na plecy kołdrą.

— Nie wiem jeszcze. Ale być może...

— Cholera!... — zacharczał grobowym głosem do innych ten w kołdrze, zieleniejąc.

I w tejże chwili na złamanie karku cała zgraja rzuciła się do drzwi.

Za piecem.

Po hałaśliwym tupocie na schodach, który rozpocząwszy się na dole, rósł jak zbliżające się grzmoty na skrętach pierwszego i drugiego piętra, nagle drzwi wchodowe otwarły się i Józia, z szumem sukni przebiegłszy kuchenkę, wpadła do pokoju zdyszana.

Od progu zaraz rzuciła spiesznie parasolkę i niciane rękawiczki, poczem podniosła obie ręce, wyjęła szpilkę z kapelusza i zdjąwszy go z głowy, rzuciła także na stołek najbliższy.

Matka, zajęta łataniem barchanowej watówki, przy lampie, na której umbrelkę zastępował kawałek opalonej gazety, przegryzała właśnie nitkę w zębach, kiedy jej to gwałtowne wejście dziewczyny przerwało pracę i siwą jej, pomarszczoną, rozczochraną, bezzębną głowę ku drzwiom zawróciło.

— Mamo! Karola idzie z Łupskim...

— Tu?!...

— Tu.

— Macie ludzie. Dyabli go niosą.

— Co tylko, że ich nie widać — mówiła oddychając ciężko. — Zostali przy sklepie w tamtym domu, niby to przed wystawą. Trąciła mnie, żeby pobiedz naprzód... Tak mi serce bije... Jezu! co tutaj za garus?!... A róbże mama co!...

To rzekłszy, poskoczyła sama przed lusterko, obok okna przybite, i przysunąwszy lampę, poczęła wygładzać włosy, rozwiane w biegu, poprawiać kołnierzyk i puszkiem od pudru wcale niepotrzebnie wybielać swoją smagłą, lekko zarumienioną twarz.

Matka odłożyła tymczasem robotę, zerwała się z krzesła, klnie, zgarnia rozsypane po podłodze brudy, przeznaczone do prania na jutro, i objąwszy, je jak wiązkę siana, oburącz, z trudem dźwiga ten ładunek w stronę łóżka, w tył od ciężaru przegięta.

— Zdejmże prędko kapę. Józka! Nie widzisz, że mi wszystko z rąk leci?...

— Jest! mąm właśnie czas na to.

— Ty się przecież mizdrzyć nie potrzebujesz. Nie do ciebie przychodzi...

— Do mnie, nie do mnie, cóż mam wyglądać jak chuchro.

Tobół zbrukanej bielizny padł z szelestem na łóżko, formując górę. Matka, odsapnąwszy, rozrzuciła szmaty czemprędzej i przysłoniła je po wierzchu spłowiałą kapą, na największej z dziur kładąc kapelusz Józi. Teraz dopiero, gdy gość pod drzwiami, oceniając brud i nieporządek zapchanego rupieciem mieszkanka, bez przebierania w wyrazach zaczęła gderać: że też tu u niej zawsze musi być jak w chlewie, choć takie duże dziewczęta są w domu; ale to pluchy, ladaca, przez dzień cały żadna o porządek nie dba, za to wieczór matce na głowę kawalerów sprowadzają. I gdyby chociaż z tego co było, ale gdzie tam. Przynajmniej ona w to nie uwierzy, nie pierwszy to już raz.

— Moja mamo! Jeżeli się córce nie dopomoże i jeszcze źle będzie wróżyć, to pewnie, że nigdy żadna za mąż nie wyńdzie.

— Eh, gadanie, nic więcej. A tamten zeszłoroczny, Mędlak: łaził przez całą zimę, pił herbatę z wirsztlami, podłogę się musiało myć

względem niego w każdy tydzień — i gdzież go masz?... no gdzie?...

— Wszystkiemu ojciec winien. Widział, że ojciec mało wkiedy trzeźwy...

— Tak ci tam, ojciec. Żeby Mędłak był miał porządny zamiar, toby na córkę był patrzał, nie na ojca. Zresztą i Karola też nie umiała koło niego chodzić, powiem ci. To to było. Tyś do niego więcej oczy zawracała, niż ona, powiem ci.

— Moja mamo! Każdaby przecież za mąż wyjść rada... Widziałam, że był z Karolą nie bardzo, cóż mi to szkodziło?...

— Ale ty tak z każdym — i co z tego masz? Obieście do niczego... Nieszczęście na moje stare lata.

— Oho! już... Niech-no mama da lepiej na salceson...

— Na jaki salceson?

— Przecież go trzeba czemś przyjąć!...

— A ja skąd na to wezmę?...

— Matko święta! skąd mama chce... Bój się mama Boga, chce mama, żeby my staremi pannami zostały? czy co?...

— A to czemu sama nie dasz siostrze?... Masz reńskiego.

— Niby-to mama nie wie, że już tak jakbym go nie miała. Jutro mam odebrać kapelusz z farby, to czem zapłacę?

— Jutro ci Karola odda, ja ci wrócę.

— Już mama lepiej nawet niech nie mówi. Ja kapelusz mieć muszę. Wszystkie już letnie kapelusze mają. Weź mama od sąsiadki.

— Weź mama.. weź mama.. a kto odda?... Skaranie boskie z wami.

Wśród tej rozmowy córka skończyła upiększać swe wdzięki, stara zaś wsunęła ceber z niepomytemi od objadu talerzami i naczyniem pod łóżko, poczem, odszukawszy w kuchence mocno już zdartą miotłę, zaczęła na prędce, aby, aby, w kąty rozmiatać zalegające środek podłogi całodzienne śmieci.

— Gdzież twoja bronzowa spódnica?

— Gdzie jak nie w szafie. A niech mi ją mama znowu zadepcze, proszę mamy, bo już mało sterana; mam na drugą...

— Nie będę w niej przecież tańczyć. Przykryjno stół za ten czas, jak pobiegnę po te parę szóstek...

Zarzuciła przez głowę spódnicę córki, Józia zaś nakryła stół czerwonym obrusem, mniej poplamioną stroną na wierzch, postawiła lampę i wykroiwszy tępemi nożyczkami z tkwiącego między szafą a murem papieru umbrelkę, osłoniła nią cylinder, szepcąc do siebie:

— Wystarczy nafty?... E, wystarczy... Żeby tylko ojciec nie przylazł na to wszystko...

W tej chwili wróciła matka, z stękaniem.

— Wolałabym nie wiem co od tego pożyczania. Masz na salceson. Tylko żeby jaki świeży, moja ty...

— Lecę.

Stara zaczęła się drapać po przez kaftan w chude biodro niedbale, Józia zaś poskoczyła do progu. Już w półotwartych drzwiach obracając się, zawoła na odchodnem znacząco:

— Mamo?... a gwóźdź!!

— Widzisz — dobrze, żeś przypomniała.

Pochyliwszy się żywo, wyciągnęła stara z pod szafy drewnianego pieska od butów i nim poczęła na gwałt wbijać sterczący w siedzeniu najlepszego stołka gwóźdź zdradliwy, aby uchronić suknie oczekiwanego gościa od szkody. Cały dom miał odzież w tych samych miej-

scach podartą od tego gwoździa — wbijany co dni parę, raz po raz najniespodziewaniej wychylał się napowrót, z uporem.

Wtem głośny śmiech Karolki, dochodzącej szczytu schodów — pierwszy sygnał — przerwał jej pracę. Cisnęła pieska w ciemny kąt i po drugim sygnale — wycieraniu nóg w słomiankę pod drzwiami sąsiadów — usiadłszy na krześle jak aktor, wcielający się w swą rolę przed podniesieniem kurtyny, przybrała pozę rozmodlonej staruszki, z koronką w ręku, którą podjęła z pod stołu. A fizyonomię starej wiedźmy okrasiła uśmiechem anielskiej dobroci.

W tej samej chwili młoda para wkroczyła do pokoju.

Karolka przy obcych była istną pieszczotką. Była nią w tej chwili zwłaszcza, śmiejąca się, ożywiona, przejęta zabiegami o męża. Lecz jednocześnie ukradkiem rzucała niespokojne spojrzenia po pokoju i na wszelki wypadek zasłaniała go sobą jeszcze przed Łupskim.

Młody, wyelegantowany introligator wsunął się za nią w ukłonach. Od paru już miesięcy co wieczór czekał na Karolkę i jej siostrę przed szwalnią, by je odprowadzić do domu i wpoił

w starszą swem nadskakiwaniem, pełnem uwielbienia, nadzieję, że ten stosunek może ją zaprowadzić do ołtarza. Posiadał tutaj względy.

— A! rzadki gość! Co się to stało! No! no!... — witała stara chłopaka w oklepany sposób, ze wszystkich sił przytem udając wielkiej godności damę.

— Siednijże pan sobie — ponowiła, podsuwając przeznaczony dlań stołek, mrugnięciem zaś oczu uspokoiła Karolkę, która chciała podać inne krzesło.

— Jakże mi się pan miwa, mój panie!...

— Tak sobie, proszę pani, obleci. Raz w prawo, drugi raz w lewo.

Karolka przekonała się paru rzutami oka, że zwykłą niechlujność mieszkania trochę usunięto. Kopnęła jeszcze nogą pod łóżko wystrzępiony pantofel matki i coś białego, przybrukanego, co się z pod kapy wychylało, wsunęła nieznacznie pod przykrycie. Tylko nosem pociągała bez przerwy, daremnie starając się w siebie wmówić, że nie czuć zwykłego fetoru, na który zresztą powonienie domowych stawało się nagle czułem dopiero wobec gości.

Zwolna wywiązała się rozmowa. Kawaler przy-

patrywał się głównie frendzli od obrusa poniżej stołu, którą bez litości miętosił w ręku, czasem zaś spozierał na starą, aby zaraz potem poszukać oczu Karolki w lustrze, skośnie zwieszającem się z odrapanej ściany. Tam to właściwie, w tym drugim, nieistniejącym, odbitym tylko pokoju, między dwoma parami ich oczu toczyła się najważniejsza część rozmowy, dla niego jedynie i dla niej zajmująca, podczas której matka, świadoma tego, co się dzieje, od czasu wizyt poprzednich konkurentów oraz z własnego doświadczenia przed laty, obojętna już jednak na te głupstwa, poziewała tak szczerze, aż jej łzy w oczach stawały.

Nakoniec weszła Józia. Po długiem pobrzękiwaniu w kuchence talerzami i łyżkami wniosła salceson w plasterkach, cztery szklanki mętnej herbaty i cztery blade, koszlawe bułki, ostatnie, jakie były w sklepiku. Zakochani nie lubią przyznawać się do apetytu w swojej obecności, to też Łupski i Karolka, chociaż zapach salcesonu przywołał im ślinkę do ust, oboje oświadczyli, że nie głodni. Za to Józia i matka poczęły zmiatać wędlinę na wyścigi, przyczem córka o porządną porcyę wyprzedziła starą, nie mo-

gącą nadążyć z powodu braku zębów. Jednej wszakże jak drugiej nie wyszły zapasy te na zdrowie: Józka zakrztusiła się tak mocno, że aż musiała wstać od stołu na chwilę, matka zaś ze złości, jaką ją porywała na widok znikania kęsków w łakomych ustach dziewczyny, zeszpetniała na poczekaniu, pozbywając się całkowicie oblicza dobrotliwej kobieciny, które udawało jej się nieraz zachować z godzinkę, ze dwie, przy ludziach.

Gawędząc wśród tego o różnych rzeczach, stale powracano do jednego tematu: miłości, wesel, małżeństwa. Łączono pary, udzielano sobie wiadomości o pożyciu już połączonych, spierano się o daty zaręczyn i terminy ślubów. Najdłuższym ustępem rozmowy był opis wesela Trzasłówny, córki odźwiernego z ulicy Białej, koleżanki i przyjaciółki obu sióstr, która ostatnich zapust wyszła za drukarza. Karolka i Józia nie dawały prawie jedna drugiej przyjść do słowa, z zapałem opisując naprzemian to wesele, poprzedzone ślubem w kościele rzęsiście oświetlonym, przystrojonym dywanami i kwiatami, do którego orszak zajechał w karetach, w karetach wyraźnie, z fornalami ubranymi w liberye na

koźle, nie w numerowanych, jednokonnych doróżkach. W orszaku były same fraki, same jedwabne suknie, zupełnie jak na pańskich ślubach — kawiarka z »Końskiego placu« była w pomarańczowej, z czerwonem piórem na głowie, maszyniścina Dłutkowa ubrana popielato z niebieskiem, siostra jej na zielono i t. d. Wszystkie jednak zaćmiła panna młoda ogonem na trzy łokcie u sukni jedwabnej, która z welonem, wachlarzem, zarzutką, dodatkami, kosztowała, pod słowem, 120 reńskich. Wesele wyprawiono w hotelu, z obsługą we frakach i białych rękawiczkach, muzykantów wojskowych czterech, słowem wszystko odbyło się suto i z szykiem, nic też dziwnego, że uroczystość zaszczycił swym udziałem sam właściciel drukarni, oraz pewien jednoroczniak i dwóch aptekarzy. Koszt wprawdzie wyniósł koło trzystu guldenów i połknął wszystkie oszczędności Trzasłowny, która aż dotąd zarabiała dużo jako bardzo zręczna modniarka, ale panna młoda była zdania, że to raz w życiu, więc jak pokazać się, to pokazać... To też wszystkie rówieśnice, wzdychające dopiero do zamąż-pójścia, zazdrościły jej z całego serca, przyznając, że z pięknem

wspomnieniem opuściła dom rodzicielski, małą ciemną izbinę w kącie podwórza, pełną zawsze dzwonienia przez noc całą (bo ojciec spał twardo), aby się przenieść do skromnego pokoiku na przedmieściu, który był gniazdkiem, usłanem jej za pożyczone pieniądze przez męża.

Dziewczęta rozprawiały o tem wszystkiem z iskrzącemi oczyma, znać było, jak je ten przedmiot, będący szczytem ich marzeń, zaprząta. Matce przypadał również do smaku niewyczerpany temat babskich gawęd i plotek. Dla niego jednak, dla Łupskiego, w roli, w jakiej tu występował, kompletnie zawróciwszy sobie dziewczyną głowę, rozmowa o ślubie i weselu przedstawiała urok nieopisany, a każde słowo z ust Karolki pełnem zdawało się pokus i obietnic wdzięku i znaczenia...

Godzina powrotu starego zbliżała się, kobiety pragnęły się już gościa pozbyć — on siedział ciągle.

Ale kiedy we trzy wzięły się do chłopaka wspólnemi siłami, udało im się po jakichś dziesięciu minutach doprowadzić go do tego, że się ze stołka podniósł i zaczął je żegnać.

Matka, kontenta z tego, żartowała:

— Tylko też prosto do domu... mój panie Łupski... bo wy kawalerowie...

I pogroziła mu na nosie, rzucając jednocześnie spojrzenie wściekłości na Józię, która za plecami gościa pochłonęła co tylko ostatni plasterek salcesonu. Łupski ściskał po kolei wyciągnięte ku sobie ręce.

W tej chwili jednak, gdy się do matki zwrócił, doleciał z kuchni łoskot drzwi, otwieranych z trzaskiem, ciężki krok męzki i naraz kobiety, spojrzawszy po sobie, spoważniały.

— Pozwól też pan, — wyrywając Łupskiemu rękę, rzekła stara i spiesznie wybiegła.

Pozostałe córki zastawiły mu sobą drzwi od kuchni przymknięte. Plotą coś trzy po trzy, równocześnie, gorączkowo, przeraźliwie, jakby go chciały ogłuszyć, z czego on nic a nic nie rozumie, widzi tylko utkwione w siebie zakłopotane spojrzenia obudwu.

— Przepraszam pana na momencik — odzywa się naraz Karolka, nie mogąca dostać na miejscu, i znika również za progiem kuchni, zostawiając Łupskiego na pastwę kokieteryjnych min siostry, które go nie od dzisiaj w kłopot wprawiają, zważywszy szczere jego zamiary względem starszej.

Ale po chwili, po bardzo krótkiej chwilce daremnych prób zagłuszania jakiemś na prędce wymyślonem opowiadaniem o domowych kłopotach coraz głośniejszej w kuchni sprzeczki, nad którą górował gruby, chrypliwy głos męski — i ona nie potrafiła wytrwać na stanowisku i bąknąwszy:

— Zaraz wracam — zniknęła, zamykając mu drzwi przed nosem. Przez to zajrzeć za próg stało się rzeczą niemożliwą, za to słuchać łatwą zupełnie.

Ale Łupskiemu, nastrojonemu bardzo idealnie spędzeniem wieczoru u boku ukochanej, trudno się było zoryentować. Zaniepokoił się tylko mocno, słysząc najwyraźniej łkanie Karolki, która szeptała boleśnie rozpaczliwym tonem:

— Chyba tata chce mojej śmierci!...

Józia znów powtarzała:

— Bójcie się Boga! tam wszystko słychać — a właśnie jej głos słychać było najlepiej. Matka nie przestawała mruczeć:

— Wstydu byś nie miał, włazić tak: zastanów się, żeś usmolony jak nieboskie stworzenie, a do tego masz w głowie!... Co on pomyśli?!...

Mężczyzna odpowiadał na to ochryple:

— Więc cóż z tego?... Usmolonym?... to od roboty... Wypiłem? to za swoje... Panie szanowny!... Chodź-no pan tutaj... Panie... jakże to panu?... panie Łupski!... chodźże pan, bo te gęsi...

Przyzywano go — wkroczył do kuchni.

Ale one nie spodziewały się tego, i właśnie wszystkie trzy, zjednoczonemi siłami, starały się wepchnąć starego za piec i ukryć go tam przed konkurentem jak śmieci, jak sprzęt jakiś wstydliwy, ponieważ nie dostrajał się do granej przez nie farsy. Wszedł na tę operacyę.

Na widok Łupskiego nie wiedziały teraz co począć. Matka badała oczyma chłopca, starając się uśmiechać, nieszczerze, Józia uciekła w drugi kąt kuchni, a Karolka wybuchnęła płaczem anioła bez skazy, któremu plugawy ojciec wstyd robi i drogę zagradza do szczęścia.

Jan Napiórkowski

Zazdrosny.

Pięć lat, od dnia ślubu, przyrzekał Karol żonie, że ją kiedyś wyprawi do matki na parę tygodni. Niezliczone przeszkody, krępujące w najbłahszych nawet przedsięwzięciach niezamożnych, odwlekały z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, tę wymarzoną podróż mężatki, spragnionej przypomnieć sobie czasy panieństwa, zobaczyć dom, popisać się dziećmi. Nareszcie po długiem oczekiwaniu złożyły się rzeczy tak szczęśliwie, że wszystkie boba były zdrowe, że było w czem pokazać się dawno niewidzianym, a otrzymana przez męża remuneracya pokrywała koszta wycieczki — i dnia pewnego młodej kobiecie zabiło żywiej serce, gdy opuszczała próg domu na cały długi miesiąc, ciągnąc za sobą troje malców: dwa śliczne dziewczątka o rumianych buziakach i oczach świecących jak paciorki i opalonego jak cygan chłopca, czteroletniego zbója,

który, zwyczajem wszystkich braci, nie pozwalał ani na chwilę zapomnieć siostrom o fizycznej przewadze swej płci.

Po strasznem zamieszaniu, jakie towarzyszyć musiało wymarszowi tak ciężkiego i niekarnego taboru, po niebywałym jeszcze w tym zawiązku rodziny wybuchu uścisków w pierwszej w życiu chwili rozstania, pociąg uleciał szybko jak rabuś, unoszący zdobycz — a Karol pozostał sam, z sercem ściśniętem przez uczucie dziwnej pustki, której nie przewidział wcale.

Zrazu próbował je opanować. Silił się na swobodę i lekkość człowieka, któremu połowa kłopotów z głowy spadła. Pierwszy też dzień był znośny. Odpoczywało się po zgiełku odjazdowych przygotowań i zapoznawało z nowem wrażeniem samotności słomianego wdowca, dość zabawnem.

Ale nazajutrz już zaczęło mu być w domu pusto, nudno i nieswojsko. Nie mówiąc o uciążliwościach obsługiwania się samemu — bo służącę odprawiono, a stróż domu zjawiał się ledwie na chwilę — dawał mu się coraz żywiej uczuć brak istot, do których bliskości przywykł: ich twarzy, ruchu, ich wad nawet. Spokój kil-

kotygodniowego osamotnienia, który widział niedawno w idealnem świetle zbawczej dla swoich nerwów kuracyi, okazał się atmosferą niemożliwą do zniesienia, wrogą istnieniu, jak miejsca, w których brak powietrza. Nie umiał sobie wyobrazić, jak długo w tej atmosferze wytrzymać zdoła i nie mógł odżałować, że znalazł się w niej samochcąc.

Przeziewawszy parę wieczorów w knajpie, nieznośnej teraz, bo przymusowej, w oktawę wyjazdu żony o niczem już innem nie myślał, prócz niej i dzieci. Począł odtwarzać w pamięci całkowitą historyę tej miłości, która go zawiodła przed ołtarz, zacząwszy od tych czasów, kiedy zaledwie swą żonę poznał i marzył dopiero o uściśnieniu jej ręki. Przejmując się czarem wspomnień, pomimo że proza kłótni i dąsów nie wychodziła dzisiaj miesiącami całymi po za próg domu, że zdradzał nieraz żonę w największej tajemnicy, a kufel piwa i stolik karciany przenosił często nad jej towarzystwo, uwierzył nagle, że ją straszliwie kocha i żyć zdala od niej ani przez chwilę nie może. I począł brak jej odczuwać nie jak flegmatyczny mąż, któremu pieszczoty zapewnia układ prawomocny, ale jak

niecierpliwy i nienasycony kochanek, dla którego każdy zdobyty pocałunek jest przedłużeniem tryumfu.

Nakoniec zjawiła się piekielna siostrzyca miłości: zazdrość — i idące z nią w parze męki. Od rana do wieczora opędzał się jej podszeptom, niby kąsaniu komarów w dzień lata. Co chwila wysyłał myśl na zwiady w odległe miejsca, starając się przeniknąć, co się tam teraz dziać może, szukając wskazówek w przeszłości, badając pamięcią, jak sędzia śledczy, charakter i zwyczaje swej żony, a gdy nie mógł nic odkryć, w tym właśnie braku wszelkich poszlak upatrywał wysoce niepokojące dowody jej skrytości i sprytu.

Najbardziej podejrzanem wydało mu się, że tak usilnie starała się wymódz na nim tę wycieczkę. Nasuwało mu to uparcie myśl mglistą, a przykrą do najwyższego stopnia, o jakiejś dawnej, drogiej miłostce z lat panieńskich jeszcze, ciągnącej ją nieprzepartym urokiem młodocianych wspomnień, lub straszniejsze jeszcze przypuszczenie skandalicznego romansu, który przed nim, wydając ją za mąż, ukryto. Tyle kobiet, między starającemi się uchodzić za nie-

skazitelne, ma przeszłość »niewyraźną« — dlaczegożby ona miała być lepsza? W obłędzie samolubnej obawy o swe przywileje, których wartość, obniżająca się z dniem każdym w głębi jego uczuć, podskakiwała nagle na myśl, że mógłby je stracić — zapominał zupełnie o tem, że nie tak dawno zwycięskiemi oczyma młodego zucha patrzył na wszystkie kobiety jak na swą własność, że do dziś gotów był sięgnąć bez skrupułów po każdą nadarzającą się zdobycz. Jak wszyscy mężczyźni, uważał swe mężowskie prawa, te same, które niegdyś u drugich wyszydzał i deptał, za nietykalną świętość, a najmniejsze ich naruszenie, najmniejszą pokusę nawet naruszenia za haniebny, zbrodniczy, przeciwny naturze zamach na moralność i człowieczeństwo, na boski ład świata. Kobiety wydały mu się w tym nastroju uosobieniem zaczajonego wiarołomstwa i wzbudziły w nim zajadłą, waryacką nienawiść skąpca, który — w śmiertelnej trwodze o swój skarb — na wszystkie strony złodziei wietrzy.

Chodził jak w gorączce. Nie wiedział, co do niego mówiono, poobgryzał sobie do krwi paznokcie. Niezdolny dłużej znosić tych udręczeń,

postanowił wezwać żonę do natychmiastowego powrotu i ułożył w tym celu depeszę w słowach:

»Zachorowałem, wracaj, Karol«.

W ostatniej chwili jednak wydało mu się to nieudolnem. Zmienił plan.

Postarał się o urlop na dwa dni i uprosiwszy w sekrecie kogoś ze znajomych, aby wysłał nazajutrz rano naglący telegram pod adresem żony — przywdział wypożyczoną umyślnie burkę z ogromnym kołnierzem, obwiązał twarz chustką, zakrył oczy czarnemi okularami o wielkich, wypukłych szkłach, na głowę wcisnął czapkę dziwacznego kształtu i w tem maskaradowem przebraniu, nie zważając na śmieszność swego kroku, niewygodę i koszta, kupił bilet jazdy pospiesznym pociągiem i pognał za żoną mil pięćdziesiąt śledzić własnemi oczyma, czy mu tam ktoś tymczasem rogów nie przyprawia.

Mocno zdenerwowany bezsenną nocą w wagonie, udał się zaraz po przybyciu na miejsce do biura telegraficznego z zapytaniem, czy nie nadeszła jeszcze depesza tej a tej treści pod wskazanym adresem. Telegram oddany został

woźnemu w celu doręczenia przed kwadransem — był już zatem w ręku żony...

Najbliższy pociąg odjeżdżał za godzin trzy. Aż nadto czasu, aby spakować rzeczy, zabrać dzieci i odjechać, jeżeli nie straciła jeszcze do szczętu poczucia swych obowiązków... jeżeli wieść o chorobie męża jest w stanie ją przerazić... jeżeli jej tu nic nie zatrzymuje!... Zresztą, nie wiedząc, że jest śledzoną, zachowaniem swem zdradzi zapewne wszystko.

Zmieniony kostyumem, wcisnął się w ciemny kącik odjazdowej hali dworca naprzeciw drzwi wchodowych i przeżuwając bez przerwy trujące podszepty zazdrości, patrzył stąd bacznie po kręcącym się tłumie, aby przybycia żony nie przeoczyć. Od czasu do czasu tylko, znużony natężaniem uwagi i przeziębły, wpadał na minutę do bufetu, poczem rozgrzawszy się szklanką gorącej herbaty, wracał na stanowisko.

Dziwnie się czuł w tem miejscu obcem, niezwykłem, pełnem ludzi i ruchu, cuchnącem olejami i gazem, w jego hałasie, zmieszanym stuku kroków i przerzucanych bagaży, z trzaskania drzwi, nawoływań, brzęczenia dzwonków elektrycznych, syku pary i dudnienia wagonów z je-

dnej strony, a turkotu dorożek i omnibusów z drugiej, pośród wysokich, lakierowanych, świecących ścian, pstrych od afiszy, map, planów jazdy i reklam, pośród nieustannej krętaniny tragarzy, policyantów i zaaferowanych podróżnych, którzy biegali w gorączkowym pośpiechu, z torebką przez ramię i biletem jazdy w ręku, od kas do wagi, od wagi do drzwi sal poczekalnych.

Zgiełkliwe to widowisko, przyćmione czernią szkieł, przez które patrzył, ogłuszało go, przygnębiało i upajało zarazem. W tej wrzawie tłumu ludzkiego u furty, wiodącej w świat, skąd wybiegają drogi w najdalsze ziemi strony, i jego duszę rwało coś w dal, jak gdyby tutaj żywiej niż gdzieindziej czuć się dawały rozległe przestrzenie ziemi, jej uroki, jak gdyby z oddalonych okolic wpadały tu, niby przez drzwi, czarowne echa nieznanego życia i fale innego, świeższego powietrza, którem nie oddychał nigdy jeszcze.

Ogarnęła go formalna tęsknota za czemś nowem, niewidzianem, niedoświadczonem, za wylotem! —podobna młodzieńczym porywom czynu lub budzącej się miłości...

Wydało mu się, że źle pokierował swem ży-

ciem, że przywiązał się do rzeczy małych, pospolitych i brzydkich, wyrzekając się wielkich rozkoszy, do jakich nagle uczuł się stworzonym. Jakieś wezbranie sił, pełne ckliwego rozłzawienia nad samym sobą i rozpaczliwego zapału dokonywało się w nim. Chciałby był zdobyć się na jakiś czyn energii i bohaterstwa, przejmujący podziwu dreszczem. Chciałby mieć skrzydła, by odbiedz jak najdalej od swej niedoli. Pragnął młodości, swobody, pieniędzy, aby z skarbami tymi rzucić się w świat i trwoniąc je na prawo i lewo, bujać po nim! bujać jak półbożek! bez upamiętania!... nie budząc się dwa razy w tem samem miejscu, ani zaglądając w te same oczy po dwakroć...

Kiedy tak marzył z otwartemi oczyma w jednym z tych wyjątkowych porywów, które w chwilach gwałtownych wstrząśnień zdejmują na krótko z dusz dwoistych, jakby czarem, więzy — zadrżał nagle, ujrzawszy żonę...

Wstępowała szybko po kamiennych schodach, prowadząc małą Lińcię, otuloną szalem, za rączkę, za nią szły jej siostry z resztą dzieci i matka, wszyscy objuczeni tobołkami i wzruszeni wyprawą na dworzec, który odwiedzali rzadko.

Prócz kobiet jednak nikogo więcej... Żadnego mężczyzny...

Na jedno mgnienie oka wytrącił zazdrosnego męża z jego szału niepowstrzymany wybuch radości, że obawy okazały się płonnemi.

Zawstydziwszy się chorobliwych podejrzeń, które sam widok żony rozpraszał: — »Zwaryowałem! — pomyślał — kobiecie się ani śnil«

Lecz oparł się głosowi rozsądku. Wobec rodziny maskować się jest zmuszoną — rozumował. Należy czekać, co dziać się będzie w wagonie. Dlatego wytężył wszystkie siły, aby bez zwrócenia uwagi znaleźć się w jednym z nią przedziale. Tu skurczywszy się pod okienkiem, czekał z biciem serca, kiedy do *coupé* wpadnie »on«! — jeżeli nie zaraz, to pewnie na najbliższej stacyi — i zimne dreszcze wściekłości przebiegały go już naprzód na myśl o odkryciach, jakie zmuszonym będzie uczynić.

Tymczasem tej anemicznej kobiecie o wyobraźni jałowej i chłodnym temperamencie, zwiędłej już trochę, przywalonej kłopotami z garderobą, bielizną, sługami, kuchnią, z dziećmi, zdrada ani była w głowie. Za mało miała na to czasu i zdrowia. Raz tylko w życiu, z dziewczęcej głupoty

i ciekawości, zdołała w zimne swe serce wmówić miłość, której zawdzięczała awans na mężatkę, i która ubezpieczywszy jej byt i dawszy poznać jednego mężczyznę, zobojętniła ją dla innych zupełnie. Z głupoty, z wdzięczności, z przyzwyczajenia i strachu była teraz temu jednemu wierną. Wierność zastępowała jej rozkosze miłości. Zimna, niechętna nawet pocałunkom męża, któremi nie umiała, może i z jego winy trochę, przejąć się, nie zaznawszy miłosnego szału, nie przypuszczała nawet, że coś podobnego istnieje, i znajdowała bezwiednie obłudną satysfakcyę w tem przeświadczeniu, że jest kobietą uczciwą i w raz na zawsze zażegnanem niebezpieczeństwie zostania starą panną.

Była w tej chwili zamyślona, a nawet smutna. Z roztargnieniem dawała odpowiedzi dzieciom, podniecanym do tysiącznych zapytań tajemniczem brzęczeniem pudła, w którem jechały i przesuwającą się za okienkiem błękitno-zieloną wstęgą pól i nieba.

Myśli jej najwidoczniej znajdowały się gdzieindziej. Gdzie były?... Przy kim, przy czem je zostawiała?... Zdawało mu się, że pod jej rzęsami łzy błyszczą... Co je z jej oczu wyciska?!...

Gdy się tak pastwił nad sobą rozwiązywaniem dokuczliwej zagadki, nie spuszczając kobiety z oczu, pociąg zwolnił tymczasem biegu, a w końcu zatrzymał się. Zapanowała dziwna cisza. W drzwiczkach zgrzytnął klucz konduktora, który wpuścił do przedziału nowego pasażera.

Karol strętwiał. Nie miał odwagi patrzeć w tę stronę... W oczach mu się zaćmiło i serce poczęło tłuc się w piersi.

Po chwili usłyszał głos nieznajomy:

— O mały włos się nie spóźniłam!...

Spojrzał — przybyła osoba była kobietą. Odetchnął z głębi piersi.

Prawie natychmiast obie wdały się w rozmowę, kobiecą rozmowę o wszystkiem, hałaśliwą, bezładną, pełną naiwnej pozy i banalnych zwierzeń, istną rozmowę dzieci okłamujących się najniezręczniej, ale z wielką satysfakcyą.

Po jakimś czasie przybyłą ogarnął zachwyt na widok malców. Co za prześliczne dzieciaki!... Prawdziwe aniołki. A jakie podobne do mamy?...

— Czy wszystko troje pani?... Ile ma lat ten najmłodszy cherubin?

Matka odpowiadała z iskrzącemi dumą oczyma, dodając szczegółową historyę każdego dziecka,

zacząwszy od dnia urodzin, a nawet dawniejszą, i przeszła z nich na inne kłopoty domowe. Sprawa przestraszającego telegramu męża wyłoniła się sama przez się.

— Odkąd odebrałam depeszę — mówiła zafrasowana — nie mogę przyjść do siebie... Kiedym wyjeżdżała, był zupełnie zdrów... więc nie pojmuję skąd tak nagle... Ale u mamy co chwila mi na myśl przychodził, jak gdybym miała przeczucie... Bóg jeden wie, co tam się stało!...

Przyłożyła chustkę do oczu, pierś jej zadrgała łkaniem.

Tamtę pobudziło to do pocieszających uwag. Najgorzej jest naprzód się martwić. Mężczyźni zanadto się pieszczą. Palec którego zaboli — zarazby się do łóżka kładł.

Płacząca jednak wyjęknęła:

— Proszę pani... jeżeli się męża kocha... — łzy nie dały jej więcej powiedzieć.

Słysząc to, palił się ze wstydu i radości.

Więc wszystkie jego przypuszczenia były mylne?... niesprawiedliwe?... niegodne?... Co za szczęście!... Jaka to poczciwa, anielska, jedyna kobieta!... Jakże ją w tej chwili, wracającej jego próżności i egoizmowi spokój — ubóstwiał!...

Nie mógł doczekać się, kiedy zostanie z żoną sam na sam, czekał na to jak na schadzkę w dwudziestym roku. A skoro nieznajoma nakoniec wyszła i drzwi zatrzasły się znowu, jednym susem, zrzuciwszy czapkę i konserwy, porwał się z kąta, rzucił na szyję przerażonej napaścią kobiety i wśród pisku wylękłych dzieci, całując ją z uniesieniem szczęścia i wdzięczności bez granic po twarzy, po rękach, szeptał drżącym z rozczulenia głosem:

— Moja droga... moja kochana... Nie bójcież się dzieci... to ja, tatuś... Nie mogłem sobie miejsca znaleźć od twego wyjazdu... Nie mogę bez ciebie żyć!...

Patrząc w zdumieniu, jak porywał i całował dzieci, szeptała:

— No, patrzcie się, co za szaleniec!... Pisać, że chory!... I po coś ty tyle świata jechał? Po co kłamałeś? Dlaczegoś się przebierał za cudaka?!...

Ogromnie uradowany i wzruszony, obejmując ją jedną ręką, drugą przyciskając do siebie, twarzą do swej twarzy, najmłodszą dziewczynkę, aż się spłaszczyło tłuste i delikatne liczko dziecka, począł wykręcać się niezgrabnie.

Lecz żona napierała.

Wystękał więc zmieszany:

— Tak cię widzisz kocham... Bałem się.. Myślałem... że z tobą ktoś pojedzie...

— Kto?!...

— Czy ja wiem... Ktoś z dawnych znajomych...

— Znajomych?!...

— Może wielbicieli... Niejedna z was tyle głów nazawraca... Ale się nie gniewaj kobieto...

Lekko urażona i zdziwiona do najwyższego stopnia, wyrzuciła:

— Wiecie państwo? coś podobnego?!...

Lecz jednocześnie niespodziane odkrycie władzy swej nad tem dużem, wąsatem dzieckiem, które dla niej było w stanie posunąć się do takiej niedorzeczności, połechtało jej próżność.

I ulegając jego błagalnym pieszczotom, objęła go za szyję i z uśmiechem serdecznie wesołym, w którym jednak było trochę litości, wyrzekła przeciągle, kładąc usta na jego ustach:

— Oj ty głuptasie jeden!...

. . . .

Maleństwa.

Gospodarstwo na wsi, to czyściec, powtarzam. Wam mieszczuchom, mającym wszystko w oznaczonej godzinie: fryzyera, śniadanie, biuro, objad teatr, partyę, przyjaciół, — wam, których spotykają te tylko zawody, jakie sami sobie zgotujecie, ani się śni o tem, co to znaczy być w ciągłych konszachtach z matką-naturą. Ta hultajka tylko czyha, aby nam płatać figle w najmniej spodziewanej chwili. Deszcze, przymrozki, upały, powodzie, ptactwo, owady, myszy, choroby inwentarza, to część tylko niezliczonych pretekstów, pod któremi jej złośliwość w niwecz obraca najgorliwsze nasze zabiegi, podczas kiedy wy o tych klęskach nie macie pojęcia, jak europejczyk nie ma go o żółtej febrze lub ukąszeniu grzechotnika. Dodać kłopoty z robotnikiem, służbą, z podatkami, z złodziejem miejscowym i złodziejem wędrownym, z rodziną, z sąsiedztwem i z ży-

dami, — a słowa jednego z was o rozkoszach ziemianina, który »siedzi sobie na wsi jak u Boga za piecem«, staną we właściwem świetle.

To też, ile razy mi wieś dojadła, porzucałem ją bez zwłoki, aby co tchu popędzić do miasta, do moich przyjaciół, do moich przyjaciółek, a nadewszystko do jednej z nich — do Talki.

Dziś imię to brzmi po staroświecku, bo popularność subretek teatralnych, bez scenicznego talentu, jest jednym z najszybciej starzejących się artykułów mody, — ale wtenczas, przed laty dziesięciu, Talka była u szczytu swej wziętości. Nikt tylu nie miał kochanków, nikt w taki miły nie zdobywał ich sposób i tak prześlicznie nie zdradzał, nikt się równie jaskrawo nie ubierał i nikt przy tak wyzywającej postawie i tak zuchwałem postępowaniu jawnego łobuza tyle co ona nie umiał zachować kokociej gracyi, powabu i szyku. Nie było też za jej czasów takiej ryby w sadzawce wielkomiejskich hulanek, któraby się nie dała uwieść na tę przynętę. Łapali się wszyscy, czekając na swą kolej, lub narzucając się wbrew kolei, łapałem się i ja za drugimi, z całem poszanowaniem współczesnych prądów, ile razy tylko byłem w mieście.

Talka lubiła mnie widzieć chwytającym — miałem jej zapewnienie, — ponieważ chwytałem (jej słowa): »tylko raz w miesiąc«.

— Jesteś smaczny — mówiła mi, — jak rzadko pojawiająca się potrawa. Pocałuj... ale tak jak ja lubię... wiesz?... bez końca!...

Ach! i ja tak lubiłem! ale cóż, koniec następował bardzo rychło. Wydzierały mi ją próby, spektakle, krawcowe, fryzyerka, ten stary, co się według niej już nie liczył i ci młodzi, co się, jej zdaniem, nie liczyli jeszcze. O tych, co się liczyli, nie było mowy, bo tychby zrachować niepodobna i nie warto. Talka w swem posłannictwie uszczęśliwiania tak była niezmordowana, tak zawsze ochoczą szafarką skarbów swej dobroci, że każdemu czerpiącemu z nich wydawać się mogło, iż czerpie sam jeden — gdyby nie zapewniała każdego:

— Jednego mi tylko do szczęścia brakuje: abym ci mogła być wierną. Ale to już od ciebie samego zawisło...

Podejmować się tego zadania nikt nie miał ochoty. Większość jej wielbicieli wolała ją czcić jako bóstwo wszystkich, aniżeli jako własną boginię. Pojawił się jednak przecież śmiałek, co

znalazł w swem sercu tyle męstwa, a w kieszeni tyle pieniędzy, że wydarł ją ludowi i uprowadził w zacisze.

Dowiedziałem się o tem w bardzo przykry sposób, po długiej absencyi przybywszy do miasta, — gdy po daremnem szukaniu jej adresu spotkałem naraz w jednem z miejsc spacerowych ją, a raczej postać zupełnie do niej podobną, lecz całkiem równocześnie przekształconą, niby tę samą osobę w innej roli.

Była to rzeczywiście Talka, ale nie Talka subretka miejscowej trupy, oburzająca na spacerach, w loży, na scenie, świat kobiecy, a zawracająca głowę męzkiemu wszystkiem, co w niej zdradzało całą otchłań i cały artyzm grzechu, jej właściwy. Była to kobietka skromnie ubrana, nawet za skromnie i tyle właśnie teraz poważna, ile dawniej była swywolną i pustą. Nieco za sztywna w ruchach, nieco za surowa w spojrzeniu, kroczyła dumnie za popychanym przez sługę wózkiem, w którym drzemał mały, paromiesięczny dzieciak — jej dzieciak! Talki??...

Nie chciałem temu uwierzyć, wydawało mi się niemożliwem, aby Talka miała tyle wytrwałości, tyle silnej woli, tyle cnoty, tyle odwagi, ile

w porównaniu z jej figlarnem życiem potrzeba do zasłużenia osobiście na ten majestat macierzyństwa, jakim się drapowała pysznie w mych oczach.

A jednak fakt był niewątpliwym. Sama mi go zakomunikowała, druzgocąc mnie za moje poufałe »ty« w myśl dawnej zażyłości — surowem »panie«, i dając do zrozumienia, że »te rzeczy« na zawsze już skończone, że nadal między nią a takimi jak ja lampartami nie ma już nic wspólnego. Dość szaleństw — życie przyniosło obowiązki.

— Niech się panu zdaje, że to wcale nie istniało i... zapomnij pan o wszystkiem.

Co za ton! jaka poza przy tych słowach!... Miałem ochotę uściskać z całych sił, na środku ulicy! uroczą Magdalenę, — ale ten wózek....

I pomyślawszy, że rzeczą jest najzupełniej ludzką kłaniać się »z czcią« kobietom, na które się niegdyś kiwało palcem, lub odwrotnie — wycofałem się dyskretnie z słowami:

— Na wszystko zgoda moja mała, tylko nie na to, abym zapomniał. Nie zdołam.

Nie widziałem jej rok cały, wierny wspomnieniu, którem uważał za niepowrotne, dowie-

dziawszy się, że w rzeczy samej oddała swe uczucia jednemu i że ma zostać jego żoną.

Po roku wszakże, za jednej z moich bytności w mieście, w przecudny dzień lata, po żniwach, od których pulares mi pękał, aż przetarłem oczy, nie wierząc temu, co ujrzałem...

Ujrzałem ją, Talkę, ale dawną Talkę! Talkę z przed epoki nawrócenia! Talkę właściwą! w kostyumie ostatniej mody, z figurką owiniętą w materye w ów rozkoszny sposób, co przymusza rozwijać je myślą, z główką, otoczoną nimbem zwycięzkiej zalotności większego niż kiedykolwiek blasku, — Talkę, na którą wypatrywali oczy idący przed nią, obok niej, za nią, ku której wychylano się z okien, z pojazdów, za którą żonkosie, spieszący się z interesem, podążali w przeciwną swej drodze stronę, spojrzawszy na zegarek, i mruknąwszy dla spokoju sumienia, tego najcichszego z wszystkich opozycyonistów:

— Jeszcze nie ma tyle.

Jakżem ją pragnął zaczepić!... Nie śmiałem jednak, nie wiedząc, co mnie spotka.

Lecz oto sama skinęła na mnie sprytnie głową z uśmiechem, nie pozostawiającym ani cienia wątpliwości, że kryzys cnoty minęła szczęśliwie

i że ta urodzona uwodzicielka widzi we mnie, jak dawniej, jeden z pożądańszych, bo rzadkich kęsków.

Aby jej się co prędzej dać schrupać, pospieszyłem z przywitaniem.

— Jakże się »pani« miewa? — zawołałem, ujmując oburącz jej ręce, które grzały poprzez jedwabny trykot i ściskały przeciągle w tajemniczy sposób, używany przez wolnomularzy i przez kokoty.

— Po tym chłodnym sposobie mówienia zaraz już gorzej niż przed chwilą, lamparcie jakiś!

— Chłodnym?... Ależ rok temu, przypomnij sobie tylko... obraziłaś się...

— Iii rok temu! Niech ci się zdaje, że to całkiem nie istniało i zapomnij o wszystkiem.

Parsknąłem serdecznym śmiechem.

— Ależ to właśnie tak samo jak przed rokiem.

— Cicho bądź!... To właśnie zupełnie inaczej niż tobie się zdaje. Nie zmieniłam moich zapatrywań po raz drugi, chociaż zmieniłam suknie i sposób życia... Ale musiałam to uczynić — dla nich... dla moich maleństw...

— Jak to?... A on!... Opuścił cię?

W najbardziej niewinny i stanowczy zarazem sposób. Umarł na miesiąc przed ślubem, zostawiając jej trochę pięknych wspomnień, dużo zawiedzionych nadziei i dwóch malców.

— Więc to dla nich... przypominasz sobie dawnych znajomych?

— No i dla znajomych także...

— Ale przedewszystkiem dla nich?... Poczciwe maleństwa!... Kocham je za to!...

Mara.

». . . . . . Od chwili, kiedy porzuciłem muzykę, niegdyś... pamiętasz?... pomimo bólu i tęsknoty nie do ukojenia, jakie mi dawała, ukochaną z tym samym szałem i wyłącznością, która cechuje wszystkie moje uczucia; od chwili, kiedy tę miłość dla sztuki przeniosłem na kobietę, na nią, na moją żonę — w coraz dziwniejszym znajduję się stanie...

»Z powodu drobnostek nabieram nagle wstrętu do rzeczy, do ludzi, których lubiłem zawsze i z równie błahego powodu uczucie to ustępuje miejsca innemu jeszcze szybciej, niżeli się pojawiło.

»Przerzucam się raz po raz z jednej ostateczności w drugą, jak chory, który co chwila zmienia pozycyę, ponieważ osłabione ciało jego żadnej zbyt długo nie znosi.

»Chwilami świat wydaje mi się cudownym,

a sama możność patrzenia na szczęście innych — nieprzebranem źródłem uciech.

»Naraz jakaś nic nieznacząca drobnostka zasępia mnie, zniechęca, otacza chmurą wzmagającego się smutku i zwątpienia a wnet wszystko wydaje mi się fałszywem, marnem, bezcelowem, nieznośnem...

»Ale nietylko teraźniejszość, w coraz to innem widziana świetle, dokucza mej wyobraźni, podejrzywam i przeszłość... nie ufam przyszłości..

»Ni stąd, ni zowąd przychodzą mi czasem do głowy rzeczy nieistniejące, choć możliwe, i unoszą mnie jak najpewniejsza w świecie, rzeczywista i nieunikniona konieczność, a unoszą tak gwałtownie, tak mnie pochłaniają, że zanim spostrzegę się w tym locie po manowcach przypuszczeń, już gorycz objęła mnie i napełniła, ta dziwna, subtelna gorycz czułej wyobraźni, która przenika na wskróś, zasmuca i obezwładnia.

»Nie tracę przytem, co prawda, nigdy do szczętu władzy odróżniania rzeczy istotnych od możliwych, lecz sama myśl o możliwościach, a wszakże te nie mają granic! sama obawa tego, coby być mogło, zatruwa mi bez miary to, co jest...

»Jakże bo znikomem, ułudnem aż do kłamstwa

niemal, wydawać się musi wszystko człowiekowi, który zna nieograniczoną zmienność rzeczy i odczuwa druzgocący despotyzm całości wobec cząstki!...

»Skąd jednak bierze się we mnie ta chorobliwa pochopność do uprzedzania i rozbierania przyszłych faktów, ta skłonność dopatrywania się wszędzie zapowiedzi ostatecznych wyników, skutkiem której to, na co skazani jesteśmy wszyscy, rozczarowanie — zjawia się u mnie najwcześniej?

»Nie umiem sobie tego wytłómaczyć.

»Nazywaliście mnie nieraz egzaltowanym, kapryśnym, ja sam to czułem, że nerwy moje płatają mi figle... Ale czemu?

»Prawdopodobnie mój ojciec dał mi życie w chwili, kiedy dla niego samego wszystko straciło już urok, i ja przyniosłem z sobą na świat przedwczesne niedowierzanie dziecka dojrzałego pesymizmu.

»Faktem jest, że udział mój w życiu różni się od waszego, że dostaje mi się tylko część waszych radości, a smutki mam, o jakich wam się nie śniło.

»Jak straszne są dla mnie naprzykład go-

dziny waszego odpoczynku i słodkich marzeń: noc — z swoją ciemnością i ciszą, które zakrywając uśpioną rzeczywistość, powołują do życia świat mar!...

»Skoro noc nadejdzie, jakaś głucha groza mną owłada, niedające się wypowiedzieć ani usprawiedliwić uczucie lęku i odrazy ku całemu światu, jak gdyby wszystko dokoła mnie było zatrutem i cuchnącem, jak gdybym się znajdował w obcem mi miejscu, gdzie zdają się na mnie czyhać miliony niebezpieczeństw, choć żadne ze znanych mnie nie przeraża. Nie widzę przedmiotów, straciłem z oczu przestrzeń pogrążoną w mroku i dlatego ją podejrzywam. Zaczynam się lękać, sam nie wiem czego, nie wierzę własnym zmysłom, myśl moja kurczy się i drży w gorączce, zgnieciona obawą wrogiego ogromu, wpośród którego zawisła mała i bezsilna... I pragnę wówczas snu-zbawcy, któryby mnie wyrwał z chaosu niekarnych majaków — ale sen nie przybywa...

»Jedna właśnie z takich nocy fatalnych ugodziła niedawno w jedyną osłodę mego życia, w tę miłość, która tak wyjątkowe, tak niesłychanie górujące stanowisko zajęła w mem istnieniu, że dla niej wyrzekłem się wszystkiego, com

posiadał, przestałem czuć, czego mi brak; że, poznawszy w niej granice wymarzonego szczęścia, nabyłem jednocześnie przeświadczenia o jego nieskończoności, ponieważ przynosząca mi je istota była dla mnie najwyższym kontrastem wszystkiego, co przywykliśmy uważać za złe i brzydkie.

»Stało się to w następujący sposób.

»Pewnej nocy, nie mogąc oczu zmrużyć do późna z powodu większego niż zwykle rozstroju, stanąłem z światłem nad jej pościelą i objąłem wzrokiem to uosobienie dobroci i wdzięku, którego sam widok koił mnie dotąd zawsze i uzdrawiał.

»Spała lekko i spokojnie. Po raz nie wiem już który spostrzegłem, ile jest piękniejszą od tego jej obrazu, który nieustannie w myśli noszę — jak gdyby wyobraźnia moja zbyt nieudolną była do pochwycenia całego jej powabu.

»Wydało mi się teraz, że bijąca od niej prostota przyprowadza do ładu i chłodzi stopniowo mój wzburzony umysł...

»Wtem uśmiechnęła się, robiąc przez sen nieznaczny ruch przeczenia głową...

»Śniła!... O czem?... Gdybym mógł przeniknąć!...

»Ale niepodobna... A przywidziało mi się, że

ten sen był ważną dla mnie tajemnicą, że dzieje się w nim może coś, co mnie krzywdzi, że jej dusza odbiega odemnie, że łączące nas węzły stają się słabszymi... Nic bowiem nie usposabia bardziej do niewiary, niż widok śpiącego: cały zajęty sobą, milczący i skryty...

»Starałem się czas jakiś natężeniem myśli odgadnąć jej marzenia, lecz był to próżny wysiłek. Natomiast pod natarczywością mego wzroku zbudziła się i westchnąwszy, szepnęła:

— Nie śpisz?

— Nie. Patrzyłem na ciebie. Śniło ci się coś?

»Przybrała twarz osoby, która wytęża pamięć, a nie mogąc sobie nic przypomnieć, podniosła się na posłaniu i spytała ciekawie:

— Czy co mówiłam?

— Nie, uśmiechałaś się tylko...

»Wyciągnęła do mnie odsłonięte ramiona i z uśmiechem wpółrozbudzonym, który miał w sobie coś dziecięcego, odparła:

— To do ciebie... Musiałeś mi się śnić...

»Nie pojmuję, skąd mi się wówczas zebrało na podejrzenia. Nie dając jednakże niczego po sobie poznać, pocałowałem ją, ułożyłem napowrót i poprosiłem, aby usnęła.

»Usnęła też wkrótce, patrząc na mnie przez chwilę z pod zmrużonych powiek, których rzęsy ćmiły stopniowo blask jej źrenic, zapadając coraz niżej i gasząc jednocześnie uśmiech nakształt światła...

»Zasnęła. Utonęła napowrót w świecie, w którym niepodobna mi było śledzić, strzedz jej, ścigać — jak syrena z bajki, porzucająca z brzaskiem śmiertelnego kochanka, aby się zanurzyć w niedostępną, niezgłębioną tajemnicę wodnej toni...

»I naraz doznałem uczucia, że się znajduję twarz w twarz z nieznanym, niewidzialnym, a potężnym wrogiem mojego szczęścia...

»Był nim: sen!

»Sen, który nie zna granic czasu ni miejsca, praw ludzkich, ani praw logiki, karbów cudzej, ani własnej śpiącego woli, który czyni nas zdolnymi do wszystkiego, upaja lub grozą przejmuje, w którym wyobraźnia urzeczywistnia wszystko najlepsze i najgorsze, o co istota ludzka na jawie się otarła, w którym tylko brak ruchu nie pozwala nam dopuszczać się najdziwaczniejszych a nawet zbrodniczych czynów — sen lunatyka i hypnotyczny są tego dowodem — w którym

kiełkują może pierwsze nasionka spełnianych później na jawie występków.

»I oto stałem bezradnie wobec udręczającej mnie zagadki tego cichego spoczynku, który, tak z pozoru niewinny, zabierał mi w oczach i Bóg wie gdzie unosił ukochaną i drogą kobietę!...

»Te i tym podobne myśli, podejrzenia, obawy — urodzić miały niebawem czyn najszaleńszy w świecie, podyktowany przez wyobraźnię, rozognioną dziwacznymi i upartymi podszeptami bezsenności.

»Nieraz już przedtem pogrążałem ją oczyma w sen sztuczny, w ów niezbadany rodzaj katalepsyi, nazwany przez uczonych hypnozą, w którym osoba uśpiona przyjmuje rozkazy hypnotyzera, aby je później na jawie jak najściślej wykonać, bez świadomości pobudek swego czynu. Skłonność jej do tego odkryłem przypadkowo, zwyczajem kochanków mocując się z nią wzrokiem, wśród czego po długiem wpatrywaniu się w moje oczy popadła raz nagle w zdrętwienie. Zoryentowawszy się, co to znaczy, obudziłem ją i przekonałem się, że był to istotnie sen hypnotyczny, nie pamiętała bowiem o niczem.

»Parę razy później, przez żart, powtórzyłem

tę próbę, a nakazywałem jej zwykle wykonanie czegoś, wręcz przeciwnego jej zwyczajom. Było stąd potem wiele śmiechu, gdy zmieszana, nie mogła zdać sobie sprawy z postępku, spełnionego bezwiednie pod potężnym przymusem sugestyi. Lecz kiedy jej wyznałem rzecz całą, bez cienia żalu za podobny zamach na jej wolę, obejmując mnie, rzekła uradowana:

— Patrz, jaką masz władzę nademną!...

»Teraz więc, zdenerwowanemu nagłą obawą zmian nieznanej przyszłości, mogącej przynieść wszystko, przyszło mi na myśl władzy tej użyć.

»Postanowiłem za jej pomocą utrwalić w niej miłość dla mnie, rozkazem tajemnym zapewnić sobie szczęście posiadania jej zawsze taką, jaką aż do tej chwili wzbudzała we mnie uwielbienie najwyższe.

»Nie obyło się bez skrupułów.

»Zdawało mi się, że ją w ten sposób krzywdzę, że spełniam bezprawie, gwałt jej zadaję niegodny...

»Ale dlaczegóż pragnąłem narzucić jej mój wpływ?...

»Dlatego, aby ją uczynić nietykalną wobec wszelkich innych wpływów, zagrażających na-

szemu wspólnemu szczęściu, niezliczonych wpływów zewnętrznych i nieuchronnej zmienności słabej natury ludzkiej.

»Zresztą czyliż podobnych gwałtów nie popełnia się codziennie mimowoli?... —myślałem.— Jeżeli istnieje w rzeczy samej ta siła, której zamierzam użyć, czyż nie jest możliwem, że słabsi zostają nieustannie pod bezwiednym naciskiem tego rodzaju ze strony silniejszych?...

»Z sercem bijącem wziąłem ją owego rana za ręce i utopiłem bystre spojrzenie w jej oczach, dopóki nie przesłoniły się mgłą i nie przymknęły, na znak, że dusza jej oddaje się teraz cała w mą moc.

»Nie puszczając jej dłoni, zawołałem na uśpioną po imieniu, zapytałem, czy słyszy mnie i poznaje, a gdy potwierdziła, rozkazałem, aby zważała na każde me słowo — i uniesiony szalonym pomysłem, oddałem mu się całkowicie.

»Była to w swym rodzaju dziwna, dziwna scena miłosna.

»Porwany niezwykłością mego czynu, znalazłem się w nastroju półnieprzytomnym, a zarazem uroczystym: zadawałem jej pytania dręczonego niepokojem i zazdrością kochanka, które

mi otwarły wszystkie skrytości jej serca, wskazując, że w niem panuję niepodzielnie. A potem rozkazywałem jej i prosiłem, aby pozostała zawsze tak dobrą i tak kochającą, jak była dotąd, aby nie zmieniła nigdy ani swych uczuć dla mnie, ani doskonałej ich formy. Całe moje ubóstwienie dla niej przelałem w rozkaz, który miał odtąd zapewnić trwałość naszemu szczęściu...

»Ona zaś poddawała się bez oporu, a przebudzona nie zachowała najlżejszego nawet wspomnienia o tem, co zaszło, a co jednakowoż kierować miało odtąd każdym jej krokiem, jak gdyby własna jej wola...

»Dzień, jego światło, rozjaśniające myśli nawet i wypogadzające umysł, przyniósł mi trochę wstydu i trochę wyrzutów sumienia, ale też i chęć wyśmiania siebie samego, jak się to śmiać zwykliśmy z rzeczy, popełnionych w malignie.

»Czułem w sobie przecież równocześnie i ten tajemny dreszcz otuchy, jakim przejmuje zabobonnych pomyślna wróżba lub posiadanie zbawczego amuletu.

»Pod wpływem jej swobody i naturalności zaczęło się nawet zwolna w pamięci mojej zacierać wspomnienie wybryku rozstrojonych ner-

wów, gdy wtem, w jakiś czas potem, nałóg, będący dla mnie dawniej rozkoszą, nałóg studyowania jej bez przerwy, przyprawił mnie o nowy niepokój, który dziś — och! gdy się raz na tę drogę wstąpi, trudno się na niej zatrzymać... — dziś nie pozwala się odpędzić i zakorzeniony, spotęgowany, towarzyszy mi ciągle, bez ustanku mnie nęka...

»Czemuż się naraziłem na to? Dlaczegożem nie przewidział?... Naturze zadawać gwałt podobny!...

»Sądzisz może, że podstęp mój nie dopisał?... Ależ nie! przeciwnie — i to jest najstraszniejsze właśnie... Co miało mi dać spokój, stało się dla mnie męką.

»Czyż nie rozumiesz?

»Każde jej słowo, ruch, spojrzenie, wszystko, co mnie w niej dawniej tak zachwycało, żem w niezmiennej pragnął zachować to postaci, wydaje mi się dziś wymuszonem, nieszczerem, martwem...

»Wszystko to bowiem nie ona dziś czyni, ale rzucony sztucznie urok, który dla niej samej jest tajemnicą, dla mnie widoczny, jak sekret sztuki dla kuglarza, który się nią popisuje...

»A wszystko, aż do najmniejszego poruszenia,

uśmiechu, intonacyi, nie przestanie być takiem samem jutro, pojutrze, za rok, zawsze, i ja wiem o tem... sam to sprawiłem!... Sam przemieniłem ją w bezmyślnie posłuszną lalkę, w ślepe narzędzie mego kaprysu i dziś snuje się koło mnie mara bez własnej woli, bez duszy samodzielnej, cień dawnej istoty, wcielony odblask moich chorobliwych mrzonek... W pokusie poprawienia życia, którego sam, jak wszyscy, bezsilną jestem igraszką, w czyn wprowadziłem je na szkodę najdroższej mi istoty!...

»Co mam czynić?... Wyznać jej — niepodobna!... Czyliż mi przebaczy!... Chyba w powtórnem uśpieniu cofnąć suggestyę lub nawet podszepnąć coś wręcz przeciwnego...

»Ale czy teraz, w rozpaczy, która odbiera siły, będę miał tyle na nią wpływu, ile go miałem, kiedy mnie pożerała miłość, ogień nienasyconych pragnień bez granic uwielbiającego kochanka?...

»Zresztą nie przestanie to być przymusem, nie zdejmie z niej mego nienaturalnego wpływu... Nie powróci mi dawnej, świadomej i niezależnej istoty, nie uzdrowi jej, nie odda jej zrabowanego przezemnie przyrodzonego dobra: woli samodzielnej, swobodnej woli, którą jej bezpowro-

tnie wydarłem, przyprawiając jej duszę o kalectwo, a siebie, sprawcę tych zbrodni, skazując na wyrzuty i udręczenia bez końca!...

»Najgorsza bowiem przyszłość... nieznana! — wydaje mi się dzisiaj mniej straszną od tej wiadomej, pewnej, niezmiennej jednostajności, która ciąży nad nami obojgiem, jak wyrok nieubłagany, jak klątwa...

»Co czynić zatem? co czynić?

»Radziłem się lekarza, bom sądził, że znajdzie na to sposób, bo wreszcie są chwile, kiedy to wszystko wydaje mi się tylko przesadnem urojeniem... powracającą, ale bezpodstawną mrzonką, z której się można uleczyć...

»Zabronił mi surowo doświadczeń hypnotycznych, kazał zmienić tryb życia, wyjechać na czas jakiś, brać rzeczy poprostu i nie dopuszczać do siebie przywidzeń.

»Przywidzeń!...

»Jak niepojętym wyraz ten przejmuje mnie dreszczem! Boję się ich! boję więcej, niż mogłem to kiedykolwiek przeczuć!... Obawiam się, aby kiedyś... jakieś przywidzenie nie opanowało mnie tak wyłącznie, wszechwładnie, uparcie, że stracę zdolność dojrzenia po za niem rzeczy-

wistości... Jest dla mnie coś wyzywającego w fikcyach, nęcą mnie jak niewyjaśniona zagadka natury nęci uczonego, nie mogę im się oprzeć...

»Czy to, co tutaj powiedziałem, także nie przywidzenie?...

»Mów, odpowiedz, odpowiedz mi wyczerpująco i szczerze, co o tem wszystkiem myślisz!... Przekonaj mnie, jeśli chcesz, że się daję unosić wyobraźni... Ja ci uwierzę, bo ci ufam, bo pragnę być przekonanym, jak ślepy pragnie widzieć, umierający żyć — lecz przekonaj mnie!«...

Zastępca.

»Ależ rozumie się, opowiem ci wszystko jak najdokładniej; obowiązuje mnie do tego sama wdzięczność...

»No — nie czułem jej wiele w pierwszej chwili po twojem wyjściu«.

»»Dlaczego?««

»Podejrzywałem cię«.

»»O co?««

»O tysiąc rzeczy.

»To twoje ustępstwo zanadto było łatwe, ochocze, zanadto w swej uprzejmości nienaturalne... Bałem się figla.

»Myślałem po prostu, żeś sobie zakpił ze mnie, że ona wcale przyjść nie ma, albo że w chwili, gdy zamiast ciebie będę na nią u ciebie czekał, zatrzymasz ją w drodze, na ulicy w bramie, na schodach, i uprowadzisz mi pod samym nosem, aby się razem z nią śmiać ze mnie do rozpuku...

Sądziłem, że pożałujesz, że musisz pożałować swej uczynności przez samą zazdrość, przez... Albo ja wiem zresztą?... Kiedy się z całej pasyi pragnie kobiety, jak ja jej, i od tak dawna, trudno uwierzyć, by dla innego mogła być tak znowu całkowicie obojętną.

»A potem — rozumowałem — gdyby nawet miała przyjść i przyszła, nie chybiwszy schadzki, — co zrobię, gdy wejdzie?... Jak ją zatrzymam?... jak wytłómaczę moją obecność w twoim pokoju, i jak przekonam, że ty a ja to wszystko jedno... kiedy nawet nie będę zapewne w stanie odezwać się do niej, przemówić...

»Wyobrażałem sobie już tę scenę, przeżyłem ją w myśli sto razy: weszła — widzi obcego człowieka — udaje zdziwioną — tłómaczy się pomyłką, ucieka — i po wszystkiem.

»A tak jej pragnąłem!... wierząc temu, co mówiły jej figurka, jej oczy, co ty o niej mówiłeś i inni, co mi mówiły moje zmysły, rozszalałe oczekiwaniem i niepewnością.

»Gotów byłem uczynić ślub (inna rzecz, czybym go potem dotrzymał) — byle moje pragnienia zostały ziszczone.

»Naraz, wśród przysłuchiwania się krokom

przebiegających korytarz domowników, przyszła mi myśl zbawcza tak nagle, jakby nie była moją własną, jak gdyby mi ją ktoś podszepnął:

— Zgaś lampę...

»Uczyniłem to — i wielka otucha wstąpiła we mnie, gdym się ujrzał otoczonym ciemnością, która czyniąc mnie niewidzialnym, jak czarodziejski płaszcz w bajce, zamieniła mnie już tem samem potrószę w ciebie, a w każdym razie kładła na moje »ja« maskę.

»Jeszcze nie miałem czasu ochłonąć z przyjemnego wzruszenia, jakiemu teraz uległem, gdy klamka, naciśnięta z zewnątrz wprawną dłonią, otwarła się, do pokoju wpadło nieco światła, zimna, szelest sukni i osoba — a ja poskoczyłem do drzwi co tchu, zamknąłem je, przekręciłem klucz w zamku dwa razy, i wyciągnąwszy go, schowałem na dnie kieszeni, na samem dnie, z uczuciem niedającego się wysłowić zadowolenia.

»W tej chwili otarłem się w mroku łokciem o mą zdobycz.

— Janek, dlaczego tu ciemno? — zapytała nieco zdyszana, otoczona chłodem, który przynosiła z ulicy w fałdach swych sukni, w zwojach włosów, w porach ciała.

»Odparłem pod natchnieniem chwili na chybił trafił cichem:

— Psst!... — a ona, chichocąc:

— Więc znowu cię szpiegują?... Gdyby mię tak kiedy zobaczyli! Boże!!...

»Zamiast odpowiedzi począłem ją brać w posiadanie, milcząc i hamując mój zapał. Lękałem się zdradzić, zbudzić jej baczność czemś, coby odkryło, że to nie ty jesteś, lecz kto inny, a jednocześnie śpieszyłem się bardzo, ze strachu i niecierpliwości. Całowałem i byłem całowany, wąchałem perfumy, dotykałem kobiecych sukni, kobiecej bielizny, kobiecego ciała i traciłem resztę przytomności...

»Gdym ją odzyskał, uczułem na ustach pocałunek, pełen uznania, i szept w tonie wyrzutu, który ci zwracam za świeża:

— Gdybyś był zawsze taki jak dziś, brzydaku, uwierzyła bym może, że kochasz mnie jeszcze choć trochę...

»Pokazuje się, że musisz ją zaniedbywać?...«

»»Kochałem ją wściekle przez trzy tygodnie, trudno przecież kochać cały miesiąc««.

»Wtem rzekła:

— Puszczaj, zimno mi — i uwolniła się odemnie.

»Usłyszałem dreptanie pięt po podłodze, skrzyp drzwi od szafy, dzwięk szkła...«

»»I bulgotanie koniaku««.

»Lubi koniak?«

»»Przepada za nim, utrzymuje, że chroni ją od wyrzutów sumienia««.

»Więc je miewa!«

»»W tych dniach, kiedy mój pugilares jest pełny««.

»Nie mówiłeś mi tego nigdy.«

»»Dopóki zwracałem więcej uwagi na nią, niż na pieniądze. Ponieważ jesteś w tej samej fazie, mów dalej««.

»A potem usłyszałem:

— Zaświećże lampę«.

»»Do dyabła!...««

»To samo zawołałem w duszy. Chcąc nie chcąc poszedłem jednak po omacku do stołu, odszukałem rękomą lampę, pudełko z zapałkami, potarłem jednę...«

»»Lecz naturalnie zgasła««.

»Jakto: Naturalnie?«

»»To podnosi efekt opowiadania««.

»Żeby jedna; — trzy!«

»»Trzy zgasły?!... Opowiadasz jak dyabeł««.

»Daję ci słowo. Ręce mi się trzęsły...«

»»Dzieciństwo. Byłeś przecie panem placu««.

»Dopóki nie mogłem być widzianym — ale nie wówczas, kiedy ta ciemna sprawa powołaną została przed trybunał światła.

»Zaledwie płomień zabłysnął, — polecając się mym patronom, ujrzałem ją przed sobą, na kanapie, w całem pięknie naturalnem, w jakiem dotąd znały ją jedynie moje ręce.

»I teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego jej było zimno: miała tylko medalion na szyi.

»Równocześnie, ujrzawszy mnie, wytrzeszczyła oczy, oddaliła butelkę od ust i po jednej sekundzie zdumienia, zaczerwieniona, zerwawszy się z sofki, rzuciła się pędem w stronę łóżka, aby w niem ukryć swoje bujne kształty, równie powabne z stron obu.

»Z głową, cała, ukryła się w oka mgnieniu pod kołdrę. Lecz widać obawiała się mej napaści, wychyliła bowiem raptownie napowrót twarz, otoczoną zmierzwionemi włosami, pałającą z oburzenia i wstydu, i szybko, z gniewem i strachem w błyszczących oczach, któremi od jednego rzutu rozpoznała twój pokój — wykrzyknęła:

— Co to jest?!... Co to znaczy?!... Co pan tu robisz?!...

»Opowiadać — długa i nudna historya. Wolałem przemówić za sobą czemś czulszem i wymowniejszem od słów i w tej myśli poskoczyłem w jej stronę.

»Lecz wrzasnęła tak przeraźliwie, żem stanął w pół drogi jak wryty.

— Nie zbliżaj się pan! bo będę krzyczeć!!.. Jak pan śmiesz... w takim stroju...

»Byłem w istocie bardzo mało ubrany, choć w każdym razie więcej niż ona przed chwilą. Jednak pozostałem w oddaleniu, aby jej nie drażnić, a nawet zasłoniłem się poręczą krzesła, na którem leżały jej suknie, i począłem stamtąd błagać ją i zaklinać, aby się nie gniewała, aby mi przebaczyła postępek, do którego popchnęła mnie miłość szalona.

»Była nieczułą na głos mojego serca, zatykała uszy, oczy, nie chcąc mnie widzieć ani słyszeć, i powtarzała coraz płaczliwiej w odpowiedzi na wylew mych czułości:

— Idź pan!... Nie chcę pana znać!... Jak pan masz czoło po tem, co się stało...

»A kiedym próbował zwrócić jej uwagę, że

właśnie po tem, co się stało, przez samo pogodzenie się z faktem, powinnaby być mniej surową — wybuchnęła:

— Milcz pan!... Jesteś podły! I on także jest podły! Obaj... jesteście... Boże! co za nikczemność...

»Zaniosło się od łkania biedactwo.

»Ten płacz krwawił mi serce i odebrał cały animusz. Uczułem bowiem, że postąpiłem nieszlachetnie, wkradając się (przy twej pomocy) w tak zdradziecki sposób w łaski kobieciny, pomijając wszystkie przedwstępne ceregiele i zabiegi, jakich wymagają najpłochsze, aby się sobie i nam wydać mniej płochemi, na czem prawda, do czasu, traci, lecz zabawa w miłość zyskuje.

»Stopniowo jednak łkania jej cichły, nakoniec zbolałym, złamanym głosem kazała mi wyjść lub obrócić się, ponieważ będzie się ubierać.

»Odziany już nieco, poszedłem w kąt i usiadłem na krześle, plecyma do niej, śledząc równocześnie w kieszonkowem lusterku każde jej poruszenie.

»Zrazu rzuciła parę badawczych spojrzeń w mą stronę. Następnie z tysiącem ostrożności podniosła się powoli, cicho, pod okryciem, pilnując mnie ciągle niespokojnemi oczyma, i w ten spo-

sób ubrała pończochy, trzewiki, sznurówkę i halkę. Wreszcie poczęła z pośpiechem wdziewać wierzchnie suknie.

»Zaczerwieniona z płaczu i gniewna, zmarszczona tak, jakby mi śmierci życzyła za wyłudzone od niej podstępnie objawy dobroci, — wyglądała przesmacznie. Musiałem ze wszystkich sił panować nad sobą, aby nie pobiedz, nie rzucić się jej na szyję i tysiącami pocałunków nie zdobyć jej przebaczenia.

»Naraz usłyszałem za sobą stąpanie, zgrzyt klamki i półgłosem wyrzeczone:

— Drzwi są zamknięte.

»Prawda, klucz od nich miałem w kieszeni.

»Powstałem z krzesła i zwróciłem się ku niej z ociąganiem, nie mogąc się pogodzić z myślą, aby się to w ten sposób skończyć miało.

»Wśród tego przelotnym rzutem oczu objąwszy jej postać, zauważyłem, że suknię ma krzywo wdzianą, żakiet źle zapięty, włosy rozrzucone, kapelusz trochę na bakier a z pod poły okrycia bieli się jakaś tasiemka. Cała toaleta, jednem słowem, w nieładzie, jak u osoby, która ubierała się na gwałt i bez pomocy lustra.

»W takim stroju, z swoją nieszczęśliwą minką,

wyglądała tak pociesznie, że uśmiechnąłem się mimo woli.

»Zauważywszy to, spojrzała po sobie i — uśmiechnęła się także, poprawiając nieznacznie suknie.

»Wtem nachyliwszy się, aby podnieść z ziemi kołdrę, która spadła i zagradzała mi drogę ku niej, spostrzegłem, że pod nią coś leży, coś białego z haftowaną falbanką, coś podobnego do dwóch białych, szerokich, batystowych rękawków. Wyciągnąłem dłoń, by je podnieść, lecz w tejże chwili usłyszałem okrzyk żywego protestu:

— Nie ruszaj pan tego! — przyczem ręka kobiety schwyciła mnie kurczowo za ramię.

»Za późno. Już podniosłem!... a biała tkanina rozwinęła w powietrzu swe kształty, okazując się częścią kobiecego stroju, jedną z najbardziej skrytych, którą wymienia się rzadko... której nie wymienia się nigdy...

»W chwili kiedy odgadywałem w myśli ogrom roztargnienia, potrzebny, aby o tej cząstce toalety, ubierając się, zapomnieć, i pytałem się, co się teraz z nią stanie — naraz usłyszałem jakby resztkami tchu wyrzeczone:

— Połóż że pan to raz nareszcie... — a potem

śmiech, śmiech nagły, gwałtowny, niepowstrzymany, i ujrzałem ją padającą na krzesło bezwładnie w tym porywie szalonej wesołości, w którym nie same już usta, ale całe ciało, cały człowiek kona niemal, szarpany łechcącemi i bolesnemi spazmami nagłego jak furya porywu.

»Wyrzucała z ust w górę: ha! ha! ha!... ha! ha! ha!... — raz po raz, bez końca, krztusząc się i przymykając oczy, z których łzy ciekły, chwytając się za boki i jęcząc odrobiną tchu:

— Boże!... Jakiś pan zabawny... Jakie to wszystko śmieszne... Jakże mnie... sznurówka... ciśnie...

»Poskoczyłem ją uwolnić z ucisku fiszbinów i sprężyn, a gdy się broniła, śmiejąc się bez ustanku, tłómaczyłem, że musi to uczynić ze względu na swe zdrowie, na swoją toaletę, na mnie.

»Ustępowała zwolna mej troskliwości, oddychając ciężko i wykrztuszając czasem z resztkami śmiechu, który ją czynił rozkoszną:

— Jeszcze mi się nigdy w życiu coś podobnego nie zdarzyło.

— Ani mnie — zapewniłem.

— No, no, pańskie szczęście, że się... tak

stało, i że ze mnie taka śmieszka, inaczej mogłoby się to wszystko źle skończyć...

»Och! skończyło się jak najlepiej.

»Została ze mną całą godzinę i przyrzekła poświęcić mi ich więcej w mojem własnem mieszkaniu, skoro tylko mąż będzie miał znowu nocną służbę.

»Nakoniec — nie bierz mi za złe, proszę, że to powtarzam, — kazała ci powiedzieć, że jesteś potworem i żebyś się jej na oczy nie pokazywał więcej...

»Ty się śmiejesz?«

»»A czy nie skarżyła ci się przypadkiem, że mąż jej — także potwór — odmawia jej na jesień nowego okrycia?...««

»Nie, nie wspominała nic o tem«.

»»Bądź cierpliwy, jesień się zbliża, już ona ci niedługo o tem wspomni, poczciwcze««.

W drodze.

Gromadzono się po cichu.

Palczak, sufler, stał na rogu uliczki i przyprowadzał każdego z osobna do wozów, ukrytych w ciemności pustego zaułka, dokąd samym trudnoby było trafić w grubym mroku nocy.

Niektórzy siedzieli już na furach. Szczególniej pierwsza, z budką, była już prawie zapełnioną, obiecując w razie deszczu jakie takie pod swym płóciennym daszkiem schronienie. Parę osób jednak stało jeszcze na ziemi; między niemi dyrektorowa, która ciągle przez nos szeptała z lękiem: »cicho, cicho!« — szarpiąc za rękawy tych, co nieostrożnie głos podnosili w rozmowie.

Gawędzono zaś z szczerem ożywieniem. Podniecała wszystkich ta tajemnicza ucieczka o północy, z zaułka, na który wychodziły same stodoły, pobudowane na tym boku miasteczka, ciche i niewidome budynki bez drzwi i okien,

bezpieczne, jak śpiący ślepiec, świadki odjazdu; o którym nikt nie wiedział, który był tajemnicą, zaprzysiężoną od rana w trupie, niby zamach w gronie spiskowców. Podczas kiedy miasto spało, a na murach żółciły się afisze, zapowiadające na jutro widowisko dla uśpienia czujności wierzycieli, — oni, sprowadzonemi ze wsi furami, opuszczali »dziurę«, w której dochód z przedstawień nie zwracał nawet kosztów muzyki i światła, i w której w ciągu czterech tygodni daremnych oczekiwań na jaką taką kasę zrobili więcej długów, niżeliby mogli teraz zapłacić w razie najlepszego chociby powodzenia.

Już wszyscy byli na miejscu, oprócz Dolewskiej, — ona się zawsze i wszędzie spóźniała — i oprócz samego dyrektora, o którego aktorzy zapytywali raz po raz szarżowanym szeptem naradzających się złodziei, wszyscy w niezwykłym humorze, jakim przejmował ich ten »kawał« wyborny.

Dyrektorowa jednak niepokoiła się tylko o nią, o Dolewską.

— Gotowa zostać!... — zrzędziła — z tą dziewczyną zawsze musi być kram...

— Możeby pójść?... — zapytał z lękiem

zmięszaniem. Nowiński, ośmnastoletni dezerter ze szkół, rumieniący się jak podlotek, zakochany platonicznie w Dolewskiej, która w jego oczach mizdrzyła się do całego świata, przymierający głodem, używany do wszelkich posług, ogołocony już co do kawałka z bielizny i garderoby, jaką wniósł do trupy przed miesiącem, zostawszy aktorem z namowy okpiszów, którzy spijając na jego koszt piwo i kawę, wmawiali weń talent na podstawie jakiejś czułej deklamacyi i przedrzeźniania komicznych ruchów profesora.

Dyrektorowa ofuknęła go opryskliwem:

— Nie potrzeba.

Był ciężarem trupy, nieużytkiem; nie umiał się wyjęzyczyć w najmniejszej rólce, tracąc głowę wobec baranich min prowincyonalnej publiczności, jak gdyby stał w obliczu najsurowszego areopagu w świecie. Suszyła też mężowi głowę nie od dzisiaj, aby się pozbył tego smarkacza, któremu trzeba było dać od czasu do czasu dwie szóstki na życie. Nie powiedziano mu nic o wyjeździe, chciano go zostawić, lecz dowiedział się wypadkowo i teraz od godziny już drażnił ją swym widokiem, bo zjawił się najpierwszy u wozów.

Wtem ukazała się Dolewska, przywiedziona w ten kąt przez Palcząka, odstawiającego do fur towarzyszy, jak lokaj gości do salonu w wielkim domu.

Dyrektorowa poczęła gderać przez nos, długi nos czarownicy z obrazka, wpięty między dwa małe, mysie oczka, tamta zaś odpierała jej wymówki wesoło, z swobodą kobiety młodej i ładnej, która czuje się w trupie potrzebną.

W tejże samej chwili wynurzył się z ciemności gruby, ospowaty, zezujący człowieczek o minie masarza, i szepnął wesoło, kontent z udania się ucieczki:

— Są wszyscy?... No to siadać i jazda.

To rzekłszy, wlazł w furę z budką, za nim żona, podnosząc suknie.

Naraz Dolewska i Kłapczyńska, stara charakterystyczna, grywająca czasem podlotków, znalazłszy się u wejścia do krytego wozu, poczęły się kłócić o jedyne w nim wolne miejsce, które wydało im się honorowem.

Dyrektor, przerażony niebezpieczeństwami zwady w tak stanowczej i ryzykownej chwili, wychylił głowę i starał się je pogodzić, uciszyć. Wreszcie zwrócił się do młodszej błagalnie:

— Dolesiu!... moja złociutka!... jeszcze kto usłyszy... ustąp!... Jeżeli mi pani dobrze życzy!... Dlaczego pani nie ma jechać wygodnie, tylko dusić się tutaj... Nas tu już i tak za wiele. Ja panią proszę, usiądź pani tam... Pani Kłapczyńska miała niedawno febrę...

— Ja także mogę febry dostać.

— Sama w to nie wierzysz, królowo!... Pani się febra nie czepi.

Ponieważ tymczasem Kłapczyńska, obszedłszy konie, wgramoliła się na wóz z drugiej strony, tamta porywczo sięgnęła po swój ręczny koszyczek, i mruknąwszy dla ulżenia irytacyi: »To sobie jedź w budzie, małpo!...« — oddaliła się do drugiej, napełnionej już ludźmi i tłómokami fury, i wsiadła przy pomocy drżących rąk Nowińskiego na tylne, ostatnie siedzenie. Po za niem piętrzyła się góra powiązanych w płótno bagaży, na których chłopak usiadł, jak na garbie wielbłąda, szczęśliwszy niż gdyby tonął w miękkich poduszkach karety.

Z głębi budki dała się słyszeć komenda:

— Wio! — i wozy ruszyły.

»Dyrektor«, walcząc z turkotem, głuszącym słowa, szepnął do żony:

— To ten osioł Nowiński przyszedł przecie?

— Nie wiem, kto mu powiedział, że się jedzie — odrzekła.

— Plaga. Bodaj kark skręcił.

Omawiali przez chwilę pozostawione długi i rozważali zachowanie się wierzycieli, nazajutrz, skoro się dowiedzą o nagłem zniknięciu trupy w ciągu nocy, poczem znużeni wrażeniami i porą spóźnioną, umilkli i posnęli, jak reszta siedzących w budzie, wynajdując sobie w ciasnocie dogodne pozy. Ciemnością i ciszą jechały fury z tętentem kopyt kłusujących koni, z brzękiem żelastwa i turkotem kół po twardej szosie.

Na drugim wozie także wszystko już zasypiało. Dolewska ułożyła się bokiem na stromej pochyłości tłomoków. Jeden Nowiński na swem wzniesieniu, jak na placówce, oplótłszy kolano rękoma, czuwał nad śpiącą przed nim młodą kobietą.

Przed samem zaśnięciem odezwała się do niego z półsennym uśmiechem osoby owładniętej już pieszczotą snu:

— Panie Nowiński! popraw pan trochę to zawiniątko, oprę sobie na niem głowę...

Uczynił, jak żądała, a ponieważ improwizo-

wana poduszka nie chciała się trzymać w żądanej pozycyi, podparł ją swem ramieniem i z rozkoszą patrzył, jak poprawiając głowę, zamknęła oczy, otwarła, uśmiechnęła się, znów zamknęła i szepnąwszy:

— Śpij pan także — prawie zaraz usnęła.

Nie widział nic dokoła siebie.

Czarna noc nowiu, trochę wietrzna i mglista, zamieniła świat w czarną pustynię. Słychać było tylko turkot jazdy, a oczy widziały zaledwie najbliższą część wozu, konie już niknęły w mroku.

Głaskany chłodnym powiewem powietrza, z rozkoszną myślą o tej śpiącej, którą jakby kołysał i tulił, podtrzymując jej głowę, bez kapelusza, wspartą o zwitek sukien, wpatrywał się z lubością w jej włosy gęste, jasne, teraz wydające się ciemnemi, poruszane wiatrem, i w ruchy jej głowy, wstrząsanej drżeniem wozu.

Tak jak w tej chwili przed jego oczyma nie było nic więcej pośród pomroki nocnej oprócz tej śpiącej kobiety, tak i dla duszy jego ona jedna tylko istniała w tej chwili. Nie widząc nikogo prócz niej, doznawał złudzenia, jakby był sam z nią i jakby do niego należała, jakby się powierzyła jego opiece w dalekiej i nie-

bezpiecznej podróży po ciemnym kraju bez słońca i spała, obca wszelkiej trosce, czując jego przy sobie.

Myśli te, w których była cała naiwna egzaltacya świeżej duszy ośmnastoletniego chłopca i cała błogość miłości milczącej, bez określonych i śmiałych pragnień, czerpiącej z samego widoku, z samego wyobrażenia ukochanej, bezbrzeżną rozkosz, wprawiały go w słodkie i jak sen nieuchwytne upojenie. Szczęście jego wydawało mu się zupełnem, kiedy otaczał z nieśmiałą pieszczotą i troską, swoim wzrokiem i czułem uwielbieniem swej duszy mgliste jak widmo zarysy jej postaci, uciszone snem jej usta, tak pięknie zakrojone, i te oczy, o blasku gwiazd, które nakrywała teraz przecudnej piękności powieka, owalna, gładka zasłona delikatnego, różowego ciała. Bezbrzeżnie miłe i dobre uczucie tego zbliżenia, pierwszego w życiu, wśród takich romantycznych i tajemniczych okoliczności, zamieniało się w jednę błogość bez końca, którą się upajał.

Niekiedy nachylał się ku jej twarzy i zaparłszy oddech, aby jej nim nie zbudzić i nie kalać, pieścił się jej oddechem, brzmiącym jak płynąca

z oddali melodya pieśni rusałek i muskającym go nakształt niewidzialnego pocałunku, którym jej dusza, jej myśl, wyszedłszy na chwilę z jej ciała, oblewa mu twarz i czoło. Odurzał się wtedy zapachem jej włosów, który chłonął niby woń kwiatów, i zapachem jej perfum, który pił jakby zapach jej ciała. Wówczas też zdawało mu się, że ustami, zawieszonemi tuż nad jej skronią, dotyka prawie jej lic, że czuje ich miękkość delikatną, i że go łechce jedwab jej włosów, koloru orzechowego drzewa. Potem cofnął się i myślał o zakosztowanej rozkoszy.

Nie czuł wcale potrzeby snu, był w nastroju dziwnej lekkości myśli i ciała. Żadnego znużenia, był tylko rozmarzony trochę.

Zaczął sobie przypominać wszystkie chwile, w jakich ją dotąd widział, zacząwszy od owego wieczora, kiedy po raz pierwszy spojrzenie jej, spojrzenie aktorki w tłum, rzucone ze sceny na gromadny podbój samców, jakby rozsnuło między jego sercem a nią tkankę, splecioną z tego promienia jej oczu i z westchnień, które po tym promieniu posyłał w jej stronę.

Zakochał się w niej w jednej chwili, jak młody, ośmnastoletni chłopiec, który marzy

o miłości, lecz jej nie zna. Zaniedbując książki, kolegów, rodzinę, co wieczór biegł do małomiasteczkowej budy patrzeć na nią, słuchać jej i czekać na jej spojrzenie, przekonany, że otrzyma je zawsze, jedno chociażby.

Potem, kiedy aktorzy wyjeżdżali, po stoczonej ze sobą walce uciekł z domu i pojechał z nimi. Odtąd był przy niej.

Nic jej nie wyznawał, nawet w swych oczach, gdy na niego patrzyła. Nie śmiał jej niczem dać poznać rozkoszy, jaką go jej widok przejmuje, i zupełnego poddania się jej władzy. Ukrywanie swych uczuć było dla niego szczęściem, które oprócz tego tyle, tyle innych zawierało słodyczy. Jej ukłon, słowo każde, podanie ręki, możność wyświadczania jej drobnych usług, jak przysunięcie krzesła lub pomoc przy zdejmowaniu zarzutki, przepełniały go rozkoszą i dumą, które zamieniały się w zazdrość i smutek, jeśli go kto inny ubiedz w tem zdołał.

Posiadał cały szereg wspomnień, w których zdawało mu się, że osiągnął szczyt szczęścia, że ta, którą ubóstwiał, oddawała się w jego ręce.

Raz wypił trochę wody, pozostawionej przez nią w szklance, myśląc z upojeniem o tej kropli,

która jak klejnot stoczyła się z jej ust, kiedy odejmowała od nich naczynie. Pił tę wodę jak nektar najsłodszy. Kiedyindziej kazała mu sobie przypiąć odprótą koronkę na ramieniu, na samym brzegu wyciętej sukni, tuż nad aksamitną okrągłością plec, przy wieczornem oświetleniu tak cudownych; a pewnego razu znów, nie mogąc zapiąć stanika, kazała mu się ścisnąć w pasie. Omdlewał dziś, jak wtedy, na wspomnienie tych rozkoszy. Przypominał sobie szczegóły spektakli, próby, spacery, ze wszystkiego czyniąc w swej wyobraźni tło dla niej, dla jej ukochanej postaci. Przechodził z drobiazgowością młodej pamięci czarowną historyę tych dwóch miesięcy wiosny, w ciągu których poił się szczęściem koleżeńskiego z nią stosunku.

Noc letnia dobiegała tymczasem kresu. Wczesne świtanie dokonywało tego cudu, przez który bezmiar świata odmienia się w oczach z czarnej otchłani w przecudny obraz wszystkiemi barwami kwitnącej ziemi lśniący, pod błękitnym kloszem niebios, które dzień odkrywał, zdawał się stwarzać.

Nowiński, nie zmrużywszy oka ani na chwilę, patrzył, dostrzegał przedmioty, lecz nie mógł ich rozpoznać w szarej pomroce świtania.

Naraz o mało że nie krzyknął z zachwytu na widok przecudnego pejzażu górskiego, który występywał coraz wyraźniej i jaśniej przed jego oczyma, jeszcze szary, mglisty, jeszcze podobny do widziadła, ale już rozeznawalny.

Dwie góry, dwa olbrzymie garby ziemi, pokryte iglastą rzeszą lasów szpilkowych, wznosiły się z obu stron drogi, która jak wąskie, białe pasemko wiła się, ściśnięta ich podnóżem, zda się zagrożona zgnieceniem, jeżeli zechce się poruszyć który z potworów.

Mgły otaczały jeszcze szczyty, ale za nocą, jak szare duchy za duchami czarnemi, ginęły i one niepojętym sposobem, bez śladu, niknąc, rozpływając się w oczach. Wkraczające zwolna, niewiadomo jaką drogą, światło dnia, który zlekka rozjaśniał niebo od wschodu, zapełniało świat coraz nowymi przedmiotami, przywracając im ukradzioną przez noc barwę i postać. Widma nabierały ciała, określonych form, dalekie opary zamieniały się w zębate zręby gór, z których dwie najbliższe, ciężkie, olbrzymie, ciemnozielone masy sterczały ku szaroniebieskawemu sklepieniu tępemi szczytami.

Cisza jeszcze była. Drzewa zdawały się zmo-

rzone zimnem i śpiące. Tu i owdzie zakwiliło coś podobnego do szczebiotu zbudzonej ptaszyny, napół niewyraźnie, ledwie dosłyszalnie. Potem głośniej odzywał się świergot, jeden, krótki, słaby, jak gdyby w okolicy gnieździło się jedno tylko ptaszę. Nareszcie przefruwać zaczęły nisko nad ziemią szare plamki z furkotem skrzydeł, bijących w powietrze, i głosów, coraz śmielszych, przybywało, nawoływały się, łączyły, tworząc prześliczną muzykę przebudzenia ptaków, po cichem, milczącem, przebudzeniu drzew, które przemawiało tylko do oczu.

Wschód jaśniał!.. jaśniał!!...

Z mętnie rudego stawał się różowym jak kwiat, mienił się bladym fioletem i rzucał na zawieszone wyżej, od puchu lżejsze obłoki, odblask łagodnej purpury. Potem różowa barwa nieba w tem miejscu, delikatna i miła jak cera młodej dziewczyny, na której licach sen pozapalał rumieńce, zamieniła się w różowy blask, a do jaśniejszego żaru mięszało się coraz więcej złota.

Naraz ukazał się z po za strzępiastych świerków jak szczery płomień gorejący brzeżek złotopomarańczowej, ognistej, krągłej tarczy, która

wznosiła się wyżej i wyżej, jaśniejąc blaskiem coraz świetniejszym, coraz bielsza, coraz bardziej rażąca oczy, a po świecie rozlewała się łagodna jeszcze jasność dnia, przenikająca bezmiar radością i ciepłem, i rozniecająca iskierki w drobnych kropelkach rosy, które zaświeciwszy, gasły, znikały, jakby spłonęły.

Wędrowcy zaczęli się budzić w obu wozach, toczących się noga za nogą pod górę siłą całonocnej pracy szkap.

Podnosili się, prostowali, wyciągali ramiona i ziewając, przecierali oczy.

— Ach! co za cudna okolica!... — wołano, mrużąc oczy przed słońcem, które oświeciło znużone, sterane twarze i nędzną odzież wędrownych komedyantów.

I płytkie, banalne zdumienie ogarniało wszystkich, gdy się ujrzeli w tym czarownym wąwozie u stóp dwu stoków, rozwartym na mil kilka, zaludnionym drzewami, owianym świeżością rannego powietrza i uśmiechniętym w pogodzie cudnego dnia, coraz jaśniejszej, cieplejszej.

— Panie Nowiński! czy pan widzisz? — zawołała Dolewska z udanym zachwytem.

Półnieprzytomny, patrzył innym wzrokiem niż

oni, po nocy bezsennej, na ten przedziwny krajobraz, który ich wypoczęte oczy ogarniały jak rzeczywistość a który jemu wydawał się tem więcej snem, im bardziej światłość dnia raziła jego żrenice.

— Widzę — odpowiedział na jej pytanie, patrząc i na nią, na jej różową twarz i oczy, większego niż kiedykolwiek blasku, świeżo po przebudzeniu, jak na sen, jak na fantasmagorję, mglisto przypominającą znajomą rzeczywistość.

Wtem spostrzegła jego ramię, którem od północy, od tylu godzin, podpierał jej głowę.

— Ależ pan wcale nie spałeś!... Jak pan wyglądasz!...

— Było mi tak dobrze... — szepnął bez zwykłego rumieńca, tak był odurzony.

Wpatrzyła się weń żywo, z lekkim uśmiechem kobiety zadowolonej uwielbieniem, jakie wzbudza. Potem wychyliła się w bok z wozu i zawołała podniesionym głosem w kierunku toczącej się przed nimi budki:

— Dyrektorze?!

— A co? — zaskrzeczał głos stłumiony.

— Pomyślałeś chociaż dyrektor o naszem śniadaniu?!...

— Ho! ho!... Od wczoraj! Inaczej nie potrafiłbym przecie oka zmrużyć.

Śmiech ogólny odpowiedział na to bezczelne kłamstwo, w którem był cynizm starego prowincyonalnego wyjadacza i uprzejmość człowieka, co się smacznie wyspał.

— Widzicie wy tę karczemkę? — odezwał się znowu głos »dyrektora«.

— Widzimy! widzimy! — odparli radośnym chórem i posłali w kierunku czarnego dachu karczmy powitalne spojrzenia głodu dwunastu czczych żołądków.

W kilka minut wozy, jak opuszczone gniazda, pełne zmierzwionej słomy, stały przed dwoma stopniami wchodowych drzwi karczmy, a zgłodniali aktorzy rozpytywali karczmarkę o zapasy prowiantów, zaglądając równocześnie na półki i do szaf. Dysponowano jajecznicę, herbatę, wódkę, chleb, ser, masło. Dolewska, pieszcząca się przed lusterkiem z ranną świeżością swej twarzy, pierwej niż inni zażądała dla siebie do alkowy wody i mydła, a równocześnie opowiadała z śmiechem:

— Wyobraźcie sobie, ten dzieciak Nowiński wcale nie spał, tylko podtrzymywał jakiś pa-

kunek, na którym miałam wspartą głowę. Czy on nie szaleje, ten malec!

Sycenie głodu, zaprzątające wszystkich, pozbawiło efektu opowiadania kokietki, chełpiącej się ciągłemi tryumfy.

Ale dyrektor pochwycił je.

Obejrzał się za Nowińskim. Nie było go w szynkownej izbie. Żując chleb i wędzonkę, które trzymał w obu rękach, wyszedł »dyrektor« do sieni. Nowiński siedział na wysokim progu, zgarbiony, ze zwieszoną głową, z twarzą wybladłą, i spał.

Wstrząsnął go za ramię.

— Nowiński! waryacie! wstawaj!

Z nagłem westchnieniem zerwał się chłopak, szeroko otwierając oczy.

Dyrektor, nie przestając jeść, pociągnął go w głąb sieni, gdzie przeświecała szpara drzwi, rozwartych na tyły domu.

— Chodź — szepnął.

Na progu stanął i rozglądał się po tylnym dziedzińcu, trzymając go za rękę.

Ludzi nie było widać na podwórzu. W głębi za karczmą wznosiły się cztery pale, wysoko uwieńczone daszkiem, na dole było siana na

wysokość człowieka. Poprowadził zaspanego chłopca w tę stronę, strofując go:

— Jakże to można nie spać całą noc, waryacie jeden. To niezdrowo... Patrzaj pan, tu masz doskonałe miejsce, pomogę panu wydrapać się... My tu popasamy, możesz odpocząć z godzinkę...

Nowiński wzbraniał się jeszcze, lecz przymuszony, wlazł, tamten zaś odszedł.

Na progu karczmy obejrzał się na stertę, ponad którą zaledwie trochę można było dostrzedz ciemny rąbek surduta. Ciężar zagłębił śpiącego w sianie.

Wtedy, tłumiąc gwałtowną ochotę do śmiechu, powrócił pękaty człowieczek co żywo do swych ludzi, wołając, aby się spieszyli.

Wszyscy zdwoili wielkość kęsków, kobiety większemi haustami kończyły mleko. On sam jadł najłapczywiej, rzucając w stronę żony iskrzące wesołością spojrzenia, zdające się mówić:

— Gdybyś wiedziała co za kawał?!...

* * *

Wywczas i gorąco zbudziły Nowińskiego. Otwarł oczy, przeciągnął się w sianie i ze

zdziwieniem spojrzał nad siebie, na daszek wsparty na czterech palach, i słońce, które skwarzyło się w pobliżu zenitu, oblewając go upałem.

Przypomniawszy sobie, skąd się tu wziął, zeskoczył żwawo i pobiegł do karczmy.

Nie znalazł jednak nikogo z swoich w obu izbach. Żydówka w dziwacznych perkalikach, z głową owiązaną w żółtą chustkę, z powodu braku włosów dziwnie małą, wodziła za nim oczyma.

— Gdzie ci państwo? — zapytał.

— Jakie państwo?

— Z którymi przyjechałem.

— To pan z niemi przyjechał?... Żeby ich szlag... Ukradli mi kiełbasę... Dlatego się tak spieszyli... Oni już dawno odjechali. Jeszcze rano.

A widząc zdumienie na jego twarzy, mówiła dalej:

— Jak tylko zjedli, zaraz wsiedli i pojechali. Nie wiem, czy popasali wszystkiego kwadrans. I zaraz także kiełbasa się podziała... Cały funt...

Słuchał w milczeniu, zdumiony, jednem tylko zajęty, nie mogąc uwierzyć...

Jakto!!.. Pojechała?!... Oddaliła się?!... Nie ma jej?!...

To być nie może.

Wybiegł przed dom i spojrzał w pustą przestrzeń drogi, zwężającej się i ginącej w zakrętach, jak gdyby miał nadzieję dostrzedz jeszcze w oddali tę, którą kochał, usłyszeć echo kół, które ją uwoziły, zwietrzyć, jak pies, jej zapach...

Nic nie zobaczył.

I naraz otwarła się przed nim straszna próżnia, bez radości, bez śmiechu, bez żadnej racyi do życia, skoro jej nie było przy nim.

Owładnął go ból i rozpacz, uczuł się tak nieszczęśliwym i bezsilnym, że aż bliskim płaczu....

Lecz... czy wiedziała, jaki mu cios wymierza?... Chyba go porzucono bez jej wiedzy...

Tak, na pewne, musiała o tem nie wiedzieć.

Wrócił co żywo do karczmy.

— Daleko najbliższe miasteczko?...

— Trzy mile gościńcem, a na ścieżki, to...

Wybiegł, nie czekając końca słów, dalszego ciągu lamentów za kiełbasą, gnany niezwalczonem pragnieniem.

Oni jechali, on szedł — nim ich doścignie!...



Siasia.

Siasia była boną, boną niezwykle ładną.

Ładne bony nie są rzadkością, należy oddać im tę sprawiedliwość, choć z drugiej strony jest to nie tyle ich zasługą, ile ich państwa, ludzie bowiem, których stać na trzymanie bon, dobierają w tym celu ładne dziewczęta tak samo, jak dobierają ładne konie do powozu.

Siasia jednak była szczególnie ładna.

Nazywałem ją »czerwonym dyabłem«, z powodu jej rudych, falistych włosów niezwykłej bujności, obok których posiadała śliczne czarne oczy, cerę nieprawdopodobnie białą, smukłą figurkę i szybkie, zwinne ruchy łasicy a w całej postaci pewien figlarny wyraz wabienia i wymykania się, który sprawiał, że najospalszemu zachciewało się ją ścigać.

Nie twierdzę jednak bynajmniej, by piękność

jej była bez zarzutu, przeciwnie. Lecz nawet plamki podnosiły jej urok.

Miała na przykład jednę rzecz brzydką, z którą jej było dziwnie do twarzy: mały, maleńki zezik, tak niepochwytny, że prawie pozorny, że zaledwie dostrzeżony już znikał i wydawał się złudzeniem... Osobliwy wabik kobiecych oczu, napół zalotny, napół bezwiedny, przykuwający do siebie uwagę, droczący się z oczyma, w nią utkwionemi, i łechcący zmysły, jak pewne dyssonanse w muzyce...

Nakoniec miała... dwóch malców, którzy chodzili na spacery z obu jej stron, gdy ja postępowałem z tyłu, oraz starą, chorą ciotkę, wdowę po listonoszu, nie ruszającą się z krzesła w małem mieszkanku na odległem przedmieściu. Odwiedzała ją co niedzielę, naprzemian popołudniu, to znów wieczorem.

Pociągnięty czarem jej włosów, buchających jak ogień z jej białej, toczonej szyi i zdających się krzyczeć, wołać do niej swą barwą pałającą, zawiązałem z nią wkrótce znajomość i wtajemniczony w sposób, w jaki przepędza wolne godziny swych niedziel, począłem ją przekonywać,

że powinna przynajmniej wieczory oddawać mnie, popołudnia wystarczą ciotce zupełnie.

Nie chciała słyszeć o tem — a raczej chętnie słuchała podobnych propozycyj, lecz w żaden sposób nie można jej było nakłonić do ich przyjęcia.

Raz jednak zrobiła wyjątek, poświęciła mi na parę godzin ciotkę i odtąd Urban, mój przyjaciel i współlokator, miał wymówione, że w niedziele i święta użytkuję z mieszkania sam jeden, o co się wściekał.

Ale cóż, — pewnej niedzieli Siasia, zabawiwszy u mnie zbyt długo, zjawiła się w pół godziny po odejściu łzami oblana, w ostatniej rozpaczy. Wyszpiegowano powody jej spóźnienia i oddalono ją, z miejsca, brutalnie.

Tego wieczora Urban zastał drzwi na klucz, z wewnątrz, zamknięte później niż zwykle, a gdy mu oświadczyłem, że się nie otworzą wcale, powiedział mi parę grubych impertynencyj i poszedł, klnąc, szukać noclegu w mieście.

Do późnej nocy musiałem walczyć z ciężkimi zgryzotami Siasi. Nazajutrz rozpoczęło się to samo od rana, kiedym zbudziwszy się, zobaczył ją ubraną, gotową do wyjścia.

— Dokąd? — zapytałem.

— Do cioci.

— A to po co?

— Gdzież pójdę!

Gdzie?... Nigdzie. Po co ma się gdziekolwiek udawać, czemu ma mnie opuszczać? Czyż nie jest, nie może jej być u mnie równie dobrze przez całe dnie i tygodnie, jak dotąd bywało w niedzielne wieczory?...

Dała się przekonać i została, zgadzając się przyjąć rolę mej żonki, mojej towarzyszki i gosposi, i nie rozstawać się ze mną odtąd ani na chwilę. Wyjątkowo, z powodu spodziewanego przybycia Urbana, oddaliła się do kościoła, ja zaś czekałem na niego z oświadczeniem, aby się ulokował gdzieindziej, ponieważ u mnie zamieszka kobieta.

— Kobieta? tu? czyś zwaryował?!... — wybuchnął.

Zaczął mi wymyślać od rozpustników, zarzucając, że zamiast się uczyć, trwonię pieniądze, narażam opinię, gotuję przedwczesną śmierć rodzicom, sobie...

Ostatnia uwaga drasnęła mnie.

— Zazdrość przez ciebie mówi — rzekłem.

— Zazdrość?!... ha! ha! ha!

Zapewnił mnie, że nie zwróci na moją towarzyszkę uwagi — choćbym go o to prosił. Dał mi na to słowo.

Dałem mu je nawzajem, że o nic podobnego nigdy prosić go nie będę — poczem, gdy wyszedł, zakląłem Siasię, aby dla »tego człowieka« była zimną jak głaz.

Zarzuciwszy mi ręce na szyję — i ona... dała słowo. Urban się wyprowadził, a my zostaliśmy we dwoje.

Tegoż dnia kobieta rozpostarła w mym kawalerskim pokoju swe panowanie, będące mięszaniną pieszczot, sprzeczek, nieładu i wydatków... osobliwie wydatków.

Nie mogę się jednak uskarżać na mego lokatora. Czynsz, opłacany przez Siasię, był bajecznie wysoki. Były to te bogactwa miłości, jakie tylko porwana swym pierwszym upadkiem, a urodzona do wielu, istota ofiarować może; pocałunki nie mające końca, jak żar gorące, wszczynane każdem jej spojrzeniem, ruchem, pozą, minką, które wszystkie pociągały do niej i oddawały ją, nie pozwalając ani na chwilę zapomnieć, że jest kobietą i kochanką.

Prócz tego robiła mi krawaty. Było to jedyne jej zajęcie. Skupywała zewsząd skrawki jedwabiu i zasypywała mnie krawatami wszelkich barw i fasonów, na wszystkie pory roku, na całe życie, któremi sama szczególniej się zachwycała, przymierzając mi je co chwilę. Nie nosiłem ich jednak, bo były, ogółem biorąc, za jaskrawe.

Za to zacząłem pisywać do rodziców trzy razy częściej, potrzebując teraz trzy razy więcej pieniędzy, i tak upływał nam czas.

Co rano znajdywałem na wspólnym grzebieniu kłąb złotych włosów Siasi, które błąkały się zresztą wszędzie: po sprzętach, talerzach, książkach i na mem ubraniu. Znajomi na ulicy, uśmiechając się, zdejmowali mi z rękawa lub poły tę jasną, delikatną przędzę, te nitki najcudowniejszego jedwabiu. A kiedy odrzucałem je, na wiatr, wracały do mnie i czepiały się napowrót mych sukni, mej twarzy, lub wciskały mi się w usta, jak niepozbyte więzy, przykuwające mnie do ślicznego i namiętnego ciała, z którego pochodziły. Co wieczór zaś miałem przed sobą tych włosów całą powódź i całowałem je, bio-

rąc je za łunę, która otacza zgrabną i ruchliwą główkę pełnej ognia dziewczyny.

O! bo ognistem było nad wyraz to śliczne, smukłe, gibkie i wyuzdane zwierzątko, które raz uciekało, wymykało się, kryło, doprowadzając potrzebę pocałunków do bólu — to znowu nacierało, napadało, narzucało się z niepohamowaną do okrucieństwa gwałtownością, wydzierając niemal, rabując pieszczotę, gdy kiedyindziej zdawało się w niej topnieć rozmarzone i miękkie jak widmo senne... Podziwiałem doprawdy bogactwo jej form kochania i myślałem nieraz, że musiała być dzieckiem mistrzów miłości!...

A przecież... przyszedł ten moment... że podziw mój znikł, przestał mnie zapalać, że ta, dla której żyłem przez cały szereg dni i nocy, stała się dla mnie nieznośną, nieznośną od stóp do głowy! ze wszystkiem, co dawniej budziło mój zachwyt,— chociaż była tą samą, co przed paru miesiącami prześliczną dziewczyną, a nawet piękniejszą. Jej czarne oczy, dawniej trochę głupiutkie, były teraz naprawdę oczyma dyabła, który przybrał kuszącą postać kobiety. Jej niezrównane kształty wydoskonaliły się, wykończyły. Jej usta, te małe, wiśniowe klejnociki kobiecej twarzy, boskie źró-

dla miłosnej pieszczoty i szeptu, w których mieszkał prawdziwy geniusz pocałunku, te usta dawniej nieśmiałe i bierne, zamieniły się w wulkan, ciągłym żarem ziejący, i miały chwile natchnień cudownych i cudotwórczych!...

Lecz dla mnie minęła już nawet pora cudów wobec ponęt Siasi....

Były one dziś dla mnie tem, czem jest widok najwspanialszej uczty dla człowieka, który co tylko, syty, wstał od obiadu. Mój obiad nakarmiłby dziesięciu, dwudziestu!!... — ja go spożyłem sam jeden.

Po prostu sprzykrzyła mi się, bo znałem ją na wskróś. Zaczęła mnie drażnić swym widokiem, wspomnieniem, zaczęła mi zawadzać, zacząłem myśleć, jakby się od niej uwolnić.

Był ktoś, co chętnie by mi w tem dopomógł: Urban, pożerający ją oczyma, widziany przez nią chętnie, pożerany niekiedy nawzajem jej wzrokiem. Zacząłem na niego liczyć i na nią także. Udając ślepego, ufnego, dawałem im mnóstwo okazyj i czekałem, rychło mnie zdradzą.

Daremnie!...

To, do czego ludzie gotowi są zawsze, gdy się ich o to nie prosi — nie pojawiało się teraz,

ponieważ było przezemnie gorąco upragnionem. Trzymali się jak mur, ani im w głowie była zdrada, choć tak widoczną mieli do niej ochotę.

Czyżby ich krępowało dane słowo? Niepodobna. Zakochani nie robią sobie skrupułów z powodu takiej drobnostki. Zresztą zwolniłem ich już dawno w duchu z ich zobowiązań, a nie mogłem przecież powtarzać im tego na głos, w oczy, tembardziej, że... no, że i ja także dałem słowo.

Położenie stawało się nieznośnem. Zacząłem uciekać z domu już nie dlatego, aby ich sobie rzucić w objęcia, lecz by ich nie słyszeć, nie widzieć, aby być od nich zdala.

Pewien ranek — pamiętam — przyniósł odwilż i deszcz. Na wszystkie strony słychać było szelest spadających kropli, które zciekały z dachów, rynien, sztachet, gałęzi, zaplugawiały ziemię strugami grzązkiego błota i płynęły w brudnych, wijących się strumykach do kanałów, jak płynne robaki, umykające przed okiem ludzkiem w popłochu, aby się ukryć pod ziemię.

Obrzydły dzień. W knajpach niepodobna było wytrzymać, tak było pełno i duszno, na ulicy



człowiek nasiąkał wilgocią jak gąbka, w domu zaś...

Nie! żyć tak dłużej niepodobna, trzeba się oswobodzić w jakibądź sposób — pomyślałem. I zamiast zdobywać wolność w małych dawkach, przez uciekanie z domu, postanowiłem zdobyć jednym zamachem wolność całą: uciec z miasta.

Tegoż samego dnia, nic nie mówiąc, wyjechałem do rodziców, zostawiając za sobą Siasię, Urbana i wszystkie sprawy nas trojga, które znikały z roku na rok z mych myśli i z mojej pamięci, wyjąwszy wyrzut sumienia, że w sposób tak niedelikatny zerwałem z dziewczyną kochającą mnie i wierną.

Naraz — po latach ośmiu, spotykam kobietę o przepysznych rudych włosach, która się do mnie uśmiecha, a ja... nie śmiem jej nazwać Siasią, bo z niej mało co więcej zostało nad kolor i bujność włosów...

Jakżeż ją miałem poznać!... Utyła! Otyłość robi cuda. Z szczupłej, wiotkiej, delikatnie zbudowanej jak filigranowe cacka dziewczyny, zrobiła się tłusta piękność haremu. Dawniej tak lekka, dziś miała wszystkiego za dwie, wdzięk linii i ruchów zniknął, zastąpiła go obfitość masy

i pewna ociężałość, które mniej działały na imaginacyę, ale zdawały się budzić żądze dwa razy cieleśniejsze.

Z trudnością zdołałem dawną Siasię o cienkiej nóżce, dyskretnym biuście i figurce smukłej jak tułów charta, odnaleźć w tej wspaniałej kobiecie, której ramię rozsadzało rękawek, biust wyrywał się z nieprawdopodobną siłą naprzód a uda zdradzały swą bujność za każdym krokiem. Nie mogłem uwierzyć, że to ona — lecz uśmiechała się, a ja poznałem, odkopałem za śladem tego uśmiechu dawny jej buziak pod pokładami tłuszczu, obrastającemi obecnie jej policzki, a w sobie, pod pyłem przeżytych lat, odkopałem jakieś przerwane, niedokończone drgnienie serca ku mej dawnej towarzyszce, która wydała mi się ponętną jak nieznajoma, w swej nowej postaci.

Wśród radośnych okrzyków i pytań niespodziewanych spotkań, usłyszałem naraz:

— Ożeniłeś się?

— Nie.

— Prawda, z twoim majątkiem.

— A ty, wyszłaś za mąż?...

— Rozumie się.

— Prawda, z twoją urodą. I za kogo?

— Za Urbana.

— Za Ur-ba-na?... Za którego Urbana?

Co za naiwne pytanie!... Za któregożby! Za tego, którego wyrzuciłem był z mego pokoju, aby w nim zrobić miejsce dla niej na parę miesięcy, a który wyrzucił mnie następnie z jej serca i zamieszkał w niem na zawsze.

Przyznam się, że mnie ten odwet bawił, ale i drasnął troszeczkę. Gdy człowiek abdykuje, chciałby, aby tron po nim pozostał opróżnionym na zawsze. Nie lubimy widzieć się zastąpionymi.

— A przecież trzymałaś go od siebie tak zdaleka, pamiętasz? za owych czasów... Przynajmniej tak mi się wtenczas zdawało — przypomniałem jej dla satysfakcyi mej miłości własnej.

— Nie myliłeś się wcale. Powiem ci w sekrecie... (i tak musiałeś się już tego domyśleć), że robiłam to dlatego, ponieważ chciałam, aby się ze mną ożenił.

I zachichotała zalotnie...

Odkrycie.

— Co się tutaj dzieje?! — zawołała ciotka Patyczkowa, wpadając z całym impetem swej otyłości do małej, parterowej izbiny od podwórza, z której w bramie już doleciały ją wysoce niepokojące hałasy i sprawiły, że o mało nie przewróciwszy się w ciemnościach na szczerbie bruku pod studnią, była teraz zasapana, przestraszona i gniewna.

W tej samej chwili Zosia, w podartym kaftaniku, rozczochrana, zlana łzami i dysząca ze zmęczenia, bólu, trwogi i żałości, rzuciła się w stronę przybyłej i schowała po za jej olbrzymi, szeroko rozrośnięty korpus, okryty wzorzystym tureckim szalem. Powracała w nim z nieszporów, pełna świątecznej powagi i nabożeństwa w ten dzień wolny od handlu tasiemkami i nićmi, z którego się utrzymywała, osładzając sobie ży-

cie doczesne gorącemi napojami i zasługując na wieczne modlitwą.

W ślad za Zosią poskoczył z wzniesionemi do góry pięściami Łopatkiewicz. Twarz jego wyrażała najwyższą wściekłość, kołnierzyk był rozerwany a krawatka skręciła się w bok na nagiej szyi.

W rozpędzie skoku wszakże padłszy w objęcia ciotki Patyczkowej, został w nich, przytrzymany oburącz przez silnie zbudowaną kobietę.

— Puść mnie ciotka! puść mnie!! — począł krzyczeć wśród szamotania dygocącym głosem gniewu. — Ja ją zabiję!... Ja ją...

Równocześnie ciotka przestraszona szepleniła, jak gdyby miała usta pełne klusek:

— Upamiętaj się! Ludwiś!... Co ci do głowy przychodzi?!... — i Zosia za jej plecyma zawodziła w niebogłosy:

— O matko boska!... matko boska święta!..— co wszystko razem utworzyło piekielny, nie dający się rozwikłać harmider gróźb, skarg, zapytań i perswazyj.

Tymczasem ciotka, przez tę pół minuty, kiedy trzymała Łopatkiewicza w uścisku, paru spojrzeniami po rozrzuconych i poprzewracanych

sprzętach przekonała się, że w małem i cichem mieszkanku nowożeńców, które powinnoby rozbrzmiewać miłosnym szczebiotem, śmiechem szczęścia i pocałunkami, stoczoną została przed chwilą zażarta bójka między młodym mężem a żoną, między Łapatkiewiczem, fryzyerem, za którego trzy dni temu wydała siostrzenicę, a Zosią.

Więc oburzona i zgorszona odezwała się do Łopatkiewicza, szeroko otwierając pozbawioną zębów, ale posiadającą język rzadkiej siły, paszczę:

— W imię ojca i syna!... Czego ty od niej chcesz, człowieku?!...

— Nie chcę takiej żony, co się łajdaczyła z innymi!... — wrzasnął wściekle.

Szeroka, wielka, obramiona wielkiemi kokardami niedzielnego czepca twarz ciotki, na której sterczał pośrodku nieco różowawy i mocno zatabaczony nos o olbrzymich, rozdętych gniewem nozdrzach, przypominających zakopcone okapy wiejskich pieców — oblokła się zdumieniem.

— Ludwik!... Co ty pleciesz?!... — zawołała tonem podniosłej perswazyi, równocześnie rzucając w tył, po za swe plecy, gderliwie:

— Cicho-że bądź! — ku Zosi, która drażniła ją swym płaczem.

Łopatkiewicz, zajęty poprawianiem kołnierzyka na szyi, którego jeden koniec, sterczący w powietrzu, pchał mu się do nosa i żenował go ustawicznie — odrzekł z mocą przekonania i grozą:

— Ja wiem, co mówię! wiem dobrze!!

I skoczywszy ku komodzie, porwał z niej atłasowy zwitek i podstawił pod sam nos ciotki błękitną, jedwabną, okrytą kosztownemi haftami i nowiutką sznurówkę, zbytkowny gorset, jakiego używać może tylko bogata dama lub kokota.

— Skąd ona to ma?!... — zawołał z obrzmiałemi na czole żyłami, wpijając w ciotkę wysadzone pasyą oczy. — Skąd?!... Powiedzieć ciotce?!...

I wytrzymawszy tem pytaniem starą, która trochę zmięszana, połową myśli starała się przeniknąć, ile mąż Zosi wie z spraw, o jakie zapytuje, a drugą połową daremnie szukała wykrętu, — wybuchnął syczącym jak żar, gdy nań woda bryzgnie, głosem, któremu towarzyszyło spojrzenie jak nóż ostre:

— Ciotka dobrze wiesz o tem! Wyście mnie ładnie urządziły, szelmy!...

I z pasyą rzucił w jej stronę zwiniętą sznurówkę; stara, chcąc uniknąć razu, usunęła w bok głowę, lecz trafiona w sam nos, kichnęła z hukiem moździerzowej salwy całą siłą potężnych płuc i nosa, wzmacniającego dźwięki jak tuba kapitana okrętu.

Dotknięta obelgą i ciosem Patyczkowa, zadarła głowę w górę, zuchowato, sposobem wypróbowanym przy kłótniach w kramie i zawoławszy wyzywająco:

— A to co znowu ?! — próbowała się stawiać.

Ale Łopatkiewicz zbił ją natychmiast z tropu. Wiedział on wszystko. Wczoraj jeszcze zobaczył tę kosztowną sznurówkę u Zosi i przypomniał sobie, że taką samą pewnej niedzieli na parę tygodni przed ślubem zastał leżącą na szezlongu u prezesa, którego zrana przyszedł ogolić i który nie wpuścił go natychmiast do swego gabinetu, jak gdyby wpierw chciał kogoś do dalszych pokoi mieszkania wyprawić.

W pierwszej chwili nie dał wczoraj po sobie poznać strasznego podejrzenia, jakie w nim widok tej sznurówki wzbudził. Dusił je w sobie,

z męką, cały dzień. Ale dziś, korzystając z wolnego popołudnia, wziął na poczęstunek służącego prezesa i dowiedział się o wszystkiem: kto była właścicielka sznurówki, jak dawno znała jego pana i jak często spędzała u niego czas z soboty na niedzielę, elektryzując starego rozpustnika zbytkownym negliżem, w który sam zaopatrywał swe przyjaciółki, ponieważ lubił elegancyę we wszystkiem. Służący zażądał tylko, aby mu powiedzieć kolor sznurówki. Niebieska?... Niebieską miała Zosia, jako blondynka; inne miały odmienne barwy — odpowiednio do swej maści... O! stary zbrodniarz!...

Opowiadanie to, drgające prawdą nagromadzonych szczegółów, wykluczało wszelkie tłómaczenia. Ponieważ przez ten czas pięści Łopatkiewicza wypoczęły, a wściekłość, podsycona obrazami, które kreślił, wzrosła, — więc porwał się na nowo ku Zosi, powtarzając nieustannie ochrypłym z krzyku głosem:

— Ja ją zabiję!... za-bi-ję!!...

Młoda kobieta poczęła uciekać, on ją ścigał, ciotka zagradzała mu do niej drogę, jak mogła, zupełnie niby w zabawie w kotka i myszkę, ale z nastrojem tragicznym.

Nakoniec Patyczkowa zdobyła się na energię. Burknąwszy na beczącą piskliwie Zosię:

— Będziesz ty raz cicho, czy nie?!... — w wojowniczej pozie osoby gotowej do walki stawiła Łopatkiewiczowi przed oczy swój nos, krwią nabiegły i zagroziła mu:

— Ludwik! Jak jej nie dasz spokoju w ten moment, otworzę drzwi na dwór i będę krzyczeć!...

Potem kichnęła, a zanim zdobył się na odpowiedź, dodała bardziej pokojowo, aby nie zaostrzać sprawy, chociaż z wyrzutem:

— Jak to można krzywdzić tak kobietę! i to na trzeci dzień po ślubie!... Któż to to widział?!... Miejże wstyd Ludwik...

— Więc ciotka myślisz, że ja jej daruję to, co robiła?!...

Ciotka położyła mu rękę na ramieniu, kichnęła raz jeszcze i rzekła z rozbrajającą słodyczą:

— Posłuchaj mnie Ludwisiu.

Poczęła doń przemawiać pełnym rozsądku i taktu tonem osoby, która zna życie, świadomą jest ludzkich słabości, wie z doświadczenia, że kto chce być szczęśliwym, na wiele, wiele rzeczy

przez palce patrzeć musi. Wywodem w takim duchu poczęła mądrość życiową przelewać w męża swej siostrzenicy, przedkładając mu po macierzyńsku, przyjaźnie, z przekonywającą praktycznością argumentacyi to wszystko, co mogło przemówić na korzyść Zosi — i zciszając głos przytem, by młodej kobiety nie rumienić.

A więc:

Co tam kiedyś robiła — to robiła, ale teraz już nie robi i więcej robić nie będzie, bo i po co? skoro ma męża obecnie. Przytem: czy to ona jedna postępowała w ten sposób?... Gdy odwiedzała prezesa, nie była przecież jeszcze żoną Łopatkiewicza i nie wiedziała, czy nią będzie. Co było przed ślubem, o to ani ona do niego, ani on do niej pretensyi mieć nie może, zwłaszcza zaś on do niej. Dziewczyna jest istotą słabą, a życie ciężkie. Z tego, co zarabia w fabryce cygar, wystarczyć było trudno, prezes zaś, człowiek dobry, choć lampart, dużo dla niej robił... bardzo dużo...

— Zresztą, żebyś ty wiedział, moje dziecko, z jakimi się nieraz ludzie żenią i są kontentne... Ona przy tamtych jeszcze święta!... Ona tylko tego jednego miała, żebym się tak nie ruszyła

z tego miejsca, a inne... Ja ci to wkiedy opowiem. Więc ty się o Zosię nie bój Ludwiczku. Ona nie jest zła, o! nie. Ona cię, musisz wiedzieć, kocha, a jak Zośka kogo raz pokocha!... Ja ją, widzisz, wychowałam tak, żebyś takiej drugiej nie znalazł prędko, wierz mi...

Łopatkiewicz słuchał z hamowaną niecierpliwością. Liczył na to, że mu ciotka sama podda okazyę do wybuchu.

Nakoniec w chwili, kiedy myślała, że jest już całkiem przekonany, rozpoczął swoje od początku.

On nie daruje hańby, jaka go spotkała. W oczy by sobie dał napluć pierwszemu lepszemu, gdyby darował. To się tak nie skończy! On je nauczy!

— Wy mnie jeszcze nie znacie, juchy jedne!

Poruszył się groźnie z miejsca, a Zosia, siedząca cicho, z zasłoniętemi oczyma, w najodleglejszym kącie, załkała z przerażenia, że awantura rozpocznie się na nowo.

Lecz ciotka tupnęła na nią gniewnie.

— Cicho Zośka, bo mnię już ostatnie złości biorą, jak Boga kocham!

Postanowiła zagrożone pożycie młodej pary naprawić radykalnie.

— Ale bo widzisz... — zwróciła się łagodnie do Łopatkiewicza. — Jest tutaj jeszcze jedna sprawa...

Uderzony naciskiem, z jakim wyrzekła te słowa, nastawił uszu, ona zaś kończyła:

— Zosia ma od niego pięćset reńskich, złożone w kasie oszczędności...

Pięćset reńskich?!... — Fryzyera przebiegł dreszcz.

Ciotka tymczasem zleciła Zosi:

— Pokażno książeczkę.

Zosia poczęła się kręcić pomiędzy sprzęty i szepnęła:

— Nie mogę znaleźć klucza.

Łopatkiewicz zacisnął zęby. Klucz leżał na oknie, widział go z swego miejsca, potrzebował dwa kroki postąpić, by go dosięgnąć, świerzbiał go język, aby zawołać:

— Oślepłaś? nie widzisz, że leży na oknie!

Lecz natężeniem wszystkich sił powstrzymał się, wściekając się równocześnie w duchu, że go zmuszają do tej walki.

Zośka spostrzegła klucz nareszcie i obszedłszy

męża naokoło, na dalsze drogi, otwarła górną szufladę komody po za plecyma Ludwika.

Łopatkiewicz o mało ze skóry nie wyskoczył, posyłając wszystkie swe myśli na spotkanie książeczki, którą Zosia, z komody wyjąwszy, podała ciotce, a ciotka jemu w rękę wetknęła. Nie mógł się przezwyciężyć, otworzył kajecik, pokryty kolorowym drukiem i z biciem serca odczytał wzrokiem po kilka razy cyfrę złożonych pieniędzy a przez palce wsiąkało i płynęło mu w głąb ciała, w samą głąb duszy strumieniem błogie ciepło, zdające się bić od książeczki.

Ciotka szepnęła:

— Mógłbyś za to interes założyć na siebie...

Zachował tyle przytomności, aby udać, że nie słyszy jej słów. Odezwał się do Zosi ze wzgardą:

— Gdzieś ty wstyd miała sprzedawać się za pieniądze!...

Poczem, grożąc jej książeczką, głośniej:

— Ale niech cię ręka boska broni, uchowa, żebyś ty miała do niego jeszcze chodzić. Pamiętaj!... Ja się nie po to żeniłem!...

— Idźże, idź, z takiem gadaniem. Nie rób jej przykrości. Jużeś ją i tak dosyć poniewierał —

strofowała go łagodnie ciotka, głaszcząc się jednocześnie w nos, który jej przypomniał najgwałtowniejszą chwilę starcia.

W samej rzeczy, obił ją nielitościwie. Przyszło mu na myśl, czy nie zanadto. Zrobiło mu się jej żal. Mimo to, dla utrzymania swej powagi marszcząc się, wyrzekł surowo:

— Nic jej się nie stało, nie! Ma szczęście, żem jej nie zabił. A gdyby... jeszcze raz... kiedyś... coś podobnego... no, to wtedy zabiję bez litości. Ja się nie po to żeniłem.

Poszedł do komody i własnoręcznie włożywszy książeczkę w szufladę zasunął ją, zamknął na klucz i zawahawszy się na chwilę, co zrobić z kluczem, który miał po raz pierwszy w rękach, schował go w końcu do kieszeni.

Wtedy ciotka pocałowała płaczącą ciągle Zosię w skroń i gładząc jej włosy, rzekła:

— Przestańże już płakać, Zośka. Ludwiś ma serce... Ludwiś ci przebaczy...

Pociągnęła do niego za jednę rękę żonę, która drugą zasłaniała sobie oczy i twarz, mokrą od łez, i popchnąwszy mu ją w objęcia, rzekła z ciepłem:

— Pogódźcie się, moje dzieci, pogódźcie... Myślałby kto, że żyjecie z sobą z pół roku, a to przecie dopiero miodowe miesiące... Pocałuj ją Ludwiś, w małżeństwie nie powinno być gniwu. Tymczasem polecę po troszki rumu... Zosinko, gdzie flaszeczka?...

Przyjaciółka.

Najładniejszy ten chłopiec, jakiego znałem, a kobieciarz tak zapamiętały, że po za miłością nic dla niego nie istniało od dwudziestego roku życia, kiedy zaczął bałamucić łatwe istotki na prawo i lewo bez najmniejszego skrupułu, z taką owszem swobodą, jak gdyby czuł się przez samą naturę, tyle dlań szczodrą, wyznaczonym na uwodziciela z fachu — opowiadał nam raz pomiędzy tysiącem swych przygód:

....Krążyłem po mieście od samego zmierzchu w jednym z tych szałów żądzy, co spadają na nas czasami niewiadomo zkąd: z powietrza, gwiazd, snów, książek, czy podniecających potraw? — i zagłuszając każdą myśl, każde uczucie, nie mające związku z kobietą, gnają nas po ulicach w poszukiwaniu wymarzonej, której nie znamy wcale, nie widzieliśmy nigdy i wyobrazić sobie nie jesteśmy w stanie a którą jednak zda-

jemy się odczuwać silniej, pewniej, niż pies tropiący zwierzynę, ukrytą w gąszczu. Jej widmo zakwefione zakrywa nam najbardziej kiedyindziej miłe postaci i twarze, szukamy jej w każdej nieznajomej, spotkanej po drodze, i oddalamy się od każdej, myśląc: to nie ta — jakgdyby ta, którą pragnęliśmy ujrzeć, rysowała się najwyraźniej w duszy naszej, spragnionej napełnić się obrazem kobiety, napełnić po brzegi — lecz w tej chwili pustej, zupełnie pustej.

Krążyłem w ten sposób po ulicach jak wściekły, szukając spełnienia mych oczekiwań pod najgrubszemi woalkami i zawodząc się na dziesiątej już z rzędu, dwudziestej, setnej — gdy naraz zatrzymał mnie widok Frani, mojej dawnej, dobrej znajomej, która była mi towarzyszką podczas dwóch wakacyjnych miesięcy po drugim roku uniwersytetu, spędzonych na wsi, pod pozorem przygotowań do egzaminu.

Ach! jak cudownie spędzonych... Bo Frania, chociaż była tylko szwaczką i to dosyć nawet głupiutką, ale posiadała wdzięk — wdzięk uczuć, równy wdziękowi jej ciała, przynajmniej w owych czasach i dla mych ówczesnych oczu.

Książek nie brałem oczywiście przez cały ten

czas do ręki, egzaminu nie zdałem po jego upływie, ba, nie zdałem go do dzisiaj, — lecz cóż to wszystko znaczy wobec uroczych wspomnień tego sześćdziesięciodniowego snu na kwiatach łąk, na mchach leśnych, przy blasku gwiazd, słońca i jutrzenki, w otoczeniu ptaków i motyli za dnia, a robaczków świętojańskich i nietoperzy nocą, i zawsze z nią, z nią przy boku. Wszystko zaś bardzo skromnie, bez zbytków, jak na szczerą sielankową, bezinteresowną miłość przystało, za kilkadziesiąt reńskich we dwójkę: izba w chacie wiejskiej, chleb, jarzyny, trochę drobiu i dużo, dużo kwaśnego mleka, którem ubielone usta nasze całowały się, śmiejąc.

Przez lat pięć czy sześć potem widywaliśmy się oboje tylko zdaleka, przypominając sobie i dziękując uśmiechem za te czasy — tego wieczora jednak zaczepiłem ją, uczuwszy naraz, żem znalazł tę, której szukałem od kilku godzin, nie umiejąc jej określić ani nazwać. Była nią — jej towarzyszka.

Nie potrafię wam opisać doprawdy tego ślicznego dziecka tak, abyście, jak przez mgłę bodaj, odczuć mogli wrażenie, jakie na mnie wywarła: mała, pulchna, rumiana, o kasztanowa-

tych włosach, długich rzęsach dokoła ciemnych oczu, z noskiem małym, malutkim, zamkniętym w delikatnych owalnych liniach, jak wszystkie zarysy jej twarzy i ciała, które w zupełnych formach kobiety rozkwitłej zawierały coś dziecięcego, może dlatego, że była tak świeżą i tak maleńką.

Znałem ją zaledwie oczyma, zdaleka i niedokładnie, z paru przelotnych spotkań, podczas których tęsknota do niej zrywała się we mnie, jak ptak do lotu, zmięszana z powątpiewaniem gwałtownych pragnień, równie dobrze znanem nowicyuszom, jak i tym, co wiele szaleli, czy zdobędę się na tyle uporu i delikatności w zabiegach, aby dokazać nie zawsze łatwej sztuki uwikłania tak świeżego dziewczęcia w miłostkę.

Teraz to powątpiewanie wzmogło się jeszcze z powodu obecności mej dawnej kochanki...

Lecz zachowanie się Frani wprędce wywiodło mnie z mych obaw.

Przedstawiła nas sobie wzajemnie jako swoich najserdeczniejszych przyjaciół, i tykając mnie od samego powitania, nadała rozmowie ten poufały, nieco hulaszczy ton, który jej młodą towarzyszkę wprowadził od razu w żywioł stosunków

łatwych i blizkich, w świat miłości odsłaniającej się od pierwszego spojrzenia i słowa.

W chwili, gdyśmy się zżyli już trochę, Frania wyprawiła naraz przyjaciółkę do poblizkiego sklepu po jakąś tasiemkę, a zostawszy ze mną sam na sam, zagadnęła mię obcesowo, szybko, z badawczem spojrzeniem:

— Podobała ci się?

— Dyabelnie! Jak ty temu lat...

— Nie rachuj! bo mnie strach zbiera!... — przerwała mi, czyniąc ruch, jakby chciała zatkać sobie uszy. — Więc ci się podobała. Czy jesteś przy pieniądzach?

— Rozumie się. A dlaczego?

— Musisz się jej wydać hojnym. No i trzebaby ją także... tak troszkę... domyśl że się!... podochocić... Jeżeli masz naturalnie jakie zamiary, bo nie wiem.

— Ależ mam! mam! oczywiście! I chciałem cię właśnie prosić o radę, o pomoc...

Zamiast odpowiedzi, zaczęła, jakby dla usprawiedliwienia się, opowiadać, że Klocia jest jak dojrzały owoc: spadnie z gałązki lada dzień, lada chwilę i wówczas podejmie go kto bądź...

— Doprawdy? — pytałem uradowany.

— Nie uwierzyłbyś, jak jej się do was spieszy.

— Jak to dobrze!... I ty chciałabyś?...

Czyby chciała!... Ależ uczyni, co tylko będzie w jej mocy. Dla mnie gotową była poświęcić wszystko, nawet cnotę swej przyjaciółki. Wszak poświęciła mi kiedyś własną.

Ściskając jej ręce, począłem dziękować serdecznie za oba poświęcenia, szczególniej za to ostatnie, będące dopiero w toku — w tej chwili jednak szepnęła:

— Cicho. Ona.

Klocia wybiegła z sklepu na ulicę.

W obejmującem ją z tyłu, z wnętrza magazynu rzęsistem świetle, które obrysowywało linie jej postaci swym blaskiem złocistym, robiła przez jedno mgnienie oka wrażenie figurek kobiecych, szkicowanych na wyrobach z chińskiej laki cieniutkim pędzelkiem, umaczanym w złocie — prześliczna w chwili kiedy zeskakiwała ze stopni z małym pakiecikiem w jednej ręce, który kobiety tak ładnie czasem umieją nosić, że staje się on jakby częścią ich osoby, ich ponęt. A żywość jej ruchów, po tem, co usłyszałem przed chwilą z ust Frani, zbudziła we mnie myśl, że ten śliczny malec o kształtach dziewczyny, w istocie

biegnie, spieszy w czyjeś objęcia, w jedne z tysiąca wyciągniętych ku niej z uwielbieniem ramion, w te, które zdołają ją pochwycić, jak w grach towarzyskich... Dwa puszyste, jaśniejące do światła kłębki włosów poprzed uszyma, łącząc się z jej kapelusikiem, nadawały mu wygląd skrzydlatej czapki Merkurego i zwiększały jeszcze złudzenie; czyniły ją lekką jak ptaszę, że zbierała ochota rzucić się i oburącz, objąwszy, przytrzymać, by nie wzleciała w powietrze.

Utkwiłem w niej wtedy, porwany jej urokiem, spojrzenie takiego podziwu i pragnienia pełne, że wydobyło ono z jej oczu odpowiedź, nieokreśloną jeszcze odpowiedź samiczki, która widzi, że jest kochaną i nie gniewa się o to, lecz pragnie podrożyć się trochę.

Ponieważ namawiałem je usilnie do odwiedzenia cukierni, po wielu przekomarzaniach i targach, po wielokrotnem poprawianiu kapeluszy, włosów i kołnierzyków, kobietki przybrały miny dam i weszły w drzwi cukierni, które przed niemi otworzyłem, poczem obie, zaczerwienione, pogrążyły się w zakłopotaniu, pomimo, że znaleźliśmy się sami jedni w bocznym gabinecie. Ale humor mój i likiery ożywiły je a wówczas za-

cząłem Klocię hojnie karmić ciastkami z wanilią.

Wtem Frania, patrząc mi w oczy, znacząco, rzekła:

— Napiłabym się wina...

Zwróciłem się z zapytaniem do Kloci, która kręciła główką, cała w pąsach, bąkając, że nie lubi wina, bo kwaśne. Po chwilce dopiero przypomniała sobie, że piła raz, raz jeden, wino, które jej smakowało.

— Takie ciemnoczerwone... słodkie...

Klasnąłem w palce i kazałem podać Rustera.

Z niedowierzaniem zbliżyła brzeg kieliszka do ust, wsączając w nie ostrożnie kropelkę, jakby się bała podstępu.

Potem, odjąwszy małe, rumiane usta, oblizała je, pokazując sam koniec różowego języczka i zaśmiawszy się oczyma, w których paliło się już pierwsze upojenie, szepnęła z skinieniem główki:

— To samo.

Frania coprędzej trąciła w jej kieliszek swoim i mówiąc:

— Twoje zdrowie Klotka! i jego! — zmusiła nas do wychylenia kieliszków aż do dna, przy-

czem oczy Kłoci z ponad jej tłustego, w górę podczas picia zadartego gardziołka, patrzyły we mnie figlarnie, iskrzące pokusą i oporem.

— Prawda, że dobre? — zapytała ją Frania.

Klocia znajdywała wino doskonałem, ale zbyt mocnem.

Frania roześmiała się.

— Jakżeś ty chciała?... Każde wino jest mocne i dlatego właśnie zdrowe. Napijno się jeszcze.

Dziewczyna zaczęła się sprzeciwiać powtórnemu napełnieniu swego kieliszka, utrzymując, że jej się w głowie kręci, że czuje się już teraz pijaną, gotowa się na ulicy przewrócić.

Lecz zakrzyczeliśmy ją.

Frania zaręczyła, że świeże powietrze ją wytrzeźwi, i wypiliśmy jeszcze wszyscy po dwa czy trzy kieliszki, przyczem pożycie nasze zacieśniło się tak dalece, że zacząłem deptać po nogach Klocię, a ona biła mnie za każdy raz nicianą rękawiczką w nos, aż mnie przebiegały ciarki. Raz drgnąłem silniej, trafiony w oko, a wtedy zaczęła przepraszać mnie z takiem ciepłem, od którego przebiegały mnie jeszcze gwałtowniejsze dreszcze.

Wśród tego oczy dziewczyny gorzały formalnie, jak gdyby z nich lada chwila buchnąć miały płomienie, a pierś, drgająca rozkosznym śmiechem młodej, pijanej bachantki, wyrzucała coraz głośniejsze, śmielsze, bardziej rozswywolone okrzyki wesołości.

Kiedy przyszło do płacenia, Frania odezwała się do mnie:

— Mów do niej także »ty«. Nie wypada, żeby wszyscy wiedzieli, żeście obcy. Prawda Klotka?

— Naturalnie — odpowiedziała zapytana poważnie i wybuchnęła w tejże chwili niespodzianym śmiechem, pokazując nam rękawiczkę napół wdzianą, w którą włożyła dwa palce w jeden, co ją bawiło niezmiernie.

— I mówcież wy mi jeszcze — chichotała z zmysłowym humorem dobrze podochoconej kobietki — że ja nie jestem pijana...

Raz jeszcze uderzyła mnie rękawiczką i pogroziwszy palcem, dodała:

— To ten winien wszystkiemu... Ja ci tego nie daruję!...

Jakżeż była milutką przy tych słowach!

Na ulicy jednak musieliśmy ją wziąć z obu stron pod ręce, bo się zataczała.

Śmiała się z tego od czasu do czasu, mówiąc na cały głos: »upiłam się, jak mamę kocham!« lecz naraz upomniała nas szeptem:

— Moi kochani, tylko przyzwoicie, żeby kto nie poznał.

Plotłem już teraz, czem tylko rozpustny humor mnie natchnął, a one śmiały się do rozpuku, przyciskając pierś ręką i przystając. Nie udawały wcale skromnych.

Tylko Klocia opierała się stanowczo temu, abyśmy mieli gdziekolwiek wstępować jeszcze.

— No, przecież nie pójdziesz chyba teraz do domu?!... — oświadczyła jej Frania.

— A to czemu?

— Dałaby ci matka, zobaczywszy cię tak...

— Hm... prawda... Ale cóż na to poradzić?...

— Zostaniesz z nami.

— Dokądże jeszcze?!...

— Do jutra rana.

— Co?!... A jutro co powiem w domu!

— Żeś szyła przez noc. Była pilna robota.

— Matka zapyta się pani.

— To powiesz, żeś szyła ze mną.

— Ale nie... nie mogę...

Prosiłem i ja, lecz bez skutku.

Wówczas Frania wzięła ją na bok i z powagą starszej, obytej z dobrym tonem i życzliwej przyjaciółki, poczęła jej perswadować, aby nie robiła żadnych głupstw, bo to nawet nie wypada odchodzić teraz nagle do domu, aby nie narażała siebie i jej na wstyd, okazując się tak źle wychowaną, aby nie zadawała tej przykrości, tej obelgi śmiertelnej mnie, który dla niej głowę tracę. Słyszałem między innemi budujące argumenty w rodzaju: »przecież jabym ci nic złego nie doradzała, moja ty, co jestem twoją najlepszą przyjaciółką« — a wreszcie pytanie przekonywające w sposób niezbity:

— Zresztą pomyśl, cobyś ty robiła w domu teraz...

Dziewczyna rozmarzonemi oczyma wodziła po mieście, pełnem gwaru i ruchu, wesołem i tajemniczem w oświetleniu gwiazd na niebie i latarń na ulicach: białych, żółtych, zielonych i pąsowych, przelatujących i stałych, które grupowały się w nieznane konstelacye, płonące o sto kroków od oczu, w nimbie własnego blasku.

Oczy jej zdawały się mówić:

— To prawda, tak mi się czegoś nie chce do domu wracać...

Te oczy zdawały się oczekiwać, szukać, jak ona sama, czegoś, coby zaspokoiło, nasyciło do reszty jej wzburzone zmysły, którym było tak dobrze w łechcącym pędzie hulanki i które, jak ludzie na rozkołysanej huśtawce, wołały: »wyżej! wyżej!...« — odczuwając, że nie dosięgły zenitu rozkoszy.

I w końcu oczy te, płonące i upojone, zdradzające tajemnicę jej młodego ciała i duszy młodej, pełnej żaru, spotkały się z mojemi, patrzącemi w nie z nietajoną niecierpliwością.

— A no, to chodźmy — wyrzekła po chwili, otrząsając się z napaści mego spojrzenia, które odbierało jej resztę woli, sprzecznej z tem, co działo się we mnie.

Wsuwając mi rękę pod ramię, z śmiechem szepnęła:

— Więc to prawda, co ona mówi?... że pan się we mnie... Ha, ha, ha... jakie to pyszne, Bo ja o tem nic nie wiedziałam...

Kiedyśmy wchodzili »pod lilie«, gdzie szczęśliwym trafem wolny był mój ulubiony pokój z balkonem, z radością zwycięzcy, trzymającego

szczęście za kraj szaty, szepnąłem do Frani w podziękę jej dobroci:

— Jesteś aniołem!

Ona zaś odrzekła:

— Każ dać coś z mięsa.

Klocia nie wzięła już nic w usta, oprócz paru czekoladek, które wsunąłem w nie po to, aby następnie odgryźć wystający z nich koniuszek.

Podczas kiedy tamta zajadała z apetytem wieprzową pieczeń z kapustą, popijając wino, cała zagłębiona w swej pracy, my ścigaliśmy się, przewracając dokoła niej do góry nogami sprzęty. Na tem pobojowisku zawarty został w końcu pokój jawnym, przeciągłym zobopólnym pocałunkiem, o który toczyła się cała wojna.

Zaraz po jedzeniu Frania oświadczyła:

— No moi kochani, ja idę spać — a Klocia, zziajana figlami:

— Pić mi się chce.

Wypiliśmy wszyscy po szklance zimnego pączu, poczem Klocia, wachlując się chusteczką, od której grzywka fruwała na jej czole, okry-

tem kropelkami potu, wyrzekła z pałającą twarzą i zmrużonemi oczyma:

— Chodźmy na ganek, okropnie mi gorąco.

Zostawiwszy Franię samą, poszliśmy patrzeć na miasto, czerniące się u naszych stóp pod bladożółtawą łuną, którą sznury latarń ulicznych rzucały w mgłę nad dachami.

Klocia, dziecko suteren, spostrzegłszy się jakby nad przepaścią na tym balkonie drugiego piętra, cofnęła się wylękła od balustrady i przytuliła do mnie. Patrząc tak na olbrzymie, ciemne masy drzew, kołyszących się i potrącających jedne drugie przed nami, szepnęła:

— Jak ja lubię na to patrzeć...

— Dlaczego?

— Zdaje mi się, że one się kochają... całują...

Byliśmy tak oszołomieni jedno drugiem i myślą o tej chwili, którą ona starała się opóźnić a do której mnie rwały zmysły, że całując się w milczeniu, zaledwie od czasu do czasu zamienialiśmy jakieś urwane, nic nie znaczące słowo. Ze wstydu, czy kokieteryi, drożyła się ciągle z sobą, oswojona już w zasadzie z nieuchronną koniecznością poddania się, po wyzbyciu się tego wieczora resztek oporu, instyn-

ktownego oporu czystości fizycznej, bo myśli jej oddawna utracić musiały dziewictwo w zepsutej atmosferze znajomostek z ulic i pracowni.

Nakoniec półnieprzytomna po tylu upojeniach dała mi się nakłonić do powrotu. Raz jeszcze, w progu, ujrzawszy ciemność, chciała mi się wydrzeć, lecz zaraz potem rzuciła mi się oburącz na szyję...

...Zielonawy kobierczyk księżycowego światła, rozesłany na podłodze, ocucił nas i przywołał powtórnie na balkon, po za którym srebrzyło się na niebie blade światło nocnej lampy ziemi, pożyczanemi od słońca, przyświecającego drugiej półkuli, blaskami. Miasto podobne było teraz mnogością błyszczących powierzchni dachów do olbrzymiej tafli minerału, pokrytej kolosalnemi kryształami o metalicznym połysku. W powietrzu orzeźwiającem i chłodnem, i w nas, panowała dziwna cisza, dziwnie błogi nastrój. Spojrzawszy w swe blade twarze, uśmiechnęliśmy się i pocałowali, raz, krótko. Ona rzekła:

— Chodźmy się przejść.

Ubraliśmy się niezwłocznie i poszli błądzić jak lunatycy, trzymając się pod ręce, po czarnych jak wąwóz, ryty w skale, ulicach miasta, pu-

stego i śpiącego, tak nowego w nocy dla oczu, znużonych fizyonomią jego za dnia, widzianą tyle razy.

W błahej rozmowie, którą prowadziliśmy nie dla wymiany myśli, lecz aby pieścić się wzajemnie, aby wnikać jedno w drugie dźwiękiem naszych głosów, każde słowo brzmiało dziwnie miękko i słodko po słodkiem zbliżeniu, które w paru godzinach wieczora uczyniło z nas kochanków. Czasem zaś zatrzymywaliśmy się i całowali coraz goręcej w wzbierającej z każdą chwilą potrzebie znalezienia się znowu w zaciszu, która skróciła naszą przechadzkę.

Wchodząc do pokoju, gdzie słychać było długi, senny oddech Frani, szeptaliśmy:

— Cicho, nie trzeba jej budzić.

Lecz Frania spała tak twardo, że zbudzić ją byłoby równie trudnem, jak — nas dwoje obudzić nazajutrz, bo też i potrzebowaliśmy odpoczynku co się zowie.

Donośne wołanie Frani otwarło nam w końcu zaspane oczy, które niezbyt chętnie przyjęły widok trzeciej, chociaż blizkiej osoby.

Udałem więc, że zasypiam na nowo, i poprosiłem Frani z intencyą:

— Zbudź mnie, jak będziesz wychodzić, moja droga...

Odrzekła równie znacząco:

— Dobrze, zaraz po wyjściu Klotki.

Nie opuściła nas do końca, do chwili rozstania, przy którem Klocia zapłonęła rumieńcem takim, do jakiego dziewczęta mają okazyę tylko raz w życiu — i jeszcze oburzała się na widok naszych pocałunków:

— Ach! jakże wy się ciaćkacie!... —

Dziś dopiero odezwała się w niej zazdrość!

Ślub.

— Byłeś w Paryżu?!

— Pan byłeś w Paryżu?!

— Znacie Paryż!! — takiemi okrzykami podziwu i zazdrości przyjęła młodzież jakiś wyraz z ust Zenona, pozwalający się domyślać, że widział na własne oczy arcystolicę świata i zaraz posypały się natarczywe, pełne zgiełku i ciekawości pytania o mnóstwo rzeczy, które powinien był nad Sekwaną widzieć, poznać, przeżyć.

Zaatakowany ze wszystkich stron naraz, nie wiedział, jak im się opędzić, i w końcu porwał za kapelusz, chcąc uciec z knajpki, w której należał od tygodnia do wesołej i biednej bandy stołowników, złożonej z samych prawie studentów, — ale go zatrzymano tak szczerem i tak dlań pochlebnem, jednogłośnem: »zostańcie!« — że został, wymawiając się tylko:

— Ależ co ja wam będę opowiadał!... Każdy żąda czego innego.

— Opowiedz nam jaką awanturkę miłosną— rzekł ktoś, a większość przyklasnęła.

Wzruszył ramionami odmownie.

— Musiałeś mieć przecie jakąś... Nie?

Nie miał żadnej, od samego bowiem niemal przybycia do Paryża był... żonaty.

Żonaty?! — słowo to wywołało istny popłoch, jak wieść o czemś niesłychanem, niemożliwem, niepodobnem do wiary.

Ale Zenon z dowcipnym uśmieszkiem zapewniał, że nie kłamie, że był w istocie żonaty i to nawet dwa razy.

— Równocześnie?!...

— Fe! co znowu!... Po kolei.

— I owdowiałeś pan?

— O nie. Rozszedłem się z memi żonami.

— A więc to były śluby... cywilne?

— Najbardziej cywilne, jakie tylko wyobrazić sobie można.

— Opowiedz-że nam to!! opowiedz!!

I Zenio, ten próżniak, włóczący się ustawicznie po świecie, za pożyczane pieniądze, pod pozorem szukania sobie zawodu, brzydki jak

szympans z swoją zaniedbaną bródką i obwisłemi wąsiskami, brudny jak pomywaczka i blagier, jakich niewielu, począł opowiadać:

Straciwszy w ciągu dziesięciu pierwszych dni pobytu w Paryżu prawie wszystkie pieniądze, w jakie zaopatrzono mnie z domu na pół roku, wziąłem się rękami i nogami do zdobycia dwóch rzeczy: płatnego zajęcia i bezinteresownej kochanki.

Pierwsze nastręczył mi odźwierny domu, w którym miałem pokoik, na szczęście zapłacony z góry na cały miesiąc: miejsce w fabryce maszynek indukcyjnych za dwa franki dziennie, z widokami trzech, czterech i t. d. w przyszłości.

Co się tyczy tego drugiego, zapytałem znajomego studenta, w jaki sposób zapoznaćby się można z młodą dziewczyną skromnych wymagań, czującą potrzebę kochania.

Wziął mnie tegoż dnia wieczorem do *Quartier Latin*, dzielnicy zamieszkałej przez studentów, i wprowadził do knajpki, pełnej dymu, krzyku, brudnych stołów, młodych ludzi i młodych dziewcząt.

— Co to za jedni? — spytałem towarzysza.
Mężczyźni, to studenci — one: robotnice.

— Chodź, zapoznam cię z nimi.

Zostałem wprowadzony między gromadkę hałasujących francuzików, którzy podżartowywali na cały głos, wesoło, z skurczonej w ostatniem praniu sukienki kelnerki i widnych z pod niej pończoch — zostałem przedstawiony i bardzo serdecznie przyjęty.

Jeden z francuzów, w kapeluszu zsuniętym w tył z czoła, rozprawiający najgłośniej z wszystkich, począł mnie zasypywać nieskończoną ilością komplementów i wstrząsać mi rękę tak mocno, jak gdyby mi chciał co wytrząść z rękawa.

— Student? student? — pytał.

Potwierdziłem.

— Żonaty? — ponowił.

Niestety, nie.

Co?... nieżonaty?!...

— My pana ożenimy! — zawołał z zapałem i wziąwszy mnie pod ramię, pociągnął do najbliższego stołu. Kazał mi nań wyjść a sam stanął poniżej na dwóch krzesłach rozkraczony i donośnym głosem, jak woźny na licytacyi lub naganiacz przed menażeryą, począł natychmiast zwoływać *ouvrierki*, wskazując na mnie trzci-

nową laską, wymieniając moje przymioty: majątek, dzielność, dowcip, książęce pochodzenie (z lewej ręki) — i ogłaszając cisnącym się szwaczkom, kwieciarkom, robotnicom z fabryk, że szukam — żony...

Trochę zażenowany i zdziwiony, ale i ubawiony, śmiechem pokrywając zmięszanie, słuchałem, jak z powagą wykrzykiwał o mnie:

— Młody! przystojny! pełen ognia! — podczas kiedy dziewczęta, młode i podstarzałe, ładne i brzydkie, rozmaitej tuszy, wzrostu i maści, schodziły się, śmiejąc się i żartując, do stołu, na którym stałem, jak bydlę na sprzedaż wystawione, posyłając mi ręką całusy, kpiące wykrzykniki, miłosne i zalotne spojrzenia. Jedna nawet uszczypnęła mnie w łydkę pod pozorem przekonania się, czy jestem naprawdę żywą istotą, nie manekinem, a wesoły francuzik krzyczał bez przerwy, wstrząsając mnie za ramię i biorąc pod brodę, jak dziecko:

— Patrzcie tylko! Może nie ładny?!... Co to za budowa! Co za kark! pierś! uda!... A jego uśmiech, napół dziewiczy, dowodzący, jak jest świeżym... Jego wesołe oczy! nie mówiąc już o ukrytych zaletach serca. Ta, która go uszczę-

śliwi, nie pożałuje tego, zaręczam, a jeśliby się zawiodła, podejmuję się ją pocieszyć... Zatem wybierajcie, moje damy! dopóki czas jeszcze!... Młody człowiek do wzięcia!... Młody człowiek!...

Cała publiczność knajpki, z kuflami i zakąskami w ręku lub z dziewczętami w objęciach, zgromadziła się u mych stóp, mój swat zaś zwrócił się teraz do mnie, z prośbą, abym wybierał pomiędzy zebranemi, nie lękając się zawodów, gdyż każdej chwili będę mógł przedmiot mego wyboru zamienić na inny, mym gustom odpowiedniejszy.

I w końcu, mimo niedowierzania, dawszy się porwać żartowi i obawie śmieszności, jeżelibym dłużej odgrywał rolę bierną w całej zabawie — wskazałem mu jedną młodą, zgrabną blondynkę, która zdaleka, trzymając się pod ramię z przyjaciółką, patrzyła na mnie dość zachęcająco.

— Tę?!... — zapytał. — Rzecz załatwiona.

Zeskoczył z krzesła i poszedł oświadczyć się jej w mojem imieniu.

Zerknęła w mą stronę uśmiechnięta i skinęła głową.

Wtedy z okrzykiem: »Przyjęto« kiwnął na mnie, a kiedym się zbliżył, przedstawił mnie

dziewczynie, ona zaś, podając mi rękę, jednocześnie wyciągnęła do mnie usta.

Pocałowałem je, ale jestem pewny, że zaczerwieniłem się przytem mocniej niż ona — nie wiem też, mnie, czy jej, dano w tej chwili huczne brawo; najprędzej nam obojgu.

Francuzik zadzwonił tymczasem w kufel i obwieścił na cały głos:

— Słuchajcie! słuchajcie!!... Pan Zenon i panna Charlotta ślubują sobie wzajemną miłość: zapowiedź pierwsza, druga i trzecia — za indultem!!

Potem pobiegł do bufetu i w braku czegoś lepszego przyniósł garść różowych rzodkiewek z zielonemi listkami i przypiął je najpierw mnie i jej, a potem sobie na piersiach, oraz trzem jeszcze osobom obu płci, zaproszonym z tłumu na świadków uroczystości weselnej.

Zasiedliśmy do uczty, którą złożyła gruba kiszka wieprzowa i bardzo cienkie wino.

Zaraz na wstępie uczty mój swat wstał z napełnionym kieliszkiem w ręku i wznosząc toast na cześć nowożeńców, wygłosił mowę o naszych wzajemnych obowiązkach, radząc nam, abyśmy się kochali gorąco, jeżeli chcemy być szczęśli-

wymi i zostawić jedno drugiemu miłe wspomnienie, oraz życząc nam dużo, dużo dzieci.

Żona moja, osóbka bardzo miła, zaprotestowała przeciwko temu nadzwyczaj żywo, napół zrywając się z krzesła i wołając:

— Nie! nie! nie! — a zobaczywszy dwuznaczny uśmiech na mej twarzy, zażądała odemnie natychmiastowego zapewnienia, że małżeństwo nasze będzie bezpotomnem.

Wahałem się przez chwilę z obawy o mą opinię, czy mogę zobowiązywać się do czegoś podobnego — ale kiedy zaczęto krzyczeć:

— Zgódź się! zgódź się!... — przykląkłem na jedno kolano i podniósłem rękę w górę na znak uroczystej przysięgi, wśród ogólnego śmiechu.

Wtem spojrzenia wszystkich zebranych osób zwróciły się ku drzwiom, w których stanął w tej chwili młody, chudy, bezwąsy dryblas, z kępką kłaczków na końcu brody.

— Uciekajcie! uciekajcie!! — zaczęto wołać do mnie i do mej żony w przesadnie udanej panice — a równocześnie świeżo przybyły, zrozumiawszy snać, na jaki trafił obrzęd, zmarszczył się jak kłown, parodyujący Otella, i z wy-

szczerzonymi wściekle zębami, z wzrokiem utkwionym we mnie i Charlottę, stał przez chwilę u drzwi. Potem nagle poskoczył do bufetu, porwał z niego nóż i rzucił się w naszą stronę sążnistemi krokami a dopadłszy stołu, wbił żelazne ostrze w ostatni pozostały kawałek kiszki i uniósłszy go, począł zajadać w kącie, jak człowiek, który przez trzy dni nic nie miał w ustach.

Charlotta śmiała się do łez, ja zaś dowiedziałem się tymczasem, że nowoprzybyły był do niedawna tem dla Charlotty, czem ja zostać miałem od dzisiaj. Przedstawiono nas niezwłocznie i uścisnęliśmy sobie ręce z niekłamaną serdecznością, a nawet wdzięcznością wzajemną.

Zadzwoniłem na kelnerkę, chcąc poprzedniego męża mej żony godnie uraczyć, lecz nie pozwolił na to.

— To do mnie należy — wyrzekł.

— Ależ przeciwnie, do mnie...

Zaczęliśmy się prześcigać w uprzejmościach, aż Charlotta pocałowała nas obu po kolei, zaczynając odemnie i prosząc:

— Moi drodzy, nie kłóćcie się.

Rozśmialiśmy się. Kłócić się? Ani nam to

w głowie było! Byliśmy obaj tak szczęśliwi!... polubiwszy się od pierwszego wejrzenia tak bardzo!...

To też zabawa stawała się coraz weselszą, ja piłem coraz więcej i całowałem się raz po raz z byłym mężem Charlotty, dając mu niezliczoną ilość razy słowo honoru, że nie mam do niego żadnego żalu, o czem on równie ogniście ze swej strony mnie zapewniał, opowiadając mi o swem szczęśliwem pożyciu z Charlottą, oddając wszelkie pochwały jej sercu i pracowitości. Była robotnicą kwiatów, ale szczególny talent miała do cerowania skarpetek. Zaczęliśmy się w końcu tykać!

Wtem ktoś zwrócił naszą uwagę na Charlottę. Zmęczona spóźnioną porą, dymną atmosferą i mruganiem gazu, opuszczona przez nas, spała na krześle ze zwieszoną główką.

Zbliżyłem się więc do niej i zbudziłem ją pocałunkiem, przy słowach:

— Możebyśmy już poszli do domu?

Odetchnęła z głębi piersi, zbudzona, i poczęła oburącz przecierać oczy, poczem wstała, otrząsając się z resztek snu, rzekła:

— Chodźmy — i wsunąwszy rękę pod ra-

mię swego poprzedniego męża, przytuliła się do niego.

Lecz w tejże chwili spostrzegła omyłkę, zachichotała z sennym uśmiechem i zmrużone, zaspane swe oczy zwracając na mnie, mnie rękę wcisnęłą pod ramię, do mnie przytuliła się teraz i rzekłszy:

— Przebacz, zapomniałam, że jestem twoją żoną... — pocałowała mnie, dodając szeptem, wśród ziewania:

— Ale już chodźmy. Okropnie mi się spać chce.

Odprowadzono nas tłumnie, urządzono nam pod bramą domu, gdzie mieszkałem, serenadę, którą rozpędziła policya, i przywitano nazajutrz w knajpce tysiącem niedyskretnych pytań, zwyczajnie jak młode małżeństwo.

Sam na sam.

Zadłużyński powracał wściekły i bezsilny zarazem z tej wycieczki po znajomych za pieniądzmi, których mu się nigdzie dostać nie powiodło. Oburzenie przepełniało go na cały świat posiadających, na wszystkich, mających pełne kieszenie, portmonetki, kasy, że tolerują między sobą jego niedostatek, że nie wesprą parąset reńskich, w fatalnej dłań zawsze drugiej połowie miesiąca, jego budżetu, opierającego się na niedużej pensyjce. Ochłapem tym jeden z wpływowych, niegdyś, dopóki się wioski nie przehulało, zażyłych znajomych, pozbył się ciągłej żebraniny Zadłużyńskiego, wyrabiając mu swą protekcyą nędzną posadkę.

Nie! nikt się nad nim nie zlitował. Wyczerpał dawno kredyt. Nie chciano mu ani pożyczać, ani nawet podpisywać weksli, nie dano się zaskoczyć nawet temi nagłemi prośbami o pięć

reńskich, o guldena, na pół dnia, na godzinę, pod pozorem zostawienia w domu pugilaresu, uciekano na ulicy zdaleka na sam jego widok, jakby miał zaraźliwą chorobę...

O! człowiek nie przestał być krwiożerczą bestyą, ludożercą, jakim był niegdyś — myślał. Nie zjada on wprawdzie dzisiaj wprost, jak przed wiekami, w pieczystem czy na surowo, bliźniego swego, ale pozwala mu ginąć z głodu w swych oczach, zjadając należną mu cząstkę ogólnego dobra, rozdzielonego tak nierówno!... Socyaliści wydali się teraz Zadłużyńskiemu jedynymi apostołami raju na ziemi, i przystałby do nich, pomimo swego urodzenia, natychmiast, gdyby mu tylko dali dobrą pensyę, odpowiadającą jego potrzebom i gustom.

W takim nastroju zbliżał się do domu z głuchym, jak oddalone grzmoty, zapowiadającym burzę, gniewem na żonę, jedyną osobę na świecie całym, obowiązaną przez sam sakrament znosić wszelkie zmiany jego humoru.

To ona była winną ich pozłacanej nędzy w mieszkaniu, za które czynsz zalegał, wśród mebli, wziętych na kredyt, w cieple pieców, opalanych węglem, niezapłaconym składnikowi. Rzu-

cał on Zadłużyńskiemu, gdy przechodził koło kramu, mimo jego książęcej postawy i głowy śmiało, dumnie, po magnacku zadartej, spojrzenia coraz bardziej złowrogie a czapki coraz mniej uchylał. Najgroźniejszy ze wszystkich wierzycieli, mający pięść jak młot i zuchwałą gębę od ucha do ucha, spekulujący na groszowe zarobki nędzarz, zdolny wyprawić kompromitujący skandal o parę cetnarów węgla...

Na jakichże ludzi łasce znajdował się!...

A to była jej wina, że byli w takich opałach. Nie umiała się rządzić, nie była gospodarną, nie chciało jej się pracować. Przez jej bezrząd stracili majątek, nie przez jego karty. Zresztą powinna go była umieć pokierować. Prowadzenie się męża spoczywa w ręku żony. Powinna wreszcie była przynajmniej potem naprawić złe interesa. Powinna była wziąć się do krawieczyzny, modniarstwa, założyć mleczarnię, gotować objady, trzymać uczniów, panienki, postarać się jednem słowem o dochody w jakiśkolwiek z tych sposobów, których kobiety mają tyle, a mężczyźni bez fachu, krępowani w dodatku wymogami urodzenia, nie posiadają żadnego. Tymczasem ona umiała tylko, jak za dobrych czasów, stroić

się, tuczyć, używać i robić pańskie miny. Bal tę sztukę i on potrafi, lecz z tego utrzymać się niepodobna. I tak się przejął potrzebą zepchnięcia na nią odpowiedzialności za wspólne lenistwo, wspólną rozrzutność i wspólny niedostatek, że w tej chwili wydała mu się uosobieniem, głównem, jedynem nieszczęściem jego życia, plagą, kulą u nogi, zawadą do zrobienia karyery. Gdyby nie ona, byłby najszczęśliwszym z ludzi...

I ta kobieta będzie miała czoło czynić mu wyrzuty, gdy go zobaczy z próżnemi rękoma. Bo nie zaniedba ona tego. Już je słyszał. Wiedział z góry, od jakich wyrazów je zacznie.

Lecz hola!... Nie radził nikomu dzisiaj z sobą zaczynać...

W nastroju gotowości do zażartej walki wstąpił na schody domu, wysłane chodnikiem, przekroczył uchylone drzwi swego przedpokoju, i naraz ujrzał sługę przyczepioną uchem do drzwi bawialni, z pod których, przeląkłszy się jego widokiem, uciekła do kuchni, zanim miał czas odezwać się.

Chciał w pierwszym porywie gniewu skarcić ją natychmiast za podsłuchiwanie, w chwili, kiedy żona zajętą być musiała gośćmi. Lecz na

myśl, że to któryś z wierzycieli, podszedł do drzwi pokoju i tak jak przed chwilą sługa, przyłożył do nich ucho.

Ktoś był rzeczywiście — ale kto? Nie mógł zrazu odgadnąć. Słyszał tylko głos żony, tonący w śmiechu takim, jakim wybucha osoba, która doskonale się bawi...

Potem jednak usłyszał naraz głos gościa, głos męzki, dobrze sobie znany, tonem żartu, ciepła i prośby zjednywający sobie przychylność kobiety — i nagle stanął cały we krwi z oburzenia.

Zarządca domu był u nich i zachowywał się w ten sposób!... Świętoszek! żyjący prawie wyłącznie w stosunkach z dewotkami i duchowieństwem i utrzymujący na pierwszem piętrze tegoż domu pensyonat męzki, zwany »wzorowym«, w którym same bogobojne rodziny szlacheckie umieszczały swe dzieci, ponieważ miał opinię jedynego zakładu, zapewniającego duszy i ciału młodzieży opiekę, na zasadach prawdziwie chrześcijańskiej obyczajności opartą. Kierownik pensyonatu, dawny znajomy Zadłużyńskich, bywał u nich często; grali we trójkę w karty, po pół

centa szton, dla samej emocyi, i dzielili się ploteczkami, których tyle mają znajomi dewotek.

I ten stary, łysy orangutan, sznurujący usta jak zakonnica, ten obłudnik, przyklękający przed każdą figurą, obrazem i kościołem w mieście, całujący w ramiona spotykanych duchownych i wylegający się krzyżem po kościelnych posadzkach — śmiał mu pod jego nieobecność bałamucić żonę?!... śmiał czynić zamach na jedyną własność Zadłużyńskiego, który tem żywiej uczuwał wobec niej swe prawa wyłącznego posiadacza i pana?!...

Wyciągnął porywczo rękę ku klamce i już chciał wpaść z wybuchem furyi zazdrosnego i zdradzanego męża, kiedy nagle przypomniał sobie czynsz za mieszkanie, zalegający od roku, dzięki cierpliwości zarządcy. Jeżeli mu zrobi scenę — za dwa tygodnie wyrzucą ich na ulicę...

Nie dotknął więc klamki, tylko z tą niezwalczoną ciekawością, jakiej się doświadcza wobec każdej rzeczy tajonej, zwłaszcza gdy rzecz ta osobiście nas dotyczy, słuchał jeszcze, co mówią, co się tam dzieje, jak daleko zaszła ich sprawa.., jego sprawa... sprawa wszystkich trojga!

Nie, nie było wątpliwości.

Zarządca objawiał względem jego żony jaknajgrzeszniejsze zachcianki, a ona, karcąc go słowami, jednocześnie tonem ich i przeplatającym je śmiechem zdawała się zachęcać, jak gdyby śmiałe postępowanie starego umizgusa nie sprawiało jej zbyt wielkiej przykrości.

— A to nędznicy!... — pomyślał Zadłużyński, tłumiąc, ze względów praktycznych, oburzenie i zazdrość, co go gnały tam, do nich, i nie wiedząc jeszcze, czy lepiej będzie odejść zupełnie, czy przerwać to występne sam na sam prostem, obojętnem wejściem męża, który o niczem nie wie.

Postanowił oddalić się, nie czując w sobie dość siły, aby udać spokój. Wróci za chwilę, ochłonąwszy.

Już miał odstąpić ostrożnie i cicho od drzwi, po za któremi działa się jego krzywda, kiedy naraz drzwi od kuchni wpuściły nieco światła i ukazała się głowa służącej, a zobaczywszy go, w mig znikła napowrót.

Zadłużyński poczerwieniał. Przypomniał sobie, że o tem, co dzieje się tam, za drzwiami, wie ktoś więcej prócz niego, wie sługa...

Zacisnął zęby z wściekłości. Czemuż nie od-

dalił się wcześniej, niepostrzeżony przez nią!...
Teraz już nie mógł udawać, że nie wie o niczem, zmuszony był wkroczyć i zrobić skandal, którego sobie wcale nie życzył, na którym więcej straci niż zyska.

Ale nie było rady. Konieczność uczyniła go ambitnym. Nacisnął klamkę — wszedł — i przerywając zarządcy głośny pocałunek, składany na tłustym policzku żony, stanął przy drzwiach jak wryty, naprawdę wściekły wobec tego jaskrawego obrazu grzechu, który oddawał w jego ręce niewątpliwe, nie dające się zaprzeczyć dowody ich winy...

Oboje, osłupiawszy, zmięszali się ogromnie jego wejściem i groźną u drzwi postawą, wykluczała ona bowiem wszelkie z ich strony kłamstwo, wszelkie wykręty.

Odsunęli się tylko od siebie w dwie przeciwne strony, niby sprężyną rzuceni, instynktownym ruchem, jakim złodziej cofa rękę od cudzej kieszeni, zbudziwszy czujność jej właściciela. Ona, zaczerwieniona, poprawiała włosy, szukając, coby uczynić, powiedzieć, zakłopotana i zła na siebie i na nich obu. Zarządca stracił oddech, obezwładniony na kanapie przeszywającym wzrokiem

Zadłużyńskiego, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu, małe przejrzyste perełki, wyciśnięte trwogą.

Wytrzymawszy ich przez kilka sekund, długich sekund milczącej groźby, sam bardzo wzruszony, majestatycznie rozkazującym gestem wskazał żonie drzwi od sypialni, mówiąc przytem nizkim, zdławionym głosem nastrojów silnie dramatycznych:

— Wyjdź.

Rzuciła na niego jedno szybkie spojrzenie bojaźni z odrobiną zdziwienia i wyszła z miną wzniosłą, sprawiając szelest sukniami, których fałdy rozniosły po pokoju zapach perfum, tak potrzebnych kobietom otyłym niepierwszej młodości. Mąż dalej świdrował oczyma uwodziciela, przechodzącego na kanapie agonię bezgranicznego strachu na widok kija Zadłużyńskiego, kija, którego grubość i wytrzymałość w tej chwili dopiero ocenił należycie.

Nakoniec zdradzony mąż odezwał się dobitnie:

— Więc to tak?!...

Zarządca wykonał ustami ruch błagania i złożył ręce jak do modlitwy.

Chciał powstać z kanapy, ale nie mógł. Brakło mu sił w nogach.

— Panie Piotrze... — zdołał wyszepnąć żałośnie, błagalnym tonem swego głosu dodając pewności Zadłużyńskiemu.

— Nic nie słucham!! — z porywczym giestem wybuchnął tenże głośniej a postąpiwszy dwa kroki ku zarządcy, znów stanął, straszny jak sędzia, i silniej, o ton wyżej, z jeszcze większą pasyą powtórzył, wpijając weń gniewne i wyzywające oczy:

— Więc to tak?!... Więc pan tu po to przychodzisz?!... Pod nieobecność męża bałamucić żonę?!... Zabierać mi moje dobro? mój spokój? mój honor?... Kalać mi moje ognisko domowe?!... Więc za przyjaźń, życzliwość, za zaufanie i gościnność...

Tamten słuchał z pokorną i wylękłą miną, skupiając trzy czwarte swej uwagi na pięści Zadłużyńskiego, ściskającej laskę i na jej drganiach złowróżbnych, tak jak chory wszystkie swe myśli skupia na instrumentach operatora. Mąż zaś puścił folgę językowi. A język miał biegły. Było to jedyne narzędzie w ciężkiej walce o byt, którem władał wprawnie.

W wezbranych frazesach gniewu malował haniebny czyn gościa, mięszając niekiedy z oburzeniem łzawy ton skargi zranionego serca, bólu człowieka, który zawiódł się na przyjacielu, który widzi zdeptanemi najświętsze swe uczucia, któremu wydzierają to, co ma najdroższego.

Zarządcy od czasu do czasu, w pauzach namiętnej tyrady, udawało się wyjęknąć z modlitewną miną:

— Panie Piotrze!... Uspokój się pan na Boga. Zawiniłem, nie przeczę... ale to była chwila szału...

Lecz tamten, porwany własną wymową, zapalał się coraz więcej, zamiast stygnąć. Przytem kapelusza, z którym wszedł, ani laski z rąk nie wypuszczał, jakby zamierzał osobiście odstawić lada chwilę złodzieja swej czci do kryminału. Chodził po pokoju i stawał, rzucał się i giestykulował ogniście, roztaczając na wszystkie strony pantomimę do głębi wzburzonych uczuć, w których jasnowidzeniu jak gdyby naraz dostrzegł całą ohydę i okrucieństwo życia, gotującego ludziom takie ciosy. Mówił tak, jakby rozpaczał po utracie wszystkiego, jak gdyby za chwilę szał, którym był ogarniony, miał go popchnąć

do strasznych czynów ostatecznej desperacyi, do popełnienia zbrodni na sobie samym lub na kimś innym. Był obrazem jednego z tych mężów, co zdradzeni nie są w stanie przeżyć swej hańby i bólu, obrazem — trochę może przeszarżowanym — Otella, pieniącego się w długim, wściekłym, tygrysim monologu przed wybuchem furyi zemsty...

Nakoniec zarządca zebrał się na tyle odwagi i siły, by powstać.

Podchodząc do Zadłużyńskiego z skruszoną i serdeczną miną przyjaciela, który czuje się winnym i gotów się upokorzyć, chciał go wziąć w objęcia i szeptał:

— Ależ panie Piotrze... Zapanuj nad sobą... błagam pana... Wszyscy jesteśmy ludźmi... Można się zapomnieć...

Zadłużyński usunął się gwałtownie po za odległość czule wyciągniętych ramion zarządcy.

— Ludźmi?... Zapomnieć?!... Proszę!!... — zawołał wściekle, czerwony jak mak, z gniewu. — A gdybym i ja się także zapomniał? Coby wtenczas było?... Coby było — pytam się — gdybym...

I począł przechodzić wszystkie rodzaje zapomnienia, jakim mógłby uledz w danej sytuacyi,

napomykając z naciskiem o konsekwencyach popełnionej niegodziwości, grożących człowiekowi tak obowiązanemu liczyć się z opinią, jak właściciel »Wzorowego pensyonatu«, zostającego pod protektoratem duchowieństwa.

Osądziwszy nakoniec, iż należycie ofiarę swą przeraził, pozwolił się owładnąć goryczy i żalił się:

— Ale to tak... Jeśli potrzebujesz ludzkiej przychylności, pomocy, nie ma przyjaciela dla ciebie na całym świecie. Niechno za to trafi się okazya wyrządzenia ci obelgi i krzywdy, przyjaciele do tego pierwsi!... Prosiłem pana w tamtym miesiącu o podpis ręczyciela — dałeś mi go pan?... Nie!... Ale bałamucić żonę pan potrafisz!... Na mnie kolej pokazać, że nie jestem takim kpem, jak się panu może zdawało albo jakiego miałeś ochotę ze mnie zrobić!

Poszedł do drzwi wchodowych, otwarł je, wyjrzał za próg, a potem wrócił, zamknąwszy na klucz.

Na zarządcy ścierpła skóra. Pomyślał, że teraz nastąpi coś strasznego.

Zadłużyński zwrócił się tymczasem pewnym krokiem do drzwi pokoju żony i postąpił tu jak

z tamtemi, przekręcając również klucz w zamku, jak gdyby dla zapewnienia sobie zupełnej swobody w działaniu.

Zarządca znalazł się teraz na tej granicy strachu, po za którą się mdleje. Przypomniała mu się jakaś tragedya zdrady małżeńskiej, wyczytana w dziennikach, gdzie mąż w podobnej sytuacyi kazał swemu krzywdzicielowi wyskoczyć oknem z trzeciego piętra. Wprawdzie tu było tylko drugie i to niezbyt wyniosłe, ale zawsze skakać z tej wysokości w jego wieku... Brr! wyobraził sobie, jak leci, odtwarzając z dziwną wyrazistością wspomnienie łechcącego uczucia, doznawanego w dzieciństwie na huśtawce.

Trzeba się ratować.

— Panie Piotrze! — zawołał rozpaczliwie, z drganiem kącików ust, jak u dziecka, które ujrzało trzcinkę. — Przecież się znamy tak dawno!... Tak pana lubię, poważam... Nigdy dotąd nie miałeś pan powodu skarżyć się na mnie... Jeden błąd powinno się wybaczyć staremu przyjacielowi... który żałuje... Ja pana przepraszam... Ja panu przyrzekam, że nigdy już więcej... Powiedz pan zresztą sam, jak mam okazać, że

czuję się naprawdę ciężko winnym, i jak... naprawić...

Zadłużyński, pozwalając sobie ściskać ręce tym razem, lecz z miną nieubłaganą, powtórzył patetycznie:

— Naprawić?!... O naprawieniu czegoś podobnego nie może być mowy... Takie rzeczy nie naprawiają się tak łatwo, mój panie... Ale kiedy mnie pan tak zapewniasz o swojej przyjaźni, kiedy pan tak żałujesz... Dobrze. Proszę mi tego dowieść. Jestem właśnie... w kłopotliwem położeniu... Pożycz mi pan pieniędzy...

Zarządca rzucił z ukosa pierwsze, nieco śmielsze, badawcze spojrzenie na zdradzonego męża.

— Ile?... — zapytał z trochę mniejszym strachem.

Zadłużyński szukał w myśli cyfry. Bał się powiedzieć zbyt dużą, bał się również przez podanie zbyt małej zmarnować okazyę.

— Trzysta guldenów — rzekł z sercem bijącem z niepokoju, myśląc jednocześnie, że przecież to chyba nie za wiele za zamach na czyjąś cześć.

— Nie mam tyle — odrzekł zarządca. Odzyskał znaczną część swego spokoju.

— Ileż pan ma?

— Mogę mieć co najwyżej jakieś kilka...naście reńskich... — odparł zwykłym, zimnym tonem proszonych o pożyczkę a gospodarz, dla dobicia targu, odrzekł spiesznie:

— To nic, na resztę podpisze mi pan weksel. Będę oddawał rzetelnie.

— Nie mam wekslu.

— Ja go mam.

I żywo poskoczył do sąsiednego pokoju po blankiet wekslowy. Kto tyle ich potrzebował, co on, miał zawsze jakiś w pogotowiu.

Zaledwie z nim jednak wrócił, niosąc także pióro i atrament, stanął zdziwiony. W pokoju nie było nikogo, gość — uciekł!...

Wściekłość ogarnęła Zadłużyńskiego. Sam pozwolił mu się wymknąć!...

Z tą pasyą, która koniecznie szuka ofiary, pobiegł do żony i na nią zwrócił cały swój jad, którego zebrało się w nim już dzisiaj za wiele.

Lecz ona słyszała przez drzwi wszystko, o czem mówili obaj, ochłonęła przez ten czas i obecnie, czując się panią placu, przerwała mu opryskliwie:

— Nie wywieraj też na mnie swej złości, proszę cię, boś sam wszystkiemu winien.

— Sam?!... Sam?!... — syknął, siląc się na jak największą pasyę, która, czuł, że słabnie wobec jej chłodu. — Ty śmiesz?... po tem, co słyszałem przez drzwi, co zastałem, wszedłszy?!...

— Tak jest! ty sam!... Bo trzeba było nie robić głupstw, nie wchodzić, nie wpadać, czekać końca!...

Osłupiał.

Co ona bredzi?!...

Nie mogąc jej pojąć, udał straszne oburzenie i przyskoczywszy do niej z rękoma o palcach zakrzywionych jak szpony drapieżnego ptaka, potrząsał niemi i wołał:

— Bezwstydna! Co ty pleciesz?!...

Nie przeraziła się wcale jego wrzaskiem. Zwróciła się ku niemu śmiało i rzekła mentorskim tonem:

— Trzeba mnie było zostawić z nim samą, a byłabym spokojnie doprowadziła do tego, co się tobie wcale nie udało, pomimo tej krzykliwej burdy od pół godziny...

I odwróciła się plecyma.

Porzucił groźne giesta.

— Jakto?... więc ty... dla tego samego, co i ja... — bełkotał zdumiony.

— A dlaczegóżbym innego miała pozwalać na czułości tej maszkary. Przecież nie dla jego pięknych oczu, spodziewam się. Ale trzeba mi było zostawić swobodę. Już miękł... Jestem pewną, że byłby zrobił wszystko, czegobym zażądała...

— Myślisz?...

Był oszołomiony jej wyznaniem, przejęty podziwem dla jej sprytu i wstydem z powodu swego fiaska.

Tak... jej, kobiecie, byłoby się to lepiej udało. Sam wszystko popsuł, popełniając niepowetowane głupstwo.

— Ha, cóż, nie wiedziałem o tem — rzekł napół usprawiedliwiająco, wsadzając ręce w kieszenie, opuszczając z pokorą dumny swój kark.

— Trzeba nam się było wpierw porozumieć — dodał ciszej. — W takich razach to konieczne...

Odpowiedziała śmiechem złości:

— Jak gdybym ja sama wiedziała jeszcze przed godziną, że on... że w nim... że jemu jeszcze w głowie podobne rzeczy...

I to prawda. I on również nie podejrzywał zarządcy o takie zachcianki.

Milczał czas jakiś, przygnębiony, a potem mruknął z szczerą desperacyą:

— Ha! stało się.... Jednego tylko darować sobie nie mogę... żem chociaż tych pieniędzy, które miał przy sobie, nie kazał mu dać od razu...

Bez namysłu potwierdziła:

— To było rzeczywiście najgłupsze z wszystkiego.

Anonym.

Gdy Jasia, jak każdego kawalera lat trzydziestu, który się ma dobrze, strofowano, że marnuje młodość, prowadząc życie bezżenne, mędrkował:

— Żenić się? ja?!... Nie głupim. Wiem ja, czem to pachnie.

I silił się na pessymizm, obcy swej naturze. Wyśmiewał dozgonne śluby, legendą nazywał wierność małżeńską, twierdził, że ludzie wymyślili przysięgi w tym celu, by je łamać.

— Jak to? więc myślisz zostać starym kawalerem?

Pytanie to niepokoiło go trochę, na dnie jego duszy bowiem drzemała zawsze utajona tęsknota do tej odmiany miłości, jaką zaprzysięga się przed ołtarzem i którą bądź co bądź uważał, choć się tego wypierał przed sobą, za szlachetniejszą.

Odpowiadał jednak z fantazyą:

— Kawalerem?... Rozumie się. I cóż w tem złego. Kawalerowi dostępne są przecież wszystkie słodycze, jakiemi cieszą się żonaci, a za to wolnym jest zupełnie od ich kłopotów stałych i innych, zagrażających każdej chwili. Co się zaś tyczy kobiet — ponieważ bez nich obejść się niepodobna — wolę już te, które pozwalają na wszystko i przyznają się do wszystkiego. Z temi przynajmniej człowiek się nie łudzi.

Utrzymywał w istocie z kobietkami tego ostatniego rodzaju tem bardziej rozgałęzione stosunki, im staranniej unikał uczciwych, których bał się instynktownie, czując, że zakochałby się w pierwszej, coby sobie tego życzyła, stworzony nie aby uwodzić, lecz aby być uwodzonym.

* * *

Przypadek podsunął mu pewnej zimy dziewczynę »uczciwą« w domu jednego z żonatych kolegów.

Zaledwie ją pierwszy raz zobaczył, pomyślał:

— Do licha, co za milutki dzieciak, żebym się tylko nie zakochał. Uważajmy.

W parę tygodni wszystkiemi myślami należał do niej. Widmo jej nie dawało mu chwilki spokoju, myśli, jak gołębie, przywiezione z obcego kraju, gdziekolwiek je posłał, leciały za nią. Jeżli nie mógł jej spotkać, widzieć, słyszeć, starał się przynajmniej mówić, przynajmniej myśleć o niej, lub choćby o tem, co w jakimkolwiek z nią zostawało związku. I pod wpływem wzrastającego uwielbienia dla jej istoty, której przypisywał najwyższe piękno, zaczął na świat, na życie, na wszystko patrzeć różowo, upojony boskim snem o ideale, zapragnął stać się lepszym, by módz się jej podobać.

Ponieważ nie mógł spotykać jej tak często, jak pragnął, wyśledziwszy godziny, które co rano spędzała w kościele, i kącik, w którym klękała, dzień w dzień zjawiał się przed świtem za jej plecyma i kiedy ona przebiegała kartki książeczki do nabożeństwa, nie spuszczał z niej oczu, pieszcząc wzrok liniami jej figurki, ukrytej pod skromnemi sukienkami i cichym, dobrym, miłym wyrazem całej postaci, zatopionej w modlitwie i mroku świątyni. I myślał pod wpływem dawnego skeptycyzmu, że kobieta jest przecudną jak anioł, kiedy się modli; człowiek ma taką ochotę

nawrócić się na wiarę tego anioła, aby potem razem z nim upaść.

Ani się spostrzegł, że wpatrując się w nią godzinami, staje się jej niewolnikiem, że zmienia powoli swój sposób myślenia, że kościół, o którym dawno zapomniał, jak się zapomina zwyczajów i wyobrażeń dziecięcych, i do którego wstępował teraz dla dziewczyny, przeobraża go i zdobywa.

Nieznacznie wnikał w jego miękką, wrażliwą duszę majestat i powaga wysokich sklepień, olśniewało go jak blask z nieba złoto rzeźb, narzucała się oczom i myśli symbolika obrazów i całego aparatu świątyni, opartego na znajomości dusz ludzkich, od wieków wypróbowanego w tym celu, aby imponować, nawracać.

Poddawał się przytem bezwiednie nastrojowi, którym promieniała postać dziewczyny, szedł za jej myślą i uczuciem, nie dla tego, żeby je uznawał, lecz że pochodziły od niej. Jak ona upajał się zapachem świec woskowych, spalonych wczoraj kadzideł, korzył się przed dźwiękiem dzwonka i unosił na wibrujących falach kościelnych melodyj, płynących z po za drzwi oświeconej kaplicy w czarny przestwór nawy raz fletowem

brzmieniem pianissima, łagodnem i kojącem jak śpiewy aniołów, to znowu wezbraną rzeką skłębionych, srebrzystych, potężnych, jak huk tysiąca trąb i mieniących się jak złotem tkane ornaty, akordów.

Konfesyonały, gdzie grzeszni wyznają winy, ołtarze, gdzie składa się ofiara, lampki płonące wieczyście, wysoko, na cześć świętych, stąpanie kościelnego sługi, korne chylenie się głów biedaków, wstępujących w progi świątyni, którzy z taką wiarą znaczą czoło święconą wodą, wszystko to otaczało go zwolna odradzającem się wspomnieniem dawnej wiary i opanowywało stopniowo, a jasne światło ranka, w którem opuszczał kościół, zastawszy go w mroku, budziło w nim uczucie, jakby i w jego duszy robiło się coraz jaśniej pod wpływem spędzanych tu chwil. Spostrzegł w sobie przemiany, które wydawały mu się dobremi. Świat wierzeń religijnych przestał wydawać mu się naiwnym i śmiesznym. Jeżeli nie wierzył jeszcze w świętość miejsc, obrazów, nimbów i pieśni, wierzył już jednak w szlachetność i wzniosłość zawartych w nich myśli. Z politowania nad żarliwością modłów dziewczyny, przechodził zwolna

w cześć dla niej. Zazdrościł jej czystości duszy, pragnął podzielić jej uniesienia, znaleźć się w świecie jej uczuć wraz z nią, nie ściągać jej, broń Boże, do własnej niewiary, którą się brzydził, choć jej jeszcze nie zastąpiła wiara, coraz bardziej upragniona. W samolubnej bowiem mrzonce zakochanego o trwałym związku, o miłości dozgonnej, utwierdzonej ślubem, stanowiącym rozkosz nie kajdany, szukał podstawy dla swoich marzeń tam, gdzie jej szukają wszyscy: u stóp ołtarza, w religii. Bez niej nie wierzyłby ani jej przysięgom, ani swoim. Zamiana przysiąg między ludźmi wydawała mu się czczą formułką, by jej dać siłę świętości, potrzeba mu nad nią było Boga. I poddając usilnie duszę wzruszeniom, które przypisywał dziewczynie, szedł za nią, za jej modlitwą i westchnieniami, jak za białym aniołem, co wiedzie ku lepszej, doskonalszej przyszłości, wyższemu, czystszemu życiu. Przed duszą jego znowu otwarło się niebo, w niebie tem znowu pojawił się Bóg dobry i wielki z świętymi. I zrobiło mu się dziwnie jasno i przestrono, chlubił się świętą tajemnicą tego, co w nim zaszło, i uwielbiał bez granic tę, która była sprawczynią »cudu«.

Naraz zrobił »odkrycie«, które wstrząsnęło do gruntu wszystkiemi jego nadziejami.

Dziewczyna była czystą — czystą jak dziecię aż do najtajniejszych swych myśli, jak ono naiwnie tłómacząc sobie miłość, życie i wszystko, co ono zawiera.

Przeraził się przebudzenia w niej kobiety.

Była młodą, świeżą, pełną życia, on — tyle miał na sumieniu grzeszków, które gotowe się mścić...

Któż wie, jaki w niej drzemie temperament?... Imaginacya stawiała mu przed oczy setki skandalików małżeńskich, w których przedwczesny koniec miłości z jednej czy drugiej strony sprowadzał ruinę szczęścia lub honoru. Pod wpływem nagłych obaw formował sobie przesadny obraz miłości, dochodzącej do szału, obraz kobiety, dyszącej nieugaszonem pragnieniem pocałunków, niezdolnej od rana do rana myśleć o czemś innem, jak tylko o dochodzeniu swych praw małżeńskich. Połączyć się nierozerwalnym związkiem z taką — co za los!

I wszystkie zarzuty, jakiemi obarczał niegdyś instytucyę małżeństwa, odżyły w nim napowrót, stając do walki z miłością.

Począł się ze wszystkich sił bronić czarowi jej płci, starając się znaleźć zapomnienie o niej w widoku, w rozmowie, w objęciach innych kobiet.

Ale daremnie. Wszystkie napełniały go wstrętem, przypominając jej wyższość, jej brak. Najpiękniejsze i najmilsze przypominały, że ona jest milszą, piękniejszą. Ona jedna była rozkoszą i życiem, z nią jedną istnienie nabierało wartości — bez niej zamieniało się w cierpienie i smutek. Daremnie, w ostatnich błyskach zdrowego sensu, starał się odkrywać w niej wady, usiłował potępić ją i jej płeć, wmawiając w siebie, że padł ofiarą jej zalotności, że będzie, musi być, że jest już oszukiwanym...

Niech oszukują go jej usta, oczy, twarz jej, ona cała — kochał ją i jej kłamstwa, z któremi była czarującą, kochał, jak każdy kocha coś wybranego na świecie, gdzie nic nie jest doskonałem. Chciał patrzeć w jej oczy, cudne, fałszywe — tulić jej postać dziewiczą, zwierzęcych chuci pełną — całować jej usta słodkie i nieszczere, całować je bez końca, całować do utraty tchu, choćby z niej wszystką złość jej natury,

wszystkie trucizny jej płci i życia miał wyssać i zabić się niemi...

Ach! — czuł to — był zgubiony.

W rozpaczliwej żądzy ratunku, chwycił się ostatniego środka, podsuniętego przez szalony pomysł.

Napisał do niej anonym.

Zmienionem pismem skreślił długi list, spotwarzając się w nim bez litości, przedstawiając się w najczarniejszych kolorach, jako samoluba, obłudnika i hulakę, pełnego najgorszych instynktów, który ma już na sumieniu niejedną ofiarę i z którym najnieszczęśliwszą byłaby każda kobieta.

Gdy niósł to pismo do skrzynki pocztowej, miłość własna jego cierpiała bardzo, lecz gdy je wrzucił, ze drżeniem, jak pensyonarka swój pierwszy list miłosny — odetchnął. Pomyślał: jestem ocalony.

Przez kilka dni stronił od dziewczyny, bojąc się tych oczu, jakimi na niego teraz spojrzy.

Naraz, nie mogąc przemagać się dłużej, poszedł do jej domu w tajemnej potrzebie oczyszczenia się z oszczerstw, które na siebie sam rzucił i nie szczędząc usilnych starań, aby ją

sobie ująć, aby się jej wydać jak najlepszym, aby obalić całą treść paszkwilu, jeżeli doszedł już jej rąk lub dojdzie — ni stąd ni zowąd wyznał jej, że ją kocha i pragnie zaślubić.

* * *

W miesiąc po ślubie zadała mu raz żona, wśród pieszczot, nieuchronne pytanie: kiedy ją zaczął kochać.

Chłonęła ciekawie historyę tej chwili, patrząc mu w oczy i śmiejąc się czasami z radości, a czasem zamykając mu na chwilę usta swojemi.

Skończywszy opowieść zapytał:

— Zadowolonaś?...

Bardzo! bardzo była zadowoloną, nie miała dość pocałunków na okazanie mu tego, aż musiał je przerwać pytaniem:

— A teraz ty powiedz, kiedy mnie kochać zaczęłaś?...

Przybrała przesadnie zakłopotaną minkę, drożąc się z odpowiedzią. Dopiero, gdy nie przestawał nalegać, odważyła się wyznać, z przymileniem:

— Widzisz... boję się sprawić ci przykrość... Ale jeżeli chcesz koniecznie...

I zeskoczywszy mu z kolan, pobiegła do swego biurka. Wydobyła z szufladki kawałek papieru i pokazując mu go zdaleka, rzekła:

— Było to w dniu, w którym otrzymałam ten list.

— List?... Od kogo?..

— Czy ja wiem, list bezimienny, ale zdaje mi się, że od kobiety, i ty jeden mógłbyś mnie chyba objaśnić, brzydaku: od której? — bo to list o tobie. Okropność, jak cię przedstawia... Jak potwora! Posłuchaj, uśmiejemy się.

I odczytała mu, przerywając wybuchami śmiechu, jego anonym, jego własny, na siebie samego napisany paszkwil.

A całując go czule dla nagrodzenia, że musiał wysłuchać z jej ust tych oszczerstw i dla okazania, że im nie wierzyła, nie wierzy, — dodała:

— Poznałam, rozumie się zaraz, że to potwarz i że tego nie mógł napisać nikt inny tylko kobieta zazdrosna o ciebie, która mi cię chciała odebrać. Pomyślałam, że cię musi bardzo kochać i że musisz być tego wart — i wtedy to, wi-

dzisz, po raz pierwszy stałeś się dla mnie drogim, drogim nad wszystko!...

To rzekłszy, potrząsnęła zbliżoną do jego twarzy główką i zapytała go pieszczotliwie, takim samym tonem jak on ją przed chwilą, pewna, że mu sprawiła wielką i miłą niespodziankę:

— Zadowolonyś?

Welon ślubny.

W prześliczną niedzielę pod koniec września odbył się ślub Wandy Przytyczyńskiej z dzierżawcą Marcelim Dudniewskim, wdowcem, trzymającym piękny folwark o cztery mile od miasteczka Śmietniczyna.

Ślub ten był uroczystością epokową dla miasta, w którem wesela, chrzciny i zgony były nieliczne jak ludność. Pobiegł też nań cały Śmietniczyn. Mężczyźni uczynili to z prawa mężczyzn, głów domu, panów swej woli. Potem podreptały kobiety, jak kobiety, ukradkiem, nie mogąc opanować ciekawości, jedne dlatego, że żyły z Przytyczyńską w przyjaźni, inne, że jej nie cierpiały. Potem pomknęły starsze dzieci, które miały polecenie pilnować młodszych, nakoniec i młodsze wykradały się z domów, na ulicę, w stronę kościoła, same nie wiedząc czemu, dlatego po prostu, że wszyscy spieszyli w tę stronę, a tu i ówdzie

za bosym malcem, drepcącym drobno, pokręcając ogonem cwałował pies.

Ślub był nadzwyczaj suty, ponieważ obie strony chciały się pokazać. Przedmiot podziwu — z przyczyn czysto lokalnej natury — stanowił welon panny młodej, jedwabny, ogromny.

Kobiety szeptały do siebie na jego widok:

— Ale se nie żałowała welona...

— Taka powinna powiesić za dwie.

— Pewnie. Niech choć na chwałę bożą wisi.

Kłobuchowa jedna z całego miasta nie była w kościele. Nie wyszła nawet na próg posłuchać relacyj tłumem wracających mieszczan, jak gdyby ją to wszystko nic a nic nie obchodziło, a kumy szeptały: — »musi być wściekła« — znając szczegółowo skandal, głośny przed dwoma laty, dzięki któremu mąż Kłobuchowej, niepospolity hulaka, skompromitowawszy Wandę Przytyczyńską romansem, doprowadzonym do następstw, które odebrały jej prawo nazywania się panną, oraz zniszczywszy mienie żony pofałszowanemi wekslami — zniknął bez śladu.

Nazajutrz po weselu sąsiadki Kłobuchowej, wychodząc przed swe domki, dzieliły się wrażeniami z ślubu. Orszak liczył czterdzieści osób.

Było siedmiu dzierżawców i jeden posesor. Błyszczało się wszystko od atłasów, złota i drogich kamieni. Ozdobą orszaku były córki dzierżawcy z Łanów, uchodzące w okolicy od lat kilkunastu za piękności, chociaż były nieco przytłuste. Udzielały sobie dalej babiny szczegółów, tyczących się uczty weselnej, wyliczały dania, spierały się o smak sosów, których żadna nie miała w ustach, i liczbę tańców, które obserwować mogły tylko na cieniach skaczących po firankach okien. Bawiono się do białego dnia.

— Żebyś pani widziała welon?!... — zawracając z podziwu oczyma wyrzekła grzejąca ręce na brzuchu, pod fartuchem, Fałdzińska, sąsiadka Kłobuchowej od lewej ręki, do Drucikowej, mieszkającej na prawo. — Mówię pani: szczery jedwab! a delikatniusienieczki jak ta chmurka na niebie...

Drucikowa odrzekła:

— Ustroi Najświętszą Pannę, ustroi!... — i obie, krzyżując na cały głos te uwagi poprzed frontem domostwa zdradzanej niegdyś i bitej, nakoniec opuszczonej żony, doznawały czysto ludzkiej rozkoszy na myśl, jakiemi ostremi szpilkami muszą być ich słowa dla Kłobuszyny, która

zapewne z przyłożonemi do drzwi swych uszyma słucha, o czem mowa. Gniewało je tylko jej milczenie, jak każdego, kto szuka zaczepki gniewa i upokarza spokój napastowanego.

Czuły się też zawiedzionemi w swych skrytych oczekiwaniach zemsty ze strony Kłobuchowej.

Okradziona za sprawą Przytyczyńskiej z szczęścia małżeńskiego i części mienia, powinna była, ich zdaniem, zmącić nieco przebieg uroczystości weselnej, coby się przyczyniło niepospolicie do urozmaicenia cichego życia w miasteczku. Tymczasem porzucona żona nie czyniła nic w tym kierunku, modląc się tylko dzień w dzień żarliwie przed figurą Matki boskiej, wznoszącą się na ulicy tuż przed jej domem, jak gdyby wszystkie swe cierpienia i krzywdy niebu oddawała w ofierze, Tej, która była szczególną patronką kobiet zamężnych w Śmietniczynie i niby jej dłużniczką, nie dawszy jej, za jej nabożność, zaznać w pożyciu z mężem niczego więcej prócz ustawicznych hałaśliwych i bolesnych wojen o zdrady jego i jej pieniądze.

Figura ta Matki boskiej, niewielka, drewniana, malowana w kolory, na wysokim jak półtora

chłopa murowanym słupie, w ogrodzeniu i pod daszkiem, była swojego rodzaju osobliwością w miasteczku.

Każda świeżo wyszła za mąż Śmietniczanka — wyjąwszy zamężne po raz drugi — nazajutrz po ślubie udawała się pod figurę Najśw. Panny i składała jej na ofiarę swój welon ślubny, biały, dziewiczy, w którym rozstała się z panieństwem. Welonem tym, zarzuconym na główkę posążku, okrywało się postać Matki Bożej, przyciskała go z góry mosiężna korona. Wotantki przypisywały świętej figurze cudowne moce, zsyłania szczęścia w pożyciu i obdarzania potomstwem lub wstrzymywania go, w miarę potrzeby. Tak jak dobre zachowanie się lekkiej gazy uważane jest za pomyślną wróżbę, tak złym jest znakiem, jeżeli deszcz i wichry zbyt welon poszarpią, zanim nowa mężatka swój na miejscu dawnego zawiesi, a najgorszym, jeżeli welon przed czasem zniszczeje.

Wskutek tego rozmaicie wykładano związek historyi małżeńskiego pożycia Kłobuchowej z losami jej welonu, który na podziw długo i pięknie utrzymywał się na głowie statuy, choć jego właścicielka i ofiarodawczyni najnieszczęśliwszą

była z swym mężem. Lecz skoro mąż ten wyrodny, uważany przez kobiety za dyabła wcielonego, nagrzeszywszy w Śmietniczynie co niemiara, opuścił żonę — wiara w nieomylność proroctw welonu umocniła się napowrót. Nie jestże bowiem szczęściem prawdziwem dla kobiety pozbyć się raz na zawsze takiego jak Kłobuch draba?!...

Marceli Dudniewski, choć nie tubylec, znał obyczaj wieszania welonu, pierwsza jego żona bowiem była również Śmietniczanką. Więc z popędu ludzi niemłodych, odmładzania się wrażeniami młodości, po dniu spędzonym w domu teściów na pocałunkach i pieszczotach z młodą żoną i pożegnaniach z rodziną, ponieważ gospodarstwo i dzieci nie pozwalały mu tu bawić dłużej — szepnął do Wandy w czułym żarcie:

— Czas welon duszyczko ofiarować Matce Boskiej! Już on się tobie nie należy.

Ostatnie słowa zaakcentował z wyraźną dumą.

Odpowiedziała mu klapsem i odwróciła twarz, nie będąc pewną, czy się rumieni dość mocno.

Nie bardzo była radą jego przypomnieniu, zważywszy, że figura wznosiła się przed samemi oknami tej, z której mężem spożyła niegdyś fa-

talne jabłko grzechu. Lecz łamać zwyczaj, nie postało w jej głowie. Znaczyłoby to wyzywać niełaskę bożą. Szepnęła więc tylko:

— Później pójdziemy... jak się ściemni.

Mężowi wydało się to całkiem naturalnym objawem wstydliwości, który go cieszył.

Późno już, po godzinie dziewiątej wieczorem, przy blasku gwiazd wyruszyli oboje, on tak przyjemnie wzruszony tym obrzędem, który był niby drugim, cichym ślubem, niby prośbą o błogosławieństwo dla pierwszego, wymienionego już między młodem małżeństwem pocałunku, ona wzruszona także, ale i trochę wylękła. Z niepokojem śledziła zdala okna domów z tej strony uliczki z figurą, gdzie było domostwo Kłobuchowej. Niektóre z okien były jeszcze oświetlone, u Kłobuszyny jednak, pod samą Matką Boską, było we wszystkich ciemno. Na ten widok Wanda doznała ulgi i odzyskała nieco spokoju.

Podeszli do świętej figury.

— Jakże ty to, Marcyś, zrobisz? — spytała szeptem z sercem bijącem, zawstydzona do pewnego stopnia kłamliwością tego aktu.

Głośniej, z pewnego rodzaju przechwałką, odrzekł:

— Zobaczysz aniołeczku. Ja to już raz przecie robiłem.

Wspiął się na okalające statuę sztachety i podniósłszy ręce w górę, zdjął z głowy figury koronę, zaciśniętą mocno, a potem strząsnął z niej strzępki zetlałego muszlinu, żartując:

— Oho! to nie twój, świeżutki, bielusieńki... Dajże go z łaski swojej Wandziu.

Nachylił się z wyciągniętą do niej ręką.

Ona, niespokojna, wydobyła szybko z pod sukni zwitek delikatnej gazy i właśnie miała mu go podać, gdy nagle drzwi domku Kłobuchowej otworzyły się i właścicielka z lampą w ręce, z twarzą pełną wściekłości, stanęła na progu.

— Co to?... welon?!... — zawołała drżącym z wzruszenia głosem wyzywająco do młodych małżonków, którzy zwrócili na nią oboje oczy, on obojętnie, ona pełna przerażenia.

Kłobuchowa tymczasem krzyczała dalej:

— Nie dam wieszać!... Nie pozwolę!... To święta figura!... to nie dla takich!... Nie dam wieszać... Święta figura... Przekleństwo boskie, gdybym dała... Zbudzę cały Śmietniczyn... niech powiedzą, co ona robiła... Męża mi ukradła...

zniszczyła mnie... A tak!... Nie wolno takim stroić Najświętszej Panny welonem...

Słysząc ten niespodziewany wybuch wrzasku, Dudniewski patrzył na rozindyczoną babę z swego wysokiego i niepewnego stanowiska ze zdumieniem z początku, jak na waryatkę.

Lecz zrozumiawszy treść jej zarzutów, spojrzawszy na bladą, strętwiałą Wandę i uwierzywszy, że ta charcząca z pasyi wiedźma nie kłamie, z osłupieniem chłonął przez chwilę haniebne wieści.

Naraz opanowała go wściekłość. Zeskoczył z sztachet i rzucił się ku Kłobuchowej z zaciśniętemi pięściami, wołając:

— Stul gębę!... — i zabierając się do bicia.

Lecz w tej chwili ujrzał we wszystkich oknach światła i oświecone niemi twarze a w drzwiach wyglądających za próg pół rozebranych ludzi. Wanda o kilkanaście kroków już, jak szalona, uciekała, wlokąc za sobą w powietrzu długą, białą smugę, którą tworzył welon, zaczepiwszy o jakąś szpilkę u jej stanika i rozwinąwszy się w biegu.

Wówczas Marceli poskoczył za żoną, zatrwożony, nie mogąc jej puścić samej, wołając:

— Wandziu! Wanda!... — bo, nieco ciężki w nogach, nie był w stanie jej dogonić.

Kłobuchowa tymczasem z zjadliwym uśmiechem tryumfu na twarzy pokazując za młodem małżeństwem, tak sromotnie obchodzącem akt zawieszania welonu, wołała ku uciesze sąsiadów:

— Teraz ty będziesz bita, tak jak mnie bił mój chłop... Teraz ty!...

Mamka.

— Czy to nie Bączyński, ten napuszony dudek w wysokim kołnierzu?... tam na prawo... prowadzi kobietę popielato ubraną...

— Tak, to państwo Bączyńscy.

— Ten mazgaj się ożenił?

— A raczej ożeniono go.

— Jakiż bestya śmieszny!...

— Przyszedł nim na świat. On nawet na katafalku będzie miał w sobie coś komicznego.

W tej chwili umilkli obaj, zagłębiając się w obserwowaniu Bączyńskiego, wspólnego ich kolegi z szkolnej ławy, jedynaka dwojga kuzynów, którzy pobrali się wbrew przestrogom lekarzy, zwanego »dziamą« w szkole, następnie »dziamą« wśród złotej młodzieży — »dziamą« w knajpie, w salonie i u kokotek, »dziamą« do dziś dnia wszędzie, chociaż, schwycony przez jakiegoś ojca sześciu gołych córek w pułapkę

narzuconej sceny uwiedzenia był, już mężem, ojcem i szefem jakiejś instytucyi, gdzie do szefostwa trzeba mieć dużo stosunków, dużo pieniędzy i dużo zdolności... cudzych. Typ dobrze wychowanego i bogatego zdechlaka, który z głupca zabawnego, stawał się z wiekiem głupcem poważnym, głupcem-seryo.

Okrążał właśnie, zbliżając się ku tamtym dwom, olbrzymi gazon publicznego ogrodu, prześliczną w słońcu mozaikę kwitnących roślin, którym deszcz po upałach przywrócił świetność barw i życie. Dokoła roiło się od spacerujących, w górze unosiły się kłęby pyłu, perfum i tonów orkiestry, grającej opodal jakieś operetkowe potpourri, które ginęły na wolnem powietrzu, rozbijając się o korony drzew, napół z gwarem tłumu, szelestem sukni i stąpań zmięszane.

Z tą sztuczną powagą, która nadęte miny głupców czyni uderzająco głupiemi, w nowiutkim garniturze, z twarzą bladą, na której natura zasiała rzadką płową bródkę skąpo, po włosku, jak los biednym wydziela grosze, kroczył chudy mizerak majestatycznie na swoich cienkich jak słomka i chwiejących się nóżkach obok młodej żony, wiodąc ciężarną, zmęczoną swym stanem

kobietę z śmieszną pompą i bardzo ostrożnie, jak coś niezmiernie kruchego i cennego zarazem, co łatwo może się stłuc, przyczem zdawał się mieć na ustach przygotowany okrzyk:

— Baczność panowie! kobieta w stanie poważnym!

Raz po raz rzucał przytem z pod oka spojrzenia promieniejące tryumfem na jej brzuch, pasąc się jego rozmiarami i zwracając na nie uwagę innych, jakby mówił:

— I cóż wy na to — he?!... Zuch ze mnie! Nieprawdaż?!...

Oddali mu obaj głębokie ukłony, jakie się czasem oddaje kpom przez złośliwą chęć utwierdzenia ich w ich głupocie, odwzajemnił je też z wyniosłością człowieka, silnie przekonanego o swej wysokiej randze.

W chwili kiedy tamci dwaj pasowali się z tłumionym uśmiechem, który im piersi rozsadzał, jeden z nich wydusił z siebie rozweselony:

— No i powiedz ty mi, proszę, czy nie trzeba być skończonym bałwanem, aby wlec tę biedaczkę zeszpeconą i chorą w taką ciżbę... Jemu się zdaje, że pokazując jej znękaną twarz

i opuchłą do potworności figurę, składa dowody bohaterstwa.

Ale trzeba ci było widzieć Bączyńskiego przed rokiem, kiedy mu się urodził syn, dziś już w gronie aniołków z powodu braku sił żywotnych, bo jest to już drugi jego czyn w tym rodzaju, ten, który co dopiero mieliśmy przed oczyma.

Wystraszonego, zaaferowanego, zdenerwowanego do najwyższego stopnia, spotkałem go, jak biegł po... mamkę.

— Syn czy córka? — zapytałem jakby mnie to co obchodziło.

— Syn! — wymamlał drżącym z bezbrzeżnej radości głosem.

Począłem mu naturalnie gratulować, bawiąc się upojeniem niedołęgi. Wyglądał jak nieprzytomny, rumienił się i śmiał jak brzydki podlotek, któremu powiedziałeś, że ma ładne oczy, a czasem twarz układała mu się w taki płaczliwy grymas z nadmiaru szczęścia, przekraczającego najśmielsze jego oczekiwania.

Wreszcie począł gorączkowo rozwodzić się nad doniosłością przewrotu, jaki wywołało w jego mieszkaniu, w jego duszy, w jego życiu, ukazanie się pierwszego owocu małżeństwa.

Udawałem, od niechcenia, że mu zazdroszczę, że go podziwiam, że mi zaimponował! To go tak rozczuliło, że począł mnie gwałtem zachęcać, abym się ożenił także i zakosztował podobnego szczęścia. Ale w tej samej chwili przypomniał sobie, że ma ono i ciemne strony, przynosząc tysiące nieznanych i niespodziewanych kłopotów.

— Teraz naprzykład biegnę po mamkę, trzecią już z rzędu! wystaw sobie. Dwie pierwsze straciły pokarm a żonie lekarz zakazał karmić, chociaż się upierała.

— I ty wziąłeś stronę lekarza?!... — rzekłem z udanem zgorszeniem.

— Cóż miałem robić!

— Co?... co?...

Przyszedł mi do głowy figiel, niewinna chętka nastraszenia go, jak straszy się bajką o upiorach, zdolnych w nią uwierzyć.

— Wszystko raczej — dokończyłem dobitnym tonem przekonania — niżeli brać mamkę!

Zaniepokoił się bardzo. Począł mnie wypytywać, zaklinając w imię naszego koleżeństwa, przyjaźni, w imię jego świętych obowiązków

ojcowskich, w imię ludzkości!... — abym mu wyznał całą prawdę.

— Bo wglądnij tylko w moje położenie. Zostałem ojcem a nie mam pojęcia, jak nim być. Wypytuję, kogo mogę, kupiłem książkę o pielęgnowaniu niemowląt, zapisałem trzy inne, chciałbym pochłonąć wszystko, co ludzie w tym kierunku wiedzą, ale nie rozumiem nikogo, niczego, boję się iść za radami, aby nie palnąć głupstwa, w głowie mi się miesza!... Więc co do mamek, mój drogi, żebym nie zapomniał, — co masz przeciwko mamkom?...

Wyrzucił z siebie to długie, pełne przejęcia, zwierzenie stroskanego ojca tak blizko mej twarzy, a przedewszystkiem mego nosa, że zrozumiałem naraz, skąd się bierze to tak niezwykłe u »dziamy« napięcie uczuć i inteligencyi. Bączyński pachnął silnie alkoholem.

Odparłem wtedy seryo:

— Dziwię się, że tego sam nie wiesz. Jakież to kobiety zostają mamkami?... Prawie zawsze upadłe dziewczęta.

— Więc co z tego? — zapytał oszołomiony zagadką.

— Jeszcze nie domyśliłeś się?... Nie mówię

już o zdrowiu fizycznem kobiety karmiącej, które udziela się karmionemu przez nią dziecku. Ale są inne jeszcze, nie mniej ważne, może ważniejsze rzeczy natury moralnej. Któż wie, jakich skłonności nabiera istota, żywiona piersią cudzołożnicy...

Skrzywił się i sarknął na ostatni wyraz.

Ja mówiłem:

— Nie bądźże dzieckiem! Czyliż tak nie jest w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto?... Uwiedziona dziewczyna, to jest dziewczyna z chwiejną etyką lub bez żadnej, zostawszy matką, idzie na mamkę. I ty powierzasz jej swoje dziecię! Twój syn ssać będzie jej mleko!...

Począł się drapać w bródkę i wylękłemi oczyma biegać po mieście.

— Tracę głowę, dajesz mi wiele do myślenia!... dziękuję ci za to — szepnął, uroczyście wstrząsając mi rękę, jak gdybym mu uratował honor lub życie. — Nie wiem jeszcze, co zrobię, ale muszę to rozważyć, o! muszę. To bardzo, bardzo ważna rzecz!!... Ja to rozumiem doskonale.

Istny cud, żem mu w oczy nie parsknął.

Zaledwie jednak zniknął, już zapomniałem o mym żarcie.

Naraz, w dni kilka, dowiaduję się od znajomych, że Bączyński rozbija się za mną dorożkami po mieście.

Wieczorem dopiero wpadł na mnie jak bomba, wyskakując z dorożki w chwili, kiedy biegłem ulicą za jakąś wcale zgrabną kobietką, i nie zapytawszy, czy się zgodzę, pociągnął mnie ku dorożce, wsadził w nią i zawołał »jedź« na furmana, wskazując swój adres.

Zadyszany, z radością ale z lekkim wyrzutem, zaczął:

— A, bój się Boga! gdzie ty się podziewasz?!... Ani rusz cię znaleźć, a mam do ciebie taki ważny interes.

— No?!...

— Wziąłem mamkę.

Wytrzeszczyłem na niego oczy, zdumiony naciskiem, z jakim wygłosił tę wieść. On zaś mówił:

— Nie gniewaj się, musiałem. Lekarz stanowczo zakazał żonie karmić a flaszeczka wychowuje zawsze wątłe dzieci. Tak było ze mną. Zresztą nie spuszczałem z oczu tego, co mówiłeś o mamkach. Oddaliłem trzy!

— Nowe trzy?!

— Tak. Wydały mi się podejrzane.

— W jakim względzie?

— Swej moralności.

— Badałeś ich konduitę?

— To było zbyteczne. Z oczu im grzech patrzył.

— Tak wyraźnie!!...

— Uhm. Ale obecna wydaje mi się klejnotem. Lat dziewiętnaście, świeża, niewinna...

— Mężatka?

— Nie.

— A więc?

— Otóż to cała historya i dlatego cię właśnie szukałem. Chcę, abyś ją zbadał.

— Jakto?... ja?!...

— Nie odmówisz mi przecie tego?!... Ja już z nią przeprowadziłem małe śledztwo, lecz jestem taki rozgorączkowany, nie ufam sobie. Ty to zrobisz spokojniej.

— Ależ, dla Boga, co ja mam robić?!...

— Wyegzaminuj ją. Przekonaj się, czy można powierzyć jej dziecko, bez obawy o... jego przyszłe instynkta... Jak dotąd, zdaje mi się, że to dziewczyna bardzo spokojnego temperamentu.

— Nie życzysz więc sobie, aby twój syn był

gorącym?... Sądzę, że jako ojciec powinienbyś raczej, dla jego szczęścia...

— No tak, no tak... ale z drugiej strony...

Myślałem, że pęknę! Wziął całą mą bajkę na seryo!...

Podczas kiedy przeciążał mnie materyałem przygotowawczym, potrzebnym mi, jak sądził, do zbadania duszy mamki, kreśląc przy tem bardzo pochlebny wizerunek dziewczyny, zapytałem go przy wysiadaniu:

— Brunetka czy blondynka? — przepadałem bowiem wówczas za brunetkami.

— Brunetka — odparł skwapliwie, pytając z pewnym niepokojem: — A czy to ma jaki wpływ?...

Weszliśmy cicho, na palcach, do mieszkania, gdzie panował cały nieład i wszystkie wonie, jakie ukazują się w gniazdkach małżeńskich wraz z pieluchami i kołyską, tym małym mebelkiem rozpoczynających egzystencyę ludzi.

Bączyński, mocno wzruszony, jak przed nader ważną konsultacyą, rozebrał mię, usadowił niby sławnego lekarza, i szepnąwszy niezmiernie obiecująco:

— Zaraz ci go pokażę — zniknął za progiem pokoju żony.

Wrócił z obojgiem, z mamką i z dzieckiem.

Sprawiła mi niespodziankę. Była w całem słowa znaczeniu śliczną dziewuchą. Biała, lekko zarumieniona, o pełnej szyi, bujnym a nie zdeformowanym biuście i dużych, czarnych oczach, miała wyraz twarzy pogodny i zdrowy, jak niebo pięknego dnia. Była przytem brunetką! Spodobała mi się bardzo.

Wtem usłyszałem Bączyńskiego:

— Jakże ci się podoba?

— Śliczna — odparłem szczerze.

Lecz spostrzegłszy, że chwalę nie to, o co pytał, dodałem: — Śliczna dziecina.

I teraz dopiero zwróciłem uwagę na małego, czerwonego, sapiącego potworka, przyczepionego jak wampir do białej i aksamitnej piersi dziewczyny, z której ssał życie.

Wzruszony mem słowem, Bączyński uścisnął mnie za rękę z iskrzącemi oczyma, a odprawiwszy gestem mamkę, która zawstydzona biegającemi łakomie po jej kształtach spojrzeniami memi, ukryła oczy w rzęsach — rzekł:

— No, a ją jak znajdujesz?

Chciałem przybrać poważną minę specyalisty od moralności mamek, pytanego o opinię. Nie udałaby mi się jednak ta gra, więc żartobliwie odrzekłem:

— Iluż godniejszym twój malec zabiera taką łanię!

— Jakto: »godniejszym«?... — spytał z pewną urazą.

— No takim, co mają lat — nie dni — dwadzieścia kilka.

Z uśmiechem odparł, szczypiąc mnie w ramię:

— Łobuzie jeden...

Lecz to mu nasunęło pewną myśl.

Zciszonym głosem, wziąwszy mię wpół i odprowadziwszy w kąt, jak osoba poważna wiekiem, gdy udziela rad młodzieńcowi, rzekł:

— Tylko też proszę cię, mój drogi, ja cię tu z nią zostawię sam na sam, ale pamiętaj: żadnych figli!...

— Bądź spokojny — uszanuję ją, choć wyznam ci otwarcie, że sprawi mi to pewną trudność.

W parę chwil potem dziewczyna powróciła, tym razem bez małego opoja, który napiwszy się do syta, zasnął przy matce, sama zaś udała się ze mną do salonu, gdzie miałem przekonać się, o ile jest godną karmić młodego Bączyńskiego.

Do licha! przyjrzawszy się jej raz jeszcze swobodnie i zblizka, co innego zupełnie miałem na myśli. Zbierało mi się przytem na śmiech. Lecz trzeba było dotrzymać słowa temu głuptasowi. Począłem ją tedy rozpytywać o jej dom, stosunki, przeszłość, dobywając z zmięszanej ciekawością obcego człowieka każdy szczegół mozolnie, jak się wyciąga z drzewa gwoździe, silnie w niem tkwiące.

Nakoniec, w jakieś pół godziny, słysząc od czasu do czasu pod drzwiami szmer, zapewne kroków Bączyńskiego, który przychodził skontrolować, o ile trzymam się zakreślonych mi granic poufnej rozmowy, — poznałem cały przebieg romansu tej »upadłej«, dziwnie prosty i krótki, opowiedziany naturalnie i szczerze, z pewną nieśmiałością ale bez zawstydzenia, jak rzecz zwykła, ludzka, niemal błaha.

Dziewczyna miała matkę i kilkoro rodzeństwa, na nich wszystkich dom i krowa. Aby to obżywić, utrzymać, trzeba było chodzić do robót we dworze. Władzę nad robotnikami miał »machanik« od dworskich maszyn. On najmował, godził, przydzielał, dozorował i płacił, od niego zależała wysokość zarobku i lżejsza lub cięższa praca.

Pewnego razu kazał dziewczynie przyjść do swego mieszkania, wieczorem.

Przyszła, poddając się ślepo, bez sarkań i bez walki, wszechmocy dworskiego sługi, od którego zawisł byt jej i jej rodziny. Odtąd była jego kochanką i odwiedzała go, ile razy kazał. Po trzech miesiącach jednakże przestał ją wzywać i od tej pory nie widziała go więcej, nawet po urodzeniu dziecka.

Kiedym zapytał, dlaczego nie powiedziała mu przecie, że został ojcem — zdziwiła się.

Ona miałaby mu to mówić! Ona sama?!... Co znowu. To byłoby »niepieknie«.

Nie pojmowałem tego rozumowania.

— Toż powinien ci był dawać przynajmniej

na utrzymanie dziecka, jeżeli się już nie chciał z tobą żenić.

Odpowiedziała uśmiechem, jakim przyjmuje się poglądy naiwne lub dzikie. Z pogodną dumą oświadczyła, że sobie sama dziecko wychowa; dlatego właśnie poszła za mamkę, aby zarobić na swoich, na krowę zwłaszcza, która żywiła dom cały.

To wszystko.

Czy słyszałeś kiedy o takim upadku?... bez miłości, bez zepsucia, bez tragedyi, bez gwałtu, wśród ciężkiej pracy, w pojęciach prostych i ludzkich?...

Cała historya uwiedzenia i macierzyństwa, z którą u nas tyle hałasu się robi, miała tu przebieg spokojny i prosty jak siew i żniwo na wsi. Potrzeba było, stało się — i koniec. Nie ma nad czem wzdychać, spazmować i stroić fałszywie wstydliwe minki ofiary niegodziwości. Jedyna rzecz, która wydawała jej się wstydliwą, to: przypominać kochankowi, że jest ojcem jej dziecka, brać od niego pieniądze, gdy sama była dość zdrową i silną, aby na nie zapracować. Jedyny kłopot w całem zajściu stanowił ciężar utrzymania krowy-żywi-

cielki w małem gospodarstwie, któremu ubyła jedna siła robocza a przybyła jedna gęba. Lecz to się jakoś ułoży.

— A ludzie we wsi, dokuczali ci? — spytałem.

— Z początku. Potem przestali.

— A ksiądz?

— Powiedział ino, żeby ochrzcić.

To było wszystko. Na tem kończyły się dzieje jej upadku, proste jak jej sposób mówienia, jak jej uczucia i myśli. Na czem tu osnuć operę?...

I o jej obyczajność niepokoił się Bączyński! ze względu na swego charłaczego bębna, któremu z zielonych pól, z świeżego powietrza wsi, przynosiła ta dziewka dorodna i czysta swe zdrowe mleko, aby zastąpić w najpierwszych obowiązkach macierzyństwa jego wątłą, niezdolną ich podjąć żonę, — aby o jedno chociaż jeszcze pokolenie przedłużyć gasnący ród spróchniałka, któremu przodkowie zostawili herb, koligacye, majątek, słabe nerwy, zepsutą krew, który do dziesiątego roku życia nie słyszał, nie skończył szkół, bo go zabijały, od urodzenia się leczył, ratował się rtęcią od

zgnicia, morfiną od *spleenu,* małżeństwem od ostatecznej melancholii a kawiorem i ostrygami pomagał sobie do szczęścia miodowych miesięcy...

I to się rozmnaża!...

Pokusa.

Paweł, wróciwszy z warsztatu do domu po godzinie siódmej wieczór, z przyjemnem zdziwieniem ujrzał w kącie pokoju, przy oknie, obok wynędzniałej i znękanej chorobą twarzy żony, świeżą i rumianą twarz Felki, siostry żoninej, która zaraz po jego wejściu wstała i poczęła się krzątać około podania mu kolacyi.

Od kilku dni planowano, że ze względu na przedłużającą się rekonwalescencyę położnicy trzeba będzie wziąć którą z jej sióstr do domu, aby doglądała gotowania i słudze nie pozwoliła całemi godzinami zbijać bąków.

Z początku była mowa o Ludwice, ospowatej i podstarzałej dziewczynie, która obecnie, w »martwym sezonie« mody, była bez zajęcia. Widok ładnej Feli w miejsce tamtej uczynił też na Pawle takie wrażenie, jakie wywiera pojawienie się

przysmaku na stole w chwili, kiedyśmy się spodziewali potrawy obrzydłej.

Z fantazyą zdrowego mężczyzny, który rozprostowuje plecy po dziesięciu godzinach twardej pracy, jak gdyby to była lekka zabawka — od progu jeszcze zawołał podmajstrzy wesoło:

— Fela! jak się masz!

Potem przystąpił do łóżka żony, pocałował ją, nachyliwszy się, w usta, i spytał:

— Jakże tam kobieto?... bo ja już czekam córki...

Ucieszona jego powrotem, udała, że go strofuje, wskazując głową Felkę i mówiąc:

— Uważajże na pannę...

— Iii — odparł żartobliwie — niech się ta dziewucha pomału uczy. Darmo to ma siostrę za mężem?...

I mrugnął na Felę, a ona, uśmiechając się zlekka tym osobnym, powściąganym uśmieszkiem, właściwym wrażeniom wstydliwym i przyjemnym zarazem, burknęła, niby urażona:

— Idźże szwagier.

— Albo co?! — zawołał wesoło, kontent z tłustego dwuznacznika, bez którego nie pojmował zabawy z kobietami.

Lecz żona, podnosząc brwi z obawy o sen kilkunastodniowego dzieciaka, śpiącego obok niej w kołysce, upomniała męża:

— Bój się Boga! zbudzisz Leosia!...

Poszedł do kolebki i po raz niewiadomo już który doznał niewysłowionej radości i graniczącego z zawrotem głowy zdziwienia na widok tego małego człowieczka, który był jego synem i budził w nim jakieś poważne myśli, dla niego samego jeszcze nie dość wyraźne i jasne, aby je mógł uświadomić, rozwinąć, wysłowić.

Ponieważ lubił żarty, odezwał się i teraz, z udaną podejrzliwością wpatrując się w rysy dziecięcia:

— Ciągle mi się widzi, że jakiś do Kaspra podobny...

Kobiety wybuchnęły po tej uwadze niepowstrzymanym śmiechem, Kasper bowiem, to był szpetny, kulawy, bezzębny staruch, krewniak obu sióstr, którego Paweł wybrał za przedmiot swej zazdrości o uczucia żony. Było to źródło mnóstwa dowcipów, podobnych jeden do drugiego jak dwie krople wody, ale pasujących Pawła, w kole znajomych i krewnych, na genialnego humorystę.

Potem usiadł do jedzenia i podczas kiedy Felka krzątała się po domu, pokazując mu swoją pełną, wysznurowaną figurkę z coraz to innej strony, począł zajadać odgrzane z obiadu flaki, przegradzając każdą łyżkę potrawy chlebem. Usta jego jadły równocześnie i mówiły. Całą treść dnia, ten powszedni dorobek wrażeń od rana do rana, wysypywał przed niemi. Opowiadał nowiny, spostrzeżenia, domysły, pytał, rozumował i żartował pełnemi jadła usty, nakoniec odsunąwszy cały aparat wieczerzy, oparł się oburącz na stole i odsapnął.

Milczał teraz przez długą chwilę, przypatrując się plamom i skazom stołu. Potem zapytał nagle:

— Fela zostaje?

Żona odrzekła:

— Zostaje. Nie mogę, bój się Boga, budzić się tyle razy w nocy do Józia. Ranom potem jak zbita. A że ona ma lekki sen, to go tam czasem pokołysze.

— Pokołysz Felka, pokołysz — prosił ciepło Paweł. — Moja ci to kiedyś odrobi, jak będziesz w takim samym interesie.

— Jeżeli mi szwagier nie da spokoju, jak mamę kocham wezmę i pójdę!...

Przy tej groźbie rzuciła mu jednak spojrzenie

wręcz odmiennej treści i przez chwilę mierzyła się zalotnie z jego wzrokiem, po za plecyma żony.

Wtem wyrzekł:

— Ale to na taki sposób gdzież ja będę spał?

— W tamtym pokoju na sofie — odparła żona.

— O la Boga! a gdzież nogi podzieję? Sofa na mnie krótka...

Postąpił ku drzwiom z lampą w ręku i mierzył przez chwilę sofę wzrokiem z za progu.

— A no, jak trzeba, trudno. To dla ciebie Fela

Postawił lampę i spytał:

— Gdzież ten młynek, naprawiłbym.

— Felka, gdzieś młynek dała?

Felka podała młynek Pawłowi, który, łakomy zajęcia, począł koło niego majstrować młotkiem i cążkami.

Wtem rozległ się skrzeczący pisk dziecka, jak szczekanie:

— Ehe... ehe... ehe...

— Widzisz... zbudziłeś Leosia... — szepnęła z wyrzutem żona. — Dajże temu teraz pokój.

I chwyciwszy ręką za brzeg kołyski, poczęła ją poruszać, przy usypiającem:

— Pśśś!... pśśś!...

Chwilę panowała cisza, pełna obaw wszystkich trojga o sen dziecka; Fela na palcach znosiła pieluchy, chodziła z rozporządzeniami dla sługi, zamykała czynności gospodarskie, wreszcie odpasawszy fartuszek, usiadła na łóżku, składając ręce na krzyż. Rozmawiali przez pewien czas o błahostkach, dopóki jedno po drugiem ziewać nie poczęło coraz przeciąglej. Wtedy nastąpiło: »dobranoc« — Paweł zamiast modlitwy polecił się niebiosom lakonicznem westchnieniem:

— O matko boska święta!... — żegnając się. Pogaszono lampy i obie kobiety zostały z dziecięciem, koło którego szeptały przez chwilę, znalazłszy coś jeszcze do omówienia, on zaś poszedł do drugiego pokoiku, gdzie zrzucając z siebie pojedyncze części ubrania, powtarzał mimowoli w wyobraźni ostatnie uśmiechy, spojrzenia i ruchy Feli. Potem wyciągnął się na kanapie na wznak, jak długi, opierając pięty na przystawionem krześle.

Było gorąco, jak w ciepły wieczór sierpniowy, nie przykrywał się więc niczem, a nawet rozpiął koszulę na piersiach. Z kuchni dolatywał go jednostajny szmer szczotki, którą sługa czyściła

obuwie, w sypialni stukały bieguny kolebki, po pokoju błądziła brzęcząc w ciemnościach jakaś mucha, cierpiąca na bezsenność, czasami zaś milkła, przysiadłszy, aby za chwilę puścić się dalej w tułaczkę po zamroczonym pokoju, do którego nie zajrzał jeszcze księżyc.

Paweł mimo woli zajął myśli Felą. Była ładną dziewczyną, zupełnie w jego guście, trochę mniej niż żona, lecz mniej przed rokiem, zanim ją poślubił, nie teraz. Fela była kokietką, nie dała przejść koło siebie spokojnie żadnemu mężczyźnie, który jej się podobał, Paweł zaś podobał jej się szczególniej. Raz mu powiedziała, że zbałamuciłaby go z pewnością, gdyby nie był narzeczonym siostry.

Bałamuciła go i tak.

Czasem zdawało mu się, że postanowiła go chyba tamtej odebrać. Przy ludziach była niby to obojętna, lecz gdy się znaleźli sam na sam, wystawiała na straszne pokusy jego młodą, gorącą krew.. Parę razy zapędziła się z nim tak daleko, że gdyby nie przypadek, przybycie trzeciej osoby, wołanie matki i t. p., byłby teraz prawdopodobnie nie mężem swej żony, ale szwagrem. Miał wiele kłopotu z tą obcesową

dziewczyną, która kusząc go do grzechu, pochlebiała równocześnie jego miłości własnej i narażała go na ciężkie wyrzuty sumienia, ponieważ kochał jej siostrę szczerze i pragnął jej być wiernym.

Potem ślub i miodowe miesiące oddaliły ich, uczyniły go na jej zalotność zupełnie nieczułym — aż do niedawna, kiedy widok znękanej twarzy żony i kwitnącej całą świeżością lat dwudziestu twarzy Feli zmuszać go począł wbrew jego woli do porównań.

Myślał więc o niej dzisiaj z tem zajęciem budzących się z uśpienia tajemnych pragnień, którego niepodobna zagłuszyć i które jej bliskość potęgowała do tego stopnia, że czasem, spostrzegając nagle, co się w nim dzieje, oburzał się w duchu na samego siebie:

— Bój się Boga chłopie! żona!!...

Wybiła godzina jedenasta, on jeszcze nie spał. Zrachowawszy uderzenia zegaru, poruszył się niespokojnie, przypominając sobie, że ma wstać rano o wpół do szóstej. Uczynił więc ciałem ruch taki, jak gdyby się nim chciał pogrążyć we śnie i obrócił się na drugi bok.

Ale w tem położeniu ujrzał przed sobą jasny

blask księżyca, z ukosa rzucony na ścianę. Zamknął przemocą oczy, by nań nie patrzeć i zamkniętemi ujrzał — Felę.

— Nie ma co... opętała mnie — pomyślał.

Przyznał się sam przed sobą szczerze, że opanowała go zupełnie, że mu bez niej źle, że czując ją o dziesięć kroków od siebie i trzymając się zdala od niej, wystawia się na ciężką i męczącą próbę.

Daremnie starał się myśli w innym zwrócić kierunku. Nie on kierował już niemi, lecz ona z po za ściany, jej spojrzenie, którego blask przeszywający rozniecił w nim tego wieczora ognie, cicho dotąd tlące.

— Co ona też sobie myśli?... — zapytał się w duszy pod wpływem tej ciekawości: ile dziewczyna pragnie a ile udaje tylko? — która tylu miłostkom daje początek w żartach bezmyślnych, w przelotnie rzuconem słowie, spojrzeniu, uśmiechu. Niepewność istotnych chęci dziewczyny dodawała mu bodźca.

— Może właśnie dlatego do nas przyszła?... — domyślał się dalej.

W końcu wszelkie kombinacye i rozumowania stłumiła w nim obłudna ciekawość: czy też już za-

snęła? — maskująca po prostu skrytą żądzę zobaczenia jej.

Wstał cicho z kanapy, poszedł do drzwi na palcach i wśród nieskończonych ostrożności podnosząc je za klamkę ku górze, aby tarcie zawiasów nie wywołało zgrzytu, otwarł je powoli, rozkładając pracę jednego szybkiego ruchu ręki na czas długi.

Serce mu biło przytem i język wysechł.

Gdy rzucił wzrok w głąb pokoju — dreszcz po nim przepłynął od stóp do głowy.

I tam księżyc posłał strumień swych bladych promieni i rzucił je na łóżko Pawła, na którem dziewczyna, dręczona gorącem, zrzuciwszy z siebie wszystko, spoczywała w pełnej wdzięku pozie młodego kształtnego ciała.

W tej chwili oddech mu zaparło i uczuł jakby odurzenie — naraz Fela podniosła głowę w jego stronę i czy go dojrzała czy domyśliła się, okryła się coprędzej.

— Nie śpi! — pomyślał uradowany i cofnął się od drzwi, dysząc, nie wiedząc, co uczynić, pragnąc pozostać w miejscu, patrzeć na nią dalej, pójść do niej, myślą porywając dziewczynę w objęcia, pomimo że nie miał do jej pokoju wstępu,

tak jak dusza człowieka skrępowanego więzami wyrywa się do tego co mu jest najmilszem, najbardziej upragnionem, choć ciało pozostaje bez ruchu.

Stał chwilę, wysilając się na odszukanie sposobu zbliżenia się do Feli. Nie było go, i na tę myśl przeniknęło go na wskróś uczucie niewysłowionej męki, dochodzące niemal do skargi.

Naraz spostrzegł niepraweść swych zachceń, przypomniawszy sobie żonę.

Powiedziawszy sobie w duchu:

— Toby było ostatnie świństwo — otrząsnął się jednym porywem woli z pokus i odszedłszy od drzwi, położył się napowrót na kanapie z stanowczym zamiarem spania. Zaczął skruszać swe sumienie wspomnieniem mąk, jakie przechodziła jego biedna żona, aby go uczynić ojcem. Zaczął się okłamywać rozpamiętywaniem czasów przedślubnych i miodowych z nią miesięcy, zaczął w swej wyobraźni stwarzać pozory dawnych pragnień. Z trudnością je jednak w sobie odnajdywał i dziwnie były blade. Gasły wobec płomieni, zapalonych w nim widokiem innej, drugiej, nowej kobiety, o której myśl sama przyspieszała w nim serca tętno.

Na wspomnienie żony tętno to pozostawało spokojnem. Uczucia, które dla niej żywił, były inne; kochał w niej żonę, nie kochankę.

Nagle usłyszał szelest w stronie drzwi i równocześnie coś go wstrzymało od podniesienia głowy. Czekał. Szmer lekki jak lot muchy, zdawał się zbliżać. Serce zaczęło mu bić gwałtownie, przysiągłby, że to ona, Fela.

Zapominając wtedy o wszystkich swych postanowieniach, o całem oburzeniu jednej chwili, jakiem piętnował niedawno swe żądze, uczuł szaloną radość, że przychodziła tutaj do niego, jak gdyby zmuszona jego westchnieniami, radość, jaką tylko przybycie na pierwszą schadzkę ukochanej wzbudzić może w chwili, gdy się już o niem zwątpiło.

Bojąc się spłoszyć ją, przymknął oczy i leżał na swem posłaniu bez ruchu.

Ona zbliżała się na palcach, w bieliźnie, zatrzymując się co krok, dopóki nie znalazła się przy nim.

Wówczas, odchyliwszy zlekka zmrużone powieki, ujrzał, że oparta nagiemi ramionami o dwa brzegi kanapy, patrzy w jego twarz, schylona

nad nim tak blizko, że aby ją pocałować, wystarczyło usta podnieść nieco.

I nie mogąc dłużej zapanować nad sobą, uwięził ją jednym nagłym jak błyskawica ruchem ramion w swym uścisku, przyciągnąwszy do siebie z całych sił i wpił się w jej usta ustami, które cicho, bez ruchu prawie, wydarły jej pocałunek.

Jednak ona zaczęła mu się wydzierać tak gwałtownie, że mimo swej przewagi zmuszony był puścić ją z obawy hałasu. Zatrzymał tylko jej rękę w swojej a widząc, że się zabiera do odejścia, zawstydzona i przelękła, pomimo, że sama tu przyszła, ruchem głowy i ciała, nie uwalniając jej ręki, wyraził, że ją prosi, błaga, zaklina, aby została, i podniósłszy się, objął ją i pociągnął ku oknu, z po za którego budził ich do miłości czarodziejski obraz przedmieścia, którego brzydota zmieniła się w cud pod bladym, łagodnym, zielonawym blaskiem pełni.

W powietrzu panowała cisza, dająca swobodę najdelikatniejszym uczuciom i myślom wzbić się i bujać po przestrzeni.

Dwa drżące ich ciała, przejęte jednem uczuciem, i dwie ich dusze proste, napół nieme, odu-

rzone jedną myślą, oczarowane pięknością nocy, która wyszlachetniła je, natchnęła obcą im poezyą i dobrocią, lgnęły do siebie coraz bardziej.

Paweł, uczuwszy, że opór dziewczyny słabnie, począł znowu składać ustami prośby na jej ciepłem, jędrnem, woniejącem młodością ciele, całował jej ramiona, szyję, włosy, skroń i przycisnąwszy wargi do jej ust, uczuł ich drgnienie a jednocześnie zobaczył, że powieki jej opadły, jakby omdlałe, na oczy przymgłonego blasku...

Ogarnął go szał...

Lecz naraz dziewczyna odtrąciła go, z szeptem:

— Leoś płacze.

Wstrząśnięci obawą oddalili się od siebie i pozostali chwilę bez ruchu, z nastawionemi uszyma.

Malec jednak spał; było to tylko złudzenie słuchu, niepokojem wywołane.

Mimo tego Fela pospieszyła do drzwi i zajrzała najpierw po za nie ostrożnie a potem weszła do drugiego pokoju, z którego dało się zaraz słyszeć dudnienie biegunów kołyski.

Paweł czekał, z zatrzymanym przez przera-

żenie oddechem jakiegokolwiek znaku, że żona zbudziła się, że nie śpi, że spostrzegła nieobecność siostry — a nie doczekawszy się, odetchnął, oceniając teraz dopiero myślą w całej wielkości niebezpieczeństwo, na jakie się narażał, gdyby się była zbudziła...

I w pierwszym porywie obawy znalezienia się raz jeszcze w podobnem niebezpieczeństwie, aby się ochronić od niego i od wszelkich pokus, zamknął drzwi na klamkę i rzuciwszy się na sofkę, zasnął, zanim mógł odczuć nowy zwrot swej woli, zadowolony z odniesionego nad sobą zwycięztwa.

Rano, z powodu wczesnej godziny nie budząc nikogo z wyjątkiem sługi, wypił herbatę i z zwykłym pośpiechem poszedł do warsztatów.

Wróciwszy jednakowoż na obiad, zdziwił się zastając zamiast Feli, której obraz niepokoił go całe rano, jej siostrę Ludwikę, tę ospowatą, zwiędłą, brzydką.

— A Fela?! — zapytał żony od samych drzwi, jeszcze w czapce na głowie.

— Nie przyjdzie; ma robotę. Ludka u nas zostanie, aż będę mogła chodzić — odparła żona.

Paweł, zawiedziony, starając się nie okazać przykrości, jaką mu ta wieść sprawiła, pomyślał:

— To ona chciała... wczoraj... wrócić, i pogniewała się, żem drzwi zamknął. Cóż za osioł ze mnie!

Dziśby już tak nie postąpił.

Kobieta z gipsu.

Gdy Józia po raz pierwszy przekroczyła próg jego nędznego pokoju studenta, w którym były tylko książki, śmieci, stół, krzesło, łóżko i miska pod zimnym piecem, smród taniego tytoniu i lichego spirytusu do palenia, oraz naturalnej wielkości gipsowa statua nagiej kobiety, spuścizna po współlokatorze rzeźbiarzu — cofnęła się z okrzykiem strachu, ujrzawszy w blasku zapałki niespodzianie tę postać, tak podobną do żywego człowieka.

— Co ci się stało? — zapytał zdziwiony, regulując knot lampy i okrywając go cylindrem.

W kapeluszu na głowie, zmoczony deszczem, który ich miłostce, kryjącej się dotąd w ciemnych zakątkach publicznych ogrodów, kazał szukać schronienia pod dachem, obejrzał się na przyjaciółkę, przynoszącą mu na zimny wieczór

jesieni ciepło swych pocałunków do nieopalonego pokoju na najwyższym piętrze, owianem wichrami, bijącymi w szyby i hulającymi po strychu.

Dziewczyna z zdziwieniem i niedowierzaniem pewnem obchodziła figurę, obejmując wzrokiem stopniowo jej piękną nagość, zacząwszy od małych, zgrabnych stóp w biegu, aż do głowy, wdzięcznie wychylonej naprzód, z ruchem kokieteryi i lęku.

Odparła:

— Wyobraź sobie, myślałam, że tu ktoś jest.

On się rozśmiał.

— Ale fe! — rzekł. — To taka gipsowa, nieżywa, zimna facetka, strasznie nieskromna, jak mogłaś spostrzedz odrazu i przecudowna, co poznasz łatwo po bliższem przyjrzeniu się.

Patrzyła, milcząc, na odlew.

— Po cóż ty to trzymasz?

— Bój się Boga, bez kobiety ani rusz żyć! A skoro nie zawsze może się mieć u boku żywą, wzdycha się przynajmniej do takiej. Podoba ci się?...

— Ładna.

— Ba! życzyłbym ci, żebyś była taką.

Józia skrzywiła usta i odwróciwszy się wzgardliwie od posągu, bąknęła z dąsem:

— A to czemużeś mnie tu przyprowadził?...

— Moje kochane dziecko! Co znów żywa, to żywa!... i to jeszcze taka jak ty.

To ją ułagodziło.

— A widzisz?!... — odpowiedziała z radośnym śmieszkiem tryumfu. Zachowała jednak urazę do Wenery i spoglądała na nią z pod oka nieprzyjaźnie, szukając w niej czegoś do skrytykowania.

On tymczasem począł jej objaśniać antyk, unosząc się nad cudnemi liniami kobiecego ciała, którego nieśmiertelne piękno od dwóch tysięcy lat już budziło podziw i zachwyt, w którem starożytny rzeźbiarz z dwudziestu najpiękniejszych dziewcząt swej ojczyzny uwiecznił, co posiadały najpiękniejszego.

Józia słuchała z nieokreślonem niezadowoleniem, jak kobieta słucha zawsze pochwał mężczyzny, oddawanych innej. A kiedy porwawszy ją w objęcia, począł całować w obliczu wyniosłej statuy, zachowującej niezmiennie pełen niezrównanej gracyi ruch podanego naprzód gib-

kiego i kształtnego ciała — i wskazując na rzeźbę, mówił:

— Musi nam zazdrościć... — uwolniła się z jego ramion, niemile dotknięta tem, że całując ją, na tamtę patrzył. Kazała mu zgasić lampę i dopiero w ciemnościach zdołała zapomnieć wśród pieszczot o tem, że oprócz niej jest jeszcze u jej kochanka druga kobieta, wprawdzie tylko z gipsu.

Nazajutrz rano jednak zadziwił ją w przykry sposób widok tej zdającej się rozpędzać do skoku w łóżko, ślicznej, oślepiająco białej, nagiej postaci, o której zapomniała przez noc.

Ponieważ Janek wyszedł zająć się śniadaniem, wpatrzyła się w nią przy świetle dziennem przeciągle, z uwagą, taksując jej piękność, uznając ją, i uczuła w końcu wyraźne niezadowolenie, że Janek ma ją u siebie, porównywa ją z innemi kobietami, według niej uczy się oceniać ich wdzięki.

Gdy wszedł do pokoju, rozczochrany, nieumyty, z podniesionym kołnierzem surduta, pod którym nie miał jeszcze kołnierzyka, parskając i rozcierając ręce z zimna, pochwycił natychmiast jej wzrok, utkwiony w gipsie, i zawołał:

— Prawda, że cacana?!...

— Uhm.

— Więc czemu się na nią tak chmurzysz?

Milczała chwilę, nie spuszczając oczu z Wenery..

Potem rzekła niby obojętnie:

— Nie powinieneś tego tutaj trzymać.

— Dlaczego?

— Tak.

— To mi powód! Gdybyś powiedziała, że jest za ładną na mój nędzny pokój, albo, że jest gorsząco nagą, albo nareszcie, że jest niebezpieczną dla zdrowia — to nie mówię...

— Niebezpieczną dla zdrowia?

— Tak sądzi moja ciotka.

— Widziała ją u ciebie?

— Raczyła jej poświęcić jedno spojrzenie. No, w pięćdziesiątym roku życia trudno żądać od kobiety, aby dobrowolnie dręczyła się dłużej niż przez jedno mgnienie oka obrazem tego, czem się było — o tyle o ile — przed laty trzydziestu.

— Cóż powiedziała?

— Była zgorszona! Nie spodziewała się nigdy po mnie »podobnej rozpusty«! Nie wiem,

czy mogłaby się już bardziej oburzyć, zastawszy u mnie w takim samym negliżu coś żywego. Daremnie jej tłómaczyłem, że to jest arcydzieło, że to stworzył genialny artysta. Ciotuchna jest zdania, że genialnym artystą nie może być bezwstydnik, rzeźbiący kobiety bez żadnych sukienek. Radziła mi wyrzucić jak najprędzej to arcydzieło, ostrzegając, że może mnie ono dużo kosztować.

— A to jak?

— Ha! ha! ha! Zostanę »młodym starcem«!

— Dlaczego?...

— Dlaczego?... Hm... jak by ci to wytłómaczyć... Dlatego, uważasz, że statua jest taka piękna i taka naga. Kiedy się coś podobnego ma ciągle przed oczyma, to się o tem mimowoli często myśli a takie myśli szkodzą.

— Jak mogą szkodzić?

— Bo nam się pod ich wpływem w pewnych chwilach wydaje, że dzieje się coś, co się wcale nie dzieje... że ona żyje, że nas kocha, że należy do nas... a przynajmniej należeć będzie zaraz, natychmiast, lada chwilę... I omdlewa się wśród przeczuć rozkoszy, tak jak w snach, tylko, że to jest daleko szkodliwszem.

— Ale skąd twoja ciocia wie o tem wszystkiem?

— Nie umiem cię objaśnić. To zapewne samo z wiekiem przychodzi. Zresztą może była kiedy zbyt długo wystawioną na podobny wpływ statuy Apollina?

— Ha! ha! ha! to możliwe.

— Prawda?

— Słuchaj no, a ty się tak często... upajasz?...

— Czasami (całkiem przypadkowo) i wówczas...

— Cóż?

— Dałbym nie wiedzieć co za to, aby cię mieć przy sobie...

— Mnie?

— Tak...

— Aha! W zastępstwie!...

— W czyjem zastępstwie?

— Jej.

— Nie, co znowu!

Wypierał się, ale miał przy tem na twarzy uśmiech, sprzeczny z słowami.

Wtedy zamyśliwszy się na chwilę, rzekła tonem pewności:

— Twoja ciotka miała racyę. Powinieneś to wyrzucić.

Wpatrzył się w posąg z uśmiechem wystawionej na próbę miłości, która zna swoją siłę, wie, że nie ulegnie.

Poskoczył do nagiej bogini i objąwszy ją wpół, przytulił głowę pieszczotliwie do jej łona, mrużąc oczy w taki sposób, jak gdyby mu ta pieszczota niewymowną sprawiała rozkosz.

— Ją? — rzekł — nigdy!

Józia drgnęła gniewem tajemnej zazdrości, jaką budzić w nas zwykł widok cudzej rozkoszy, gdy w niej nie mamy udziału.

Z udaną swobodą zażartowała:

— Więc się w niej kochasz!...

— ...Chyba jak w pięknym obrazku.

— W każdym razie kochasz się, bo jej się nie chcesz pozbyć.

— Nie mam powodu.

— Radzono ci to.

— Gdyby kto inny, ale ta stara dziwaczka.

— A jeśli bym ja cię poprosiła, żebyś jej nie trzymał?...

— Byłby to kaprys.

— Zrobiłbyś mi wielką przyjemność.

— Doprawdy?... Ależ... w takim razie jesteś o nią zazdrosna!...

— Zazdrosna?!... Skądże?...

— Ale tak, tak, nie wypieraj się. To zabawne!!...

I roześmiał się z ironią, która odebrała jej odwagę dotykania dłużej tego przedmiotu.

Po śniadaniu jednakże, wychodząc, ostatnie spojrzenie, już z progu, rzuciła na Wenerę, w ślicznej pozie biegnącą teraz do Janka, którego z nią zostawiła sam na sam, i w drodze do pracowni myślała przez czas pewien o tej ślicznej, rzeźbionej kobiecie prawie tak, jak gdyby była żywą i mogła wzbudzać uczucia, jakie żywe wzbudzają.

Odtąd widok i przypomnienie posągu bogini sprawiały jej zawsze przykrość, nie dającą się wysłowić ani stłumić. Kilka razy próbowała, czy nie zdoła wyrugować tej martwej kobiety z mieszkania kochanka. Każda bytność u niego odnawiała w niej te skryte chęci. Za każdą bytnością Wenus tą samą pozą wesołą i lekką jak ciepły wietrzyk wiosenny, zdawała się stwierdzać w karmionej czułemi romansami wyobraźni kochliwej dziewczyny swe niezachwiane pano-

wanie w tem miejscu i szydzić z niej jak bóstwo, istota wyższa, potężna i czczona, szydzić może z słabych istot niższego rzędu, zdolnych wzbudzać małe tylko uczucia.

W dodatku raz Janek rzekł do niej z napuszystą deklamacyą pewnych odcieni humoru:

— Wiesz co ten posąg tutaj oznacza?... — To tryumf twojej płci! to twój posąg, kobietko!... Posąg twojej świętej, nieśmiertelnej bogini miłości, dla której na twych ustach, kapłanko, składa się ofiary...

Józia pochwyciła sens patetycznej tyrady w myśl swoich uczuć.

Więc ona była tylko dla niego uzupełnieniem tej rzeźbionej piękności, u niej szukał tego, czego od tamtej mieć nie mógł, od niej brał pocałunki, pieszczoty, szept miłosny, gorący oddech jej ust i namiętne drganie jej żywego ciała. W jej objęciach składał dla tamtej ofiary, w niej tamtę całował, w niej tamtę kochał, trzymając ją w uścisku, myślał o tamtej i tamtę miał przed oczyma, tamtę wyobrażał sobie na jej miejscu... Służyła mu za żyjące narzędzie do nasycenia miłości dla istoty z kamienia...

Wszystko to objęła jednym rzutem myśli,

uczuciem raczej niż myślą i gniew z urazą zawrzały w jej sercu, że w taki sposób oszukiwana stawała się pośredniczką miłości dla innej.

Przypomniała sobie od pierwszej chwili wszystkie jego słowa, odnoszące się do posągu nagiej kobiety, która o tyle była od niej piękniejszą, miała tak cudny wzrost, szyję, piersi, biodra, była tak gibką i zręczną; odtworzyła w pamięci każde spojrzenie, jakie na nią zwrócił, pełne miłości. I uczuła się naraz otwarcie, gwałtownie, niepohamowanie zazdrosną o tę gipsową kobietę, zazdrosną aż do żądzy walki, o jej ciągłą obecność, o ten jej czarujący widok, którym opanowywała jej kochanka, o władzę rozkosznych marzeń, jakie w nim niecila, o potęgę jej czaru nieprzystępnego, który ją czynił zawsze zarówno piękną i pożądaną, o niezwalczoną potęgę jej gipsowego chłodu, jej zimnej kokieteryi, jej sławy — wszystkiego, co z niej czyniło groźną rywalkę.

I wówczas, znalazłszy się wobec niej samą, spotkawszy się oczyma z cudownemi zagięciami jej czarującego ciała, uczuła dziką pokusę: zniszczyć ją, zabić...

Zbliżyła się, cała drżąca, do statuy i dotknęła jej boku.

Posąg zakołysał się.

Serce zaczęło jej bić mocno.

Obalić ją jednem pchnięciem i potłuc w kawałki tę zalotnicę bez serca w piersiach, bez krwi w żyłach, której obraz odurza mężczyzn i odwraca ich oczy, ich myśli od żywych — czy nie?... Miała ją w swych rękach, mogła każdej chwili zniweczyć ją, zdeptać, jak rywalkę. Widziała już w duchu z rozkoszą te czerepy, w które jednym wysiłkiem ręki zamienić może jej postać przecudną.

Ulegając potężnemu jak szał podszeptowi, oparła naraz rękę o chłodne biodro statuy, pchnęła i z uszyma pełnemi huku, jaki sprawiła figura, runąwszy na podłogę, na której rozbiła się w drobne kawałki i rozsypała naokół — z ukrytemi w dłoniach oczyma rzuciła się na łóżko, aby wcisnąć głowę w poduszki, jak dziecko, przerażone szkodą, którą zrobiło. Tak czekała powrotu kochanka, myśląc:

— Niech mnie teraz zabije! niech mnie zabije?...

Skoro wszedł i ujrzał, co się stało, w pierwszej chwili ogarnęła go wściekłość.

Ale zobaczywszy skuloną postać dziewczyny, dotknąwszy jej drżącego ramienia i odsłoniwszy przemocą jej twarz przerażoną — odkrył w nagłem jasnowidzeniu miłości własnej, że ten dzieciak kocha go prawdziwie, kocha bardziej, niż myślał, i z wybuchem śmiechu zawoławszy:

— Widzisz, że byłaś o nią zazdrosna!... — porwał ją w objęcia i całował bez końca, jak szalony.



Nieznajoma.

— Więc pan nie wiedziałeś, że jestem wdowcem, nie kawalerem?!...

Od lat piętnastu!

Tak jest, byłem żonaty. Ożeniłem się z miłości, z szalonej miłości, bo tylko taka popchnąć może człowieka, kochającego się na prawo i lewo, jak ja wówczas, do związania się z jedną kobietą na zawsze.

Ubóstwiałem moją żonę. Była bardzo piękną i bardzo dobrą. Miała prześliczne, kochające i wstydliwe oczy, dla których nasamprzód straciłem głowę. Była zgrabnie zbudowaną szatynką średniego wzrostu i tuszy, bladą, o włosach dziwnego odcienia, jak gdyby lekko zielonawych, zimnych, ślicznie odbijających od jej delikatnej, matowej cery, która nadawała jej rysom a szczególnie profilowi, niezmiernie subtelnemu, pozór wytwornej alabastrowej rzeźby o lekkiem zabar-

wieniu ciała.. Usta jej były małe, blade, trochę smutne, nawet w uśmiechu, który rozweselając całą jej twarzyczkę, mającą w sobie coś z tęsknego marzenia, oczy pozostawiał zawsze nietknięte, zamyślone i łzawe.

Tak, bardzo ją kochałem, zaślubiając...

Ale cóż! ja już wtedy byłem zepsutym, niezdolnym poddać się długotrwałemu uczuciu. Szalejąc przed ślubem, powróciłem po ślubie, po upływie miodowych miesięcy, do dawnego życia. Postąpiłem z moją żoną, jak się postępuje w powszednich, zmysłowych miłostkach. Oddałem się jej cały w pierwszym szale, a ugasiwszy go, zapomniałem o niej niemal zupełnie.

Miałem się wtenczas jeszcze bardzo dobrze. Było to za najświetniejszych czasów mego ojca, zanim z majątkiem i życiem padł ofiarą krachu giełdowego, który zburzył tyle fortun. Gdy się ma pieniądze na zaspokojenie każdego pragnienia, szuka się coraz to nowych wrażeń. I nie zastanowiwszy się nad tem, czem może być miłość w małżeństwie, po zebraniu jej kwiatów przestałem dbać o ogołoconą z nich roślinę, jedyną, jak mi się dzisiaj wydaje, godną, aby jej pielęgnowaniu życie poświęcić.

Zacząłem hulać jak dawniej. Żonę zaniedbałem zupełnie. Stałem się jej towarzyszem, grzecznym, lecz obojętnym. Siadaliśmy razem do stołu, jechali z wizytami i do teatru, i wymieniali czasem pocałunek, na dzieńdobry lub dobranoc.

Po półtorarocznem pożyciu, którego trzecia część zaledwie należała do niej, pewnego razu ojciec jej uczynił mi w poufnej rozmowie lekki wyrzut, że nie muszę zwracać dość uwagi na mą żonę, bo staje się z każdym dniem bardziej smutną i mizernieje.

Oburzyło mnie to. Sądząc, że skargą przed swymi rodzicami ściągnęła na mnie te niesmaczne wymówki, dość szorstko, jak na winnego, pozbyłem się teścia a nawet, w gorączce gniewu, uczyniłem mej żonie parę przykrych uwag za to, że robi z siebie ofiarę, i wystawia mnie na niczem nie zasłużone przykrości.

Skutkiem tego stosunki nacechowane były z obu stron odtąd jeszcze większą oziębłością.

Nie pamiętam doprawdy, kim byłem zajęty wówczas. Goniłem zdaje się za kilkoma naraz kobietami, od kilku równocześnie odbierałem listy, w chorobliwej żądzy zwycięztw nad żyjątkami,

których żywiołem było dać się zwyciężać. Nie było to już kobieciarstwo, lecz bachanalie rozpustnika z rozszalałemi nerwami.

Pewnego razu zaintrygował mnie w chaosie sztucznych podniet tego hulaszczego życia, złożonego z pijatyk i schadzek, tajemniczy bilecik, w którym pismem na pierwszy rzut oka zmienionem, prostemi słowy, bez podpisu, oświadczała mi swoją miłość nieznajoma kobieta, zapytując, czy zechcę się z nią spotkać.

Zdziwiło mnie to i zaciekawiło. Jedna więcej przygoda, i to tak dziwna, dlaczego jej nie spróbować.

Odpowiedziałem więc pod wskazanym adresem *poste restante* — że jedynem mojem marzeniem od chwili otrzymania tajemniczego bileciku, jest poznać jego autorkę, przeczucie bowiem mówi mi, że godną jest ubóstwienia.

Z wielką niecierpliwością oczekiwałem na odpowiedź, a kiedym poznał na kopercie pismo raz już otrzymane, zadrżałem z radości.

Treść jego była taka. Nieznajoma przyrzekała mi spotkanie pod jednym warunkiem: że nastąpi ono u mnie w domu i że uroczystem słowem honoru zapewnię jej *incognito*. — Dzi-

wne, niezwykłe, niepojęte żądanie, które określiła szczegółowo. W pokoju, do którego gotową była wejść, nie może być ani promyka światła, nie będę od niej żądał słowa, ani odkrycia twarzy, nie będę w żaden w ogóle sposób usiłował zbadać, kim ona jest, nie będę jej śledził.

Nie wiedziałem, co począć: zgodzić się, czy odmówić?... Obawiałem się jakiegoś złośliwego figla, kochanki brzydkiej lub starej, która w ten chytry sposób pragnęła wzbudzać miłość, nie pokazując twarzy.

Wahałem się i nie dałem odpowiedzi przez tydzień cały, sądząc, że znowu zostanę zaczepionym.

Ale po tygodniu milczenia z jej strony uległem ciekawości i posłałem jej żądane zobowiązanie, dodając, że przyjmuję je na siebie z zastrzeżeniem, aby żądająca go nie ukrywała w ten sposób czegoś, co mogłoby mi przynieść jakąkolwiek szkodę, lub ściągnąć na mnie śmieszność, choćby tylko w jej oczach.

Odebrałem na to odpowiedź długą i gorącą, tchnące szczerością wyznanie miłosne, które poruszyło mnie do głębi, budząc we mnie uczucie,

że jestem rzeczywiście i bardzo kochanym przez tę, co ten list pisała.

Potem wróciły obawy i skrupuły, wywołane jej uporczywem żądaniem tajemnicy. Gdyby jej bowiem szło wyłącznie o moją dyskrecyę, nie odważyłaby się chyba, nawet po mem przyrzeczeniu, że uszanuję jej *incognito*, odwiedzać mnie w mem mieszkaniu. Widocznie więc idzie tu o coś innego, widocznie musi mnie znać, wiedzieć, czuć, że gdyby dała mi się poznać, zbliżenie nasze byłoby niemożliwem... Dlaczego?

Daremnie zrażałem się do niej tem pytaniem, wywołanem tajemnicą, i zdającem się w niej ukrywać niebezpieczeństwem; wyzywały mnie one owszem nieprzeparcie.

Szydząc z siebie w niedowierzaniu ostatniej chwili, że dałem się ułowić awanturnicy jak dzieciak, jak dzieciak jednocześnie drżałem z niepokoju i rozkoszy oczekiwania na jej przybycie.

Wszystko było przygotowane jak chciała, okna, zakryte grubemi kotarami, sprzęty pousuwane pod ściany, w pokoju panowała zupełna ciemność.

Jakiegoż dziwnego uczucia doznałem, kiedy ściśle o oznaczonej godzinie turkot dorożki za-

trzymał się przed domem, a w chwilę potem drzwi otwarły się i wszedł ktoś, kogo nie widziałem wcale, jak duch bezcielesny.

Serce mi biło. Odszukawszy w ciemnościach rękę, ciepłą i małą rączkę kobiecą, uścisnąłem ją ze drżeniem, nie wiedząc w pierwszej chwili, co począć, co powiedzieć, jak się zachować, jak człowiek, który nie wie, kogo ma przed sobą?...

Jej ręka drżała także, bardziej od mojej, lecz nagle objęła mię za szyję a równocześnie na ustach uczułem pocałunek, od którego dostaje się zawrotu głowy.

Dziwnem, dziwnem było to miłosne sam na sam, w którem miłość z jednej strony wyrażała się tylko pocałunkiem, z drugiej, mojej, dawaną była na ślepo, jak duchowi, i z obawą, jak istocie nieznanej w całem słowa znaczeniu.

Upojony tem wszystkiem, chociaż i krępowany, kłamałem przed nią miłość, której nie czułem, bo dotąd byłem tylko bardzo zaintrygowany.

Zdumiałem się jednak, poznawszy, że nie przyszła mi się oddać, o czem nie wątpiłem ani chwili, uważając tę rzecz za załatwioną;

a obustronną, jak najdalej idącą swobodę uczuć w tych warunkach za całkiem naturalną.

Naraz, przed samem odejściem, rzuciła mi się znowu na szyję z taką namiętnością, która nie godzi się już z oporem...

Kiedy wybiegła, zostawiając mnie z świeżem wspomnieniem swego rozkosznego uścisku i swoich pocałunków, i kiedy odsłoniłem okna, przez które światło dnia wpadając, raziło mi oczy, opanował mnie prawie niepokój wobec tej niezwykłej przygody, w której zdawało się być coś nienaturalnego. Uczułem lekki strach przed tą dziwną kobietą, co oczarowała mnie swą wonią, swoim oddechem, uściskiem, szmerem swych ruchów i dotknięciem włosów, nie dawszy mi się poznać.

Po paru jeszcze spotkaniach byłem przez nią podbity. Zrobiła mnie swoim niewolnikiem, opętała, przykuła do siebie dwa razy silniej niż którakolwiek inna, pomimo, że wszystko to, co nas w pierwszym rzędzie pociąga do kobiety, jej postać, twarz, spojrzenie, uśmiech, ruchy, pozostało w niej dla mnie nieznanem. Znałem tylko jej pocałunek i uścisk jej ręki. Lecz jak wygląda kobieta podająca tę rękę?... jaką ma

twarz? cerę? oczy? włosy? jak się uśmiecha? jak mówi? jakim jest dźwięk jej głosu? jej wiek? dusza? Czy jest młodą, piękną, dobrą, wesołą, dowcipną, czy widok jej wywarłby na mnie ten sam czar, jaki zdawał się bić od niej, kiedy niewidzialna tuliła się do mnie i biciem swego serca wypowiadała mi tyle?!... Wszystko to było dla mnie zupełną tajemnicą i miało nią pozostać nadal, wedle zobowiązania, którego równem szaleństwem było, z jej strony, żądać, jak z mojej, dawać je.

Napisałem więc do niej list, pełen uwielbienia, pełen wdzięczności i miłosnych wyznań, błagając w nim, aby mi się dała poznać, aby przyrzekła przynajmniej, że to kiedyś nastąpi. Niechaj nie żąda odemnie tak wielkiej i męczącej ofiary, jak wyrzeczenie się widoku tej, którą ubóstwiam. Przysięgałem jej, że czegokolwiek bym się dowiedział wówczas, kochać jej nie przestanę — prosiłem jednak, by pozwoliła mi kochać w niej, jak kochają wszyscy, żywą, określonych kształtów istotę, nie widmo nieujęte, zdające się wcale nie istnieć.

Po odpowiedzi, jaką mi przysłała, do reszty

straciłem głowę i poddałem się całkowicie jej władzy, i jej kaprysom.

Wśród najczulszych zapewnień o swej szczerej, prawdziwej miłości dla mnie, oświadczyła mi, że jeśli sobie samemu tylko przypisuję męki z powodu tajemniczych i nienaturalnych warunków, w jakich miłość nasza jedynie istnieć może, bez których musiałaby się skończyć — to mylę się bardzo. Ona stokroć bardziej na tem cierpi, czując, że moje uczucia wyłudza, że nigdy nie jest w stanie pozyskać ich w tym stopniu, jak pozyskują je inne kobiety, bo nie posiada właściwie mego serca, lecz tylko moje zmysły, moją ciekawość, wyobraźnię. Czyż ja ją kocham? ją której nie znam wcale?... Nie — kocham utwór własnej imaginacyi, a ten przypadkiem nawet do niej podobnym być nie może. Cierpi więc równie jak ja, więcej może — lecz tak być musi. Chwila, której spojrzelibyśmy sobie wzajemnie w oczy, byłaby chwilą zerwania.

Co to miało znaczyć?!... Więc jest niemłodą, brzydką, czującą swe upośledzenie kobietą jak przewidywałem. Więc mnie wywiodła w pole, oszukała?!...

A może jest żoną którego z mych znajo-

mych przyjaciół, i w ten podstępny sposób czyni mnie winnym zdrady przyjaźni, do jakiej nie posunąłbym się świadomie?...

Powiedziałem jej to wszystko za jej najbliższej bytności u mnie, wyznając moje wątpliwości jak najdelikatniej, aby jej nie urażać, lecz pobudzić tylko do odsłonięcia zagadki, którą sama stworzyła.

Wówczas napisała do mnie list odmiennej treści, który napełnił mnie rozpaczą. Żegnała mnie nim, nie mając już przyjść do mnie więcej.

Przerażony myślą o zerwaniu, odpisałem natychmiast, zaklinając, aby mi odkryła, czem uraziłem ją, aby mi przebaczyła, cofnęła postanowienie, którego przeżyć nie potrafię.

Dwa dni byłem jak w gorączce. Nigdy jeszcze obawa utraty kochanki takich nie sprawiła mi mąk. Zaniedbawszy wszelkie stosunki, żyłem, rzec mogę, od paru tygodni wyłącznie tą kobietą, do której mówić mogłem, co dni kilka, przez jakąś godzinę. Te schadzki i listy, jakie z nią zamieniałem, były całą moją rozkoszą, wyłączną prawie treścią mego życia obecnie, trzymając mnie jakby w odurzeniu, które czy-

niło mnie nieczułym na wszystko inne, na osamotnienie mej żony, na krzywdę, jaką jej czynię, na względy taktu nawet, które deptałem, przyjmując u siebie obcą kobietę, ile razy oddalić się miała z domu.

Wysłuchała mych błagań i przyszła! — przyszła namiętna i czuła bardziej niż zawsze, napełniając mnie radością bez granic. Cofnąłem wtedy żądanie, aby mi się dała poznać, wyznając, że wolę jej miłość posiadać w ten połowiczny sposób, niżeli utracić zupełnie. Osobną mową, którą znaleźliśmy sobie, a w której pocałunek oznaczał »tak«, milczenie zaś: »nie« — wydobyłem z niej wyznanie, że mi przebacza, że do mnie napisze dziś jeszcze i powie mi piórem to, czego z ust jej niestety usłyszeć mi nie wolno.

W minutę po jej wyjściu, odsłoniwszy okno, zadrżałem przerażony.

Na stole leżał pakiet moich listów do niej — żegnała mnie więc.

Wydało mi się wtedy, że odbieram cios w samo serce, że muszę teraz umrzeć.

Jak wpłynąć na nią, aby zmieniła zamiar?... gdzie jej szukać?!... Co ja teraz pocznę?!...

Wtem zapukano do mnie od strony dalszych pokoi mieszkania. Służący wszedł wylękły, zaczynając:

— Proszę pana... — i urwał.

— Co takiego?

— Pani zemdlała.

— Pani?!...

Zwróciłem się do drzwi, w których stał. Ale wskazał mi drugie, ku schodom wiodące, któremi co dopiero wyszła moja nieznajoma.

Skoczyłem w tę stronę przeczuciem tknięty — i dowiedziałem się teraz, kto był tą czarującą, tajemniczą kochanką, posiadającą wszystkie moje uczucia obecnie, tak czułą i namiętną w swych listach, tak wstydliwą nawet w osłonie tajemnicy, która czyniła ją niewidzialną. Była nią moja żona...

Czegoż nie czyniłem, aby przywrócić do przytomności zemdlałą w chwili, kiedy oddalała się odemnie z widocznem postanowieniem, że więcej już miłości swej nie objawi mi nawet w ten tajemniczy sposób.

Otwarła wreszcie oczy, lecz nie poznały mnie one już.

W pół roku umarła w szpitalu dla obłąka-

nych, a lekarz, widząc mój żal — może dla pocieszenia mnie — kiedym mu opowiedział historyę tej dziwnej miłości, odpowiedział, że kobieta, czyniąca coś podobnego, była już obłąkaną w zarodku. »Zdrowie — mówił — zapomina, mści się, zdradza, ale to był czyn chorej duszy«.

Sprzeczka.

Wyszedłszy rano, po sprzeczce z żoną, w gniewie najwyższym, dzień cały nie pokazał się poborca w domu. Objadował w restauracyi, korzystając szczodrze z kieszeni, napełnionej świeżym dniem wypłat, wypił poobiednią kawę w letniej cukierni, kolacyę zaś spożył w handelku, gdzie paru kolegów, prowadzących życie knajpiane, przywitało nigdy nie widzianego tu gościa pochlebnym wiwatem, jak gdyby wyłamanie się z rygoru rodzinnego życia zaszczyt mu przynosiło.

W istocie, jeszcze rozżalony na żonę, czuł w duszy pewien rodzaj satysfakcyi, jakby wymierzał jej karę, i dumy, jakby wieczorem tym, w szynku spędzonym, składał dowód męzkiej samodzielności i energii. Nienawykły do tego rodzaju zabaw, czując się lekkim i wesołym niby za kawalerskich czasów, dał się też oszo-

łomić atmosferze i przypłacił swoją ochoczość poniesieniem kosztów całej pijatyki, czyniąc to tajemniczo, dyskretnie, jak nowicyusz, któremu się zdaje, że jeśli zechce załatwiać rachunek jawnie, uczestnicy biesiady będą się sprzeciwiać, prześcigać między sobą w gotowości wzięcia wszystkiego na siebie. Ani im to w głowie było.

W tem miejscu jednakowoż zatrzymał się.

Uderzenie godziny dziesiątej, wpadłszy do lokalu otwartem oknem, stłumione i ciche, zabrzmiało dlań niby głos obowiązku, nawołujący go zdala przypomnieniem, że te dziesięć uderzeń, które stanowią granice dnia i nocy w życiu większości porządnie prowadzących się mieszczuchów, kołysały go zazwyczaj do snu. Od lat dwunastu, od dnia swego ślubu, słyszał je zawsze u siebie, w przyzwoitej i skromnej ciszy swego małego mieszkanka, — a dzisiaj... dziś zastawało go ono w publicznem miejscu, w krzykliwym gwarze przepitych głosów, w dymie cygar, brzęku kufli i wyziewach piwnych kałuż, po ziemi i po stołach błyszczących. Przeciwsta-

wienie to podniosło go z krzesła z niezwalczoną siłą.

— Czas do domu!... — rzekł, sięgając po laskę, spuszczając na nos zsunięty w tył, z czoła, za przykładem reszty piwoszów, kapelusz i obrzucając pożegnalnem spojrzeniem towarzyszy, których zarumienione policzki i oczy sennie, po pijacku błyszczące, uśmiechały się doń z ponad kufli, upitych do różnej wysokości i zdawały się go zatrzymywać.

— A co! żonkoś! już mu pilno... — zażartował chudy, o wpadłych, jakby je wciągał, policzkach, dla braku zębów, kontrolor, na którego małej i mizernej twarzy sterczały ogromne, sumiaste, zaniedbane wąsiska, oblepione pianą z piwa.

— He, he... — zaśmiał się na to otyły, małomówny adjunkt, wykonujący nieustannie wargami nerwowe ruchy, jak gdyby był dręczony niecierpliwą chętką odezwania się, lecz nie dopuszczany do głosu. W pośrodku jego twarzy, utoczonej jak bułka, doskonale wyrosła, świecił się nos okrągły nakształt kulki, na samym zaś końcu nosa połyskiwała brodawka, podobna do kropli topniejącego ciała, która ścieka.

Poborca, niepozorny poczciwiec z dobroduszną miną, tłómaczył się wobec docinków naturalnie:

— Cóż chcecie... kobieta czeka...

— Uhm, czeka!... I coś więcej czeka... Boimy się bratku, po co kryć!... — żartował kontrolor.

Adjunkt zaś, potrząsając brzuchem jak bania wydętym, zaszeleścił znowu wesoło:

— He, he...

— Ciągnie obroża! ciągnie!... — dodał ktoś trzeci, aby w odchodzącym obudzić fałszywy wstyd, gdy inny, tęskniej nastrójony, począł go bronić i przechwalał zalety rodzinnego życia.

— A wolność! a swoboda! a kawalerska fantazya! — zawołał chudy kontrolor z wniesionem w górę ramieniem, które podniosło luźną na szczupłym korpusie kamizelkę, odsłaniając koszulę i czerwone końce szelek ponad spodniami.

— He, he... — chichotał adjunkt.

Poborca jednak oparł się docinkom, prośbom, pożegnał się i wyszedł, ścigany nawoływaniami:

— A nie daj się tam!... odwagi! jesteś przecie mężczyzną.

Ach! jakiż niesmak wynosił z sobą z tego przybytku i tego zebrania.

Co za rozmowy!... co za nastrój!...

Doznawał wrażenia, jakby powracał z rynsztoka, jakby się splamił tymi kilkoma godzinami pobytu w szynku, za pan brat z nałogowymi knajpiarzami, wycierającymi od lat sofki, ogryzającymi kufle, robiącymi z swych gardeł zlewy dla tego ciężkiego, ogłupiającego, gorzkiego i cuchnącego trunku, jakim jest piwo. Poborca nie cierpiał go. W domu pozwalał sobie na wino w wielkie święta, nalewka jakaś kryła się zawsze w kąciku żoninej szafy z sukniami, — ale piwo? — chłeptać piwo?!... Bo z piwem dochodzi się zawsze do chłeptania. Zaczyna się od kufla, dwóch, a kończy na piętnastu. Piwem brzydził się a propozycya, obijająca mu się o uszy tak często na wychodnem z biura:

— Wiecie co? wstąpmy na piwo — napełniała go wstrętem. Znikał w okamgnieniu, jak namawiany do złego czynu.

Tymczasem — oto powracał do domu po kiku godzinach piwnych libacyj...

Jakże był sobą zgorszony! jak sobie wyrzucał!...

O wszystko jednak obwiniał żonę. Dlaczego zatruwa mu życie?... Dlaczego obrzydza dom, nie chcąc ulegać mu we wszystkiem?... Dlaczego ośmiela się mieć w czemkolwiek własne zdanie, choć wie, że nic go do takiej irytacyi nie pobudza, jak opór!... On jest mężem, on jest ojcem rodziny, on panem domu, — jego wolą powinno kierować się wszystko.

Dziś rano z takiego właśnie powodu była między nimi straszna burza.

Wózek dla Jasia, w którym jeszcze Władka i Julcię, gdy były przy piersi, wożono, gwałtownie wymagał naprawy. Uradzono, aby go odmalować i w nowe opatrzyć firaneczki. Poborca wspomniał był raz, że pysznie wydałyby się firanki amarantowe. Pewnym był, że takie przy wózku zastanie, cieszył się na nie z góry, i wyobrażał sobie, jaki to efekt robić będą te pąsowe firanki, kiedy za niemi, z żoną pod rękę, otoczony czworgiem chodzącej już dziatwy, kroczyć będzie w niedzielę po południu na spacer.

Wstawszy rano — osłupiał.

Wózek obity był materyą błękitną, zawsze błękitną, bez końca aż do znużenia tym samym

kolorem, który tak mdło przedstawiał się jego oczom, spodziewającym się pałającej czerwieni.

— Cóżeś ty z wózkiem zrobiła?!... — zapytał żonę takim tonem, że się aż zaczerwieniła, wylękła, zajęta sznurowaniem bucików maleńkiej Julci, po wyprawieniu do szkoły starszych dzieci. Obróciła ku niemu swoją twarz dobrą o łagodnie patrzącem oku uległej i kochającej kobieciny.

— Co? czy źle?... Może krzywo?... Bo to ja przybijałam...

— Nie udawaj też, że nie rozumiesz, moja kochana... Mówiłem ci, żeby firanka była pąsowa.

— Nic nie mówiłeś... — odparła szczerze.

— Ale no mówiłem. Nie mówiłem wczoraj ani przedwczoraj, ale mówiłem. Chybabym nie wpierał w ciebie. Nie udawaj, żeś zapomniała...

— Ach prawda... mówiłeś raz...

— Więc dlaczego firanka niebieska?

— Daleko ładniejsza...

— To niby ja się już nic a nic nie znam na tem co ładne?

— Nie mówię tego, ale możesz się raz po-

mylić. Czerwonych firanek nikt u dziecinnych wózków nie przybija.

— Więc dlatego, że nikt, to już i my nie możemy. To ciekawe!... Jak małpa trzeba robić tylko to, co inni, — ani za grosz własnego gustu.

— Ale mój Józiu!... przecież to nie byłoby gustowne... — przekładała mu delikatnie. — Pomyśl tylko: czerwone!...

— A właśnie, że myślałem i, według mnie, byłoby bardzo gustowne.

— Zdaje ci się, bo tak to w głowie widzisz. Ale żebyś zobaczył przed oczyma... Zresztą to nawet dziecku oczka psuje, taki kolor...

— Jest! teraz znowu oczy!... Może się nawet pokaże, że czerwone firanki trują, dlatego tylko, że ja chciałem czerwonych, dlatego tylko, aby dowieść, że ja nie mam racyi, a ty masz!

— Jakiś ty dziwny! Mówisz tak, jakbym ja ci się chciała sprzeciwiać i szukała powodu do sprzeczki.

— A cóż? nie sprzeciwiasz mi się?... Gdzie są czerwone firanki, jak chciałem?... No gdzie? A widzisz? cóż mi na to odpowiesz?... Nic! Ja chciałem, żeby były czerwone, ty przy-

biłaś niebieskie i kontentaś. A temi niebieskiemi ukradłaś mi może rok życia, bo zamiast wyjść z domu spokojny, zdrów, wypoczęty do tej ciężkiej pracy, która was wszystkich utrzymuje, to wyjdę zdenerwowany, wzburzony, wściekły, i jeszcze potem haruj do wieczora jak pies... I któż temu wszystkiemu winien?... Kto mi życie zatruwa?!... Dlaczego ludzie mówią, żem mizerny? dlaczego sam widzę, że spadam z ciała?...

— Co znowu! guziki ci się obrywają, muszę je posuwać, bo surdut na ciebie za ciasny...

— Dalej! dalej!... Czekałem tylko na te guziki... Nie dlatego się urywają, że słabo, nieporządnie przyszyte, ale dlatego, że ja tyję. Abyś tylko ty miała racyę! wszędzie i zawsze ty! mnie na przekór, — chociażby mnie to dobić miało... Doprawdy, że żeby mnie nie było wstyd służącej, tobym w ten moment zdarł te niebieskie firanki, i pokazałbym ci, czyja wola tu rządzi!

— Służącej ci wstyd? — szepnęła z wyrzutem, — a o tem nie pomyślisz, że mniebyś przykrość wyrządził... że ja się może cieszyłam, że ci przyjemność zrobię... Przez kilka dni obi-

jałam ten wózek, kiedy ciebie nie było, mam palce poobtłukiwane od młotka...

— Dobryś!... Teraz rób z siebie ofiarę. Spędź wszystko na mnie!... Tyś dobra, tyś poczciwa, tyś pracowita, — a ja jestem tyran, nicpoń, ja cię zamęczam... Aby tylko zwada... O Boże mój! Boże! co ja takiego w życiu zawiniłem, że mnie tak ciężko karzesz?... Wieczne zgryzoty! wieczna trucizna w domu i za domem, i ani chwileczki wytchnienia, tylko się dręcz i dręcz... I na co to? i po co to? i za co to?... Za jakie grzechy ja mam tak cierpieć?... I kiedy się to skończy nareszcie?...

Od tego zwrotu utyskiwania poborcy stawały się zawsze niepowstrzymanemi, aż doszły do złorzeczeń całemu ubiegłemu życiu i do gorącego przywoływania śmierci zbawczyni. Tę ostatnią apostrofę karciła żona zawsze cichą, serdeczną perswazyą:

— Ej Józiu, Józiu, jak ty możesz mówić coś podobnego!...

Wśród tego proces ubierania się postępował normalnie. Poborca zapinał szelki, przymocowywał kołnierzyk, mankiety, wkładał krawatkę, kamizelkę, surdut, przyczesywał włosy, strze-

pywał kurz z kapelusza, wytężając jedynie przytem całą swą zręczność, aby przeszkodzić podaniu sobie czegoś przez żonę. Usilnie bowiem w takich razach starała się, mimo spadających na nią, choć nie pod jej adresem, gromów, obsługiwać męża, aby mu dać do poznania, aby otworzyć temu niepoczciwemu gwałtownikowi oczy, że wbrew wszystkim jego urojeniom i grymasom, ona nie przestaje być jego żoną kochającą, jego posłuszną, wierną, gotową na każde skinienie kobietą.

Kiedy już był na wyjściu, po wyczerpaniu wymowy gniewu zapadłszy w majestatyczne milczenie, starała się przynajmniej jeszcze, aby się rozstali jakiemś słowem i zapytywała cichym głosem, potulnie, o co bądź, na przykład:

— Czy będziesz jadł rosół z tartem ciastem czy wolisz lane?

Nic nie odpowiadając, z ustami zaciśniętymi i głową wzniesioną zwracał się wtedy ku drzwiom i nie spojrzawszy nawet na żonę, jak gdyby jej wcale nie było, wychodził bez jednego słówka pożegnania, dumny z pogromu a ona zostawała chwilę w tem samem miejscu, zmartwiona na całe rano.

Na obiad w dnie takie pojawiał się zawsze jakiś niespodziewany przysmaczek, który żona przynosiła z kuchni w najodpowiedniejszej chwili, zarumieniona od ognia, i ze wzruszeniem podsuwała mu go dyskretnie.

Udawał zrazu zwykle, że nie widzi, starając się zachowywać wyraz twarzy niezmienionym, najpewniejszy w duchu, że nie tknie przystawki.

Po chwilce wszakże, zwyciężony, niby ją spostrzegał, a nachmurzona twarz tymczasem oblekała się pogodą.

— Co to!? — pytał z przybraną szorstkością: — Szparagi?!... Cóż to za zbytki... Sama nie wiesz, na co pieniądze wyrzucać... Ciekawym, kto to będzie jadł, bo ja przecież bez szparagów obejdę się doskonale.

Chciał jeszcze coś surowego dorzucić, dla uratowania swego honoru, lecz nie był już w stanie. Twarz jego, tak do zachmurzeń niepodatną, rozszerzał uśmiech. Obejmował naraz błyszczącemi oczyma żonę, w białym kaftaniku potulnie schylającą zarumienioną twarz nad talerzem, chwytał ją za ręce, i przyciskając do siebie wzruszoną, całował raz po raz w usta,

w policzek, głośno, gorąco, mówiąc serdecznym tonem pojednania:

— Władziu! ty mnie przecie znasz nie od dzisiaj?... Ty wiesz jaki ze mnie waryat?... Co?...

Drżąc z radości i zmięszania, odpowiadała swemu kochanemu, drogiemu waryatowi nieśmiało:

— Czy się na mnie gniewasz?

— Co?!... ależ to ja właśnie ciebie chciałem przeprosić, Władziuchna! ja ciebię! moja biedna, poczciwa babino!... moja kochana!... To ty mnie wybacz, ja cię tak dręczę...

Następowały z obu stron zapewnienia miłości coraz gorętsze, na które trzyletnia Julcia i czteroletni Władek patrzyły wyokrąglonemi zdziwieniem oczkami, nie rozumiejąc, co te czułości i uściski znaczą, uśmiechając się jednak, bo czuły, że tu się dzieje coś dobrego. Starsze dzieci, w powrocie ze szkoły, wpadające z hałasem, przerywały te pełne szczerego ciepła sceny pojednania zwaśnionych rodziców, którzy do nich teraz zwracali się z pieszczotami i cały obiad ubiegał wśród pocałunków i śmiechu, podobny pogodnemu dniowi w naturze.

Dzisiejsza sprzeczka o firanki nie wzięła takiego obrotu. Poborca, wyszedłszy z domu z wściekłością, którą potęgowało tłumione w głębi duszy przekonanie, że czerwone firanki rzeczywiście wyglądałyby potwornie i że kolor ten, nawet dla starszych przykry, niezawodnie szkodliwieby raził słabe oczka dziecięcia — wmawiał tylko w siebie, dla usprawiedliwienia przed samym sobą swego gniewu:

— Zabija mnie! zabija ta kobieta!... Jakby nie mogła była, zamiast się bawić w jakieś niespodzianki, powiedzieć mi wprost: »słuchaj, niebieskiem obiję wózek, bo czerwone tak a tak«... Byłbym się oczywiście zgodził i byłby spokój. Nie, nigdy go nie będzie!...

Poczem sięgając po inny sposób zagłuszenia wewnętrznych wyrzutów, myślał, siląc się na szyderstwo:

— A na obiad zastanę grzybki!... Jakbym je widział. Głowę sobie dam uciąć, że grzybkami będzie mi chciała gębę zapchać, bom o nich wspominał od dni kilku. Kaptuje mnie sobie jak obżartucha. Otóż nie! zjesz je sobie sama, ja ani dotknę, nawet na obiad nie pójdę... Dosyć już mam tych komedyj.

Dlatego to nie jadł w domu objadu.

A teraz powracał po całodziennej nieobecności, pierwszej od tylu lat!... wyjąwszy parę absencyj z powodów służbowych... z ciężkimi wyrzutami sumienia, ze wstydem.

. Tak, był teraz pewny, że mu przygotowała na obiad jakąś *siurpryzę* i doznawał uczucia, jakby przez to rozmyślne uniknięcie jej delikatnego przymilenia się, obraził ją i skrzywdził dotkliwie.

Dałby wiele za to w tej chwili, gdyby mógł znaleźć dla siebie jakąś wymówkę, — nie w jej oczach, bo tę dało się skłamać, ale we własnych; gdyby chociaż dowiedział się, że grzybków nie przygotowała... Lecz nie, toby go znowu zraniło boleśnie...

— Otóż to są skutki — myślał zgryziony, — kiedy kto zamiast w rozumny sposób panować nad sobą, daje się unosić pierwszemu lepszemu widzimi-się, dlatego, że lewą nogą wstał z łóżka.

Wszedł do domu w większem jeszcze strapieniu. Wstydził się stróża, otwierającego bramę, służącej, która już spała, nigdy bowiem nie widzieli go jeszcze wracającego bez żony o tak

spóźnionej godzinie. Uczuwał się coraz szczerzej winowajcą, w miarę zbliżania się do drugiego pokoiku, gdzie spali oboje, gdy w pierwszym, większym, dzieci zajmowały swe cztery łóżeczka. Obecnie w sypialni rodziców gościł tylko mały Staś, jeszcze w kolebce.

Lecz kiedy wszedł i zobaczył w obu pokojach ciemność, nagle miłość własna rozbudziła w nim cały gniew ranny.

Ona śpi?... ona nie czeka? nie wygląda go? nie płacze?... nie niepokoi się o swego męża, który od dnia ślubu zawsze o tej porze był w domu, którego zaskoczyć mogła i zatrzymać choroba... wypadek...

Tymczasem rozróżnił w dobrze znanej atmosferze mieszkania ostry zapach grzybków. Zrobiła je.

Tem lepiej. Przekonała się, że trud był zbyteczny i że czasy naprawiania swych błędów kuchennemi fortelami minęły bezpowrotnie.

Bez zapalania lampy rozebrał się szybko, zachowując się cicho nie przez wzgląd na żonę, ale z powodu śpiącego malca.

Następnie położył się i pełen goryczy, pełen

nowych, nieprzewidzianych uczuć zawodu i urazy, silniejszych od gniewu, próbował zasnąć.

Nie był jednak w stanie. Samo zamykanie powiek, które się zamknąć nie chciały, męczyło go niby ciężka praca. Ciało wzbraniało się leżeć, nużył je przymus nieruchomości, która krępowała myśli, dręczone złamaniem całego porządku życia. Ciągle mu się zdawało, że coś przepomniał, że czegoś nie uczynił, co uczynić był winien, czuł jakiś nieokreślony brak, ponieważ nie widział żony dzień cały, ponieważ z nią nie mówił od rana, nie ucałował jej na dobranoc.

Wówczas wynurzył się z głębin jego piersi żal.

— Mój Boże — pomyślał — i czy to tak między mężem a żoną być powinno?... Gdzież jest na świecie lepsze, pewniejsze dla spokoju i zgody schronienie, jeżeli nie pośród małżeństwa?

Targnęła go ochota wstać, pójść do niej ucałować ją i przeprosić.

Powstrzymał się. Dlaczego nie czekała?... Czemu położyła się spać przed jego powrotem, jakby nie troszcząc się oń wcale. Sama tego nie chce. Jaka to zła kobieta!... A on ją tak kocha...

I zaczął przechodzić pamięcią swe z nią pożycie i pytać się, szukać w niem, czy kiedy

choćby przez jednę dobę naprawdę przypuścić mogła, aby jej nie kochał nadewszystko, aby ona i dzieci nie były mu życiem całem...

Tymczasem z jej strony...

Nie, daremnie się silił! Z jej strony także nie widział nic innego oprócz dowodów miłości, widział ich coraz więcej, więcej może niż u siebie, i gdy je teraz wspominał, nie mógł się oprzeć rozrzewnieniu, w którem rozkosz mięszała się ze zgryzotą.

Dlaczegóż jednak w takim razie pozwoliła mu wejść do domu, jak do ciemnego grobu, jakby to nie był jego dom, gdzie spodziewał się i miał prawo zastać czyjś wzrok z niepokojem na drzwi zwrócony, czyjeś myśli zajęte jego nieobecnością... gdzie jeden błysk oczu i jeden uśmiech nagrodziłby mu przykrości dnia całego...

I znowu żal do niej zaczął się w nim budzić.

W tem zaparł oddech, podniósł się i nasłuchiwał, doleciał go bowiem szelest. Zapewne Staś się budzi... Będzie też to wrzasku!

Nie, to coś innego. To w stronie przeciwnej, gdzieś koło okna...

Ależ... ależ to łkanie!...

Serce mu zabiło. Wstał, po omacku poszedł do

okna, a zbliżywszy się rozpoznał wyraźnie tłumiony, cichy, spazmatyczny płacz żony.

W jednej chwili zapomniał urazy.

— Władzia! Co to jest?· co tobie?!... — szepnął zaniepokojony, chwytając ją za podniesione do ócz, wilgotne od łez ręce. — Czego ty płaczesz?...

Głosem, zmienionym siłą woli, odparła potulnie:

— Ja?... płaczę?... zdaje ci się...

— Możeś chora?

— Nie.

— Więc czemu nie śpisz? Dlaczego tu siedzisz po ciemku?

Chwilę nie odpowiadała.

Naraz, obejmując go za szyję i głowę przyciskając mu do piersi, wybuchnęła niepowstrzymanem łkaniem.

— Jakże ja mogę... mogę... spać — jąkała, — kiedy ty się na mnie gniewasz...

Ostateczność.

— Czy wiesz? — żenię się. Nie wiedziałeś?... Upoważniam cię do udzielenia tej nowiny wszystkim znajomym, nawet takim, których to nic nie obchodzi. Niech całe miasto dowie się jak najprędzej, że się żenię!

— A ona?!... A Bobo?!...

— Nie wspominaj mi o tej poczwarze.

— Poczwara?... Ta czuła, słodka, gorąca, szczera, bezinteresowna, nadzwyczajna Bobo?... Ten zbiór zalet?!...

— Każda ostatnia jest zbiorem zalet, dopóki się nie przekonamy, że była równie jak wszystkie samolubną, wyrachowaną i obłudną.

— Zaczęła cię naciągać?... Odtrącała przecież wszystkie twoje podarki... A może cię po prostu okradła?!...

— To wszystko byłoby niczem. Pomyślałbym: wyzyskuje mnie — ale mnie kocha. Pomyślał-

bym: złodziejka — ale rozkoszna złodziejka. Nie troszczę się nigdy o etykę kobiety, która ładnie całuje, jeżeli całuje szczerze, jeśli widzę, że mnie pragnie...

— Pragnęła cię przecież!...

— Z całą gwałtownością! Widziałem to w jej oczach, ustach, słowach, listach, czynach, czułem, że ta dziewczyna za mną szaleje. Kiedy ją odwiedziłem po raz pierwszy, ja tylko byłem zachwycony, ona nie tyle. Ale za drugim razem już, po tygodniu, rzuciła mi się na szyję, jakby nie mogła była doczekać się tej chwili: »Kiedy znów przyjdziesz?« — »Za tydzień«. — »Ależ nie! Przyjdź jutro, pojutrze, za trzy dni najdalej! Przyjdziesz?...« Musiałem przyjść. Najpierw za trzy dni, potem za dwa, w końcu codzień, nawet częściej. Musiałem. Błagała mnie o to. Widziałem, że szaleje za mną, że mnie ubóstwia, więc przychodziłem. Chudłem wprawdzie dyabelnie, ale sprawiało mi to przyjemność. Dziwiłem się trochę. Nie jestem przecież Apollinem. Jeszcze nigdy na żadnej nie udało mi się wywrzeć podobnego wrażenia. Ale każdy natrafia w końcu na swoją... Myślałem, żem na swoją natrafił. Tyle miałem dowodów!... Nie było rzeczy, któ-

rejby mi odmówiła, nie było takiej, którejby zażądała. Przeciwnie, broniła się usilnie wszelkim objawom mojej wdzięczności. Inny byłby ją wyzyskiwał, ale ja jestem na tym punkcie bardzo skrupulatny. Musiałem z nią o to walki staczać, ale rachunki nasze były zawsze w największym porządku. Żadnych zaległości. I byłbym do dziś dnia, byłbym kto wie jak długo jeszcze chudł w czarujących objęciach Bobo, bo widziałem, że mnie kochał... — »kocha« — przecież to rozumiesz, — gdyby...

— Gdybyś nie był spostrzegł, że swoją drogą jesteś zdradzany...

— Nie to. Wiedziałem przecie, że nie jestem w tem sercu jedynym, wystarczało mi, że jestem pierwszym.

— A więc?

— Pewnego dnia zastałem jej drzwi zamknięte.

— Po raz pierwszy?

— Po raz pierwszy.

— Nie była w domu.

— Była.

— Miała gości!

— Pozbyła by się ich natychmiast dla mnie.

— Wiedziała, że ty dzwonisz?

— Naturalnie. Dzwoniłem w umówiony sposób.

— Spała!

— Chodząc po pokoju na palcach?... Widziałem to przez dziurkę od klucza.

— Cóż chcesz, kaprys kobiecy.

— Kaprys ten powtórzył się trzykrotnie. Trzy razy dzień po dniu.

— Byłeś w rozpaczy?

— Byłem wściekły.

— Zrobiłeś jej awanturę?

— Zażądałem od niej wyjaśnień.

— Zaraz?

— Po tygodniu milczenia.

— Osobiście?

— Pisemnie.

— Nie odpowiedziała?

— Odpowiedziała. Cztery słowa: »Przestałeś przynosić mi szczęście«.

— Nie rozumiem.

— I ja nie zrozumiałem. O! mężczyzna nie potrafi nigdy od razu pojąć tak nizkich rzeczy. Ale co gorsza, byłem tyle nierozsądny i począłem szukać informacyj.

— Znalazłeś?

— Wyczerpujące. U jej serdecznej przyjaciółki i koleżanki w sztuce.

— Mali?

— Mali.

— Cóż ci powiedziała?

— Rzecz okropną! ohydną!... rzecz, która była podeptaniem najświętszych moich uczuć!... Wiesz, czem ja byłem dla tej milutkiej, czułej, wylanej, bezinteresownej Bobo?... Maskotą. Żywym talizmanem szczęścia. Od dnia, w którym poznaliśmy się, a stało się to w czasie ogromnych jej kłopotów pieniężnych, — zaczęło się jej bajecznie powodzić. Pieniądze sypnęły się po prostu na nią z różnych stron. Jej wypróżnione szafy, kufry i szuflady poczęły się zapełniać na nowo, jak za skinieniem czarodzieja. Zaczęła być licytowaną jak klejnot rzadkiej wartości. Te facetki mają swoje przesądy. Ulegając im, Bobo ubrdała sobie, że całe to nagłe powodzenie zawdzięcza mnie: że ja to, moja osoba, mój pocałunek, miłość, przynoszą jej tak wyjątkowe szczęście!... Oczywiście, raz w to uwierzywszy, poczęła mnie wysoko cenić, a gdy w dodatku upływające dni, te dni, w których ja chudłem,

przysparzając jej — bezwiednie — coraz to nowych sukcesów, utrwalały w niej wiarę w cudowne moce mej osoby, poczęła mnie ubóstwiać i ze wszystkich sił starać się o przykucie mnie do swego rydwanu...

— Dlaczegóż nagle te drzwi zamknięte?

— Powodzenie zaczęło słabnąć.

— Z twojej winy?

— Naturalnie — według logiki przesądu. Człowiek przynosi szczęście — człowiek przynosi pech. Jak ogień wygasnąć — tak Maskota stracić może dar uszczęśliwiania. Zauważywszy, że jej się zaczyna gorzej wieść — najpierw gorzej, potem całkiem źle — poczęła szukać przyczyny. Nie znalazłszy jej nigdzie, upatrzyła ją we mnie, ponieważ już raz osoba moja wydała się jej oczom wyposażoną w tajemnicze siły.. Pożyczyła komuś samowar — przepadł. Zapomniała drzwi zamknąć — skradziono jej kołdrę.. Zgubiła kolczyk, straciła najhurtowniejszych odbiorców i spiekła się w policzek żelazkiem, co ją oszpeciło na dziesięć dni. Do licha... źle!... Trzeba się ratować. Pewnego dnia wymówiła mi się od schadzki — los jej się zaraz uśmiechnął. Nazajutrz zobaczyliśmy się znowu — na niebie

jej chmury. Wówczas, zdobywszy pewność, zamknęła przedemną drzwi i naraz, jak gdyby los istotnie na to tylko czekał, odwróciła się znowu na dobre karta, wróciło powodzenie i zapewne kto inny obecnie, mój następca, odziedziczywszy mój nimb, zasiada na mym złocistym tronie i chudnie... a ja...

— A ty?...

— A ja — koniec końców — śmiejąc się z całej tej historyi, zwracam się do jej najlepszej przyjaciółki Mali, by przeniesieniem na nią mych względów, upokorzyć tamtę...

— Doskonale!

— Ba! w zasadzie — ale nie w praktyce.

— A to czemu?

— Przyjaciółka Bobo dała mi kosza.

— Szczególna przyjaciółka. Pomijać taką sposobność... Powinieneś był parsknąć jej w oczy i zwrócić się do innej...

— Do trzeciej. Tak też zrobiłem. By zadrwić z obu, postanowiłem okazać się nadzwyczajnie czułym i hojnym dla ich najzaciętszej rywalki...

— Izy?

— Izy.

— Wybornie!

— Wcale nie wybornie. Iza także dała mi kosza. Nietylko Iza, ale i Wanda, Mimi, Zonia, Pafcia, Dzidzia — wszystkie!... Okrzyczany zostałem w półświatku jako pechowiec i teraz żadna mnie nie chce, wszystkie boją się mnie jak płanetnika.

— Ależ to straszne! Co myślisz robić?

— Mówiłem ci. Postanowiłem się ożenić.

— ...Ha... ostatecznie...

— Właśnie. To ostateczność. Muszę! Serce moje tak jeszcze młode, tak pragnie kochać! Nie mogąc kochać wszystkich, będę kochał jedną. Ożenię się. Pozwalam ci ogłosić to zdumionemu światu. Nie tylko pozwalam — proszę cię! Uczynisz?

— Jakkolwiek usługa jest żałobną — uczynię.

— Słowo?

— Słowo. Zamienię się w afisz, w specyalny numer gazety, poświęcony twemu sensacyjnemu postanowieniu.

— Dziękuję ci i trzymam cię za słowo. Daj pyska. A teraz słuchaj... Dotąd mówiło się o tem, co wie lub wiedzieć będzie świat, a teraz słówko, które zostanie między nami. Mnie się ani śni o żeniaczce...

— Nie?!..

— Rozumie się, że nie. Tobym już wolał powiesić się odrazu. Ja nie należę do tych, co sprzeniewierzają się sztandarowi. Ale widzisz, nie mogę przecie błagać o miłosierdzie tych hultajek. Po co? Skoro usłyszą, że się żenię, same przylecą do mnie i łasić mi się będą... Za tydzień będę otoczony niemi jak basza, zobaczysz!...

— Więc taki był twój plan?... Przyjacielu! wybacz!... A ja już byłem w obawie o twe zmysły.

Serce z piernika.

— Chciałbym ci się z jedną rzeczą zwierzyć Franiu...

Było to przed bramą piernikarza na odpuście, wśród ciżby, zgiełku, kurzu i gorąca. Obie młodsze siostry Frani, Hela i Józia, matka, ciotki, ojciec, znajdowali się w tłumie.

— Możesz mówić — odezwała się zimno, wyniosłym tonem dam, słyszanym w magazynie, gdzie pracowała. Ponieważ był względem niej zbyt natarczywym, czego nie lubiła, trzymała go więc od siebie z daleka od kilku miesięcy, mimo, że byli po zaręczynach. Okazywała mu niełaskę tem wyraźniej, aby dowieść, że z jego ostentacyjnych umizgów do sióstr jej nic sobie nie robi.

Był pięknym chłopcem. Głos miał ochrypły, jak wszyscy feldweble, trochę z wódki, a trochę z głośnej komendy, ale miał gruby, czerwony

kark, rumiane policzki, mocno wykręcone wąsy i pachł na trzy kroki tytoniem i pomadą. Przytem znał się na grzeczności. Nim tedy zaczął mówić, wybrał z straganu i kupił duże piernikowe serce a potem wręczył Frani, która je machinalnie przyjęła. Szli dalej przez ciżbę.

— Jutro odchodzę z wojska...

— Wiem.

— Powinnibyśmy się pobrać. Jesteśmy narzeczeni.

— Przypomniałeś sobie?

— Żebyś ty Franiu wiedziała, jaki ja nieszczęśliwy? — odsapnął, imitując westchnienie.

— Ciekawam, co tam znowu nowego!...

— At... Muszę ci oddać pierścionek...

— Co?!... — i stanęła.

— Tak jest. Masz... Muszę się ożenić z Helką.

— W imię ojca i syna!... Zwaryował!...

— Nie zwaryowałem, słowo honoru daję. Z Helką, albo z Józią...

— Co ten plecie!... co ten plecie!... Tyś się upił?...

— Nie upiłem się, ale się upiję. Chciałbym się na śmierć upić.

— Powtórzno jeszcze raz.

Powtórzył i objaśnił. Zwraca jej słowo, po-

nieważ musi ożenić się z jedną z jej sióstr, Heleną albo Józefą, a to dlatego... dlatego, że... że ona dla niego była zimną, obojętną, nieprzystępną, odpychającą, a on był tem dotknięty, zraniony... Więc potrzebował czyjejś pociechy, czyjegoś serca... Potrzebował się zwierzyć, pożalić, zagłuszyć... Umizgał się zatem do jej sióstr. Całkiem niewinnie, rzecz prosta. Był przecie jakby przez pół ich szwagrem. Ale w pewnej chwili rozgoryczenia nawinęła mu się Helena, z którą byli jak brat z siostrą i naraz... Och podle sobie postąpił, w całem znaczeniu podle, ale nim miał czas pomyśleć, zastanowić się... Nieszczęście chciało, że na tem sam na sam zeszła ich Józia. Wtedy Hela uciekła a Józia poczęła mu robić wyrzuty... Bo i z nią był jak brat z siostrą, a nawet więcej... Aby ją udobruchać i skłonić do milczenia, zaczął ją zapewniać, że się pomylił, że Hela go nic nie obchodzi, że (po Frani naturalnie) nad wszystko w świecie ceni Józię... i wówczas... O! podle! nad wszelki wyraz podle sobie postąpił, ale nim zdołał pomyśleć, opamiętać się.

— Weź sobie to serce, bo rzucę... Nie chcę go. Daj Helce albo Józce.

— Widzisz teraz sama, że z jedną albo z drugą ożenić się muszę... A ponieważ jutro wychodzę z wojska...

— Matko Święta! Matko Święta! Co on mówi! Co ten człowiek mówi!... Co ciebie opętało?... Co ty mi tutaj pleciesz?!... To nieprawda! Wszystko nieprawda!... Ja tego nie chcę słyszeć... Ja ci nie wierzę!... Z tego nic nie będzie!... Wyperswaduj to sobie! Słyszysz?...

Frania kochała Stefana. Była stateczną, patrzącą w przyszłość, marzącą o własnem gnieździe dziewczyną. Pierścionek — to było w jej oczach trzy czwarte ślubu. Wyobrażała sobie, że pierścionek przykuwa mężczyznę, nie dając mu jeszcze żadnych praw. Wszystko inne było drobnostką wobec pierścionka. Praw, jakie miała ona, właścicielka zaręczynowego pierścionka, nie posiadała według jej mniemania i posiadać nie mogła żadna inna.

— Ja ci powiem. Sprzykrzyłam ci się, chcesz się mnie pozbyć i dlatego dałeś sobie zawrócić głowę jednej z tych...

— Nie!... Ciebie tylko kocham... Ciebie — ty wiesz — nad wszystko w świecie... Ale obowiązek...

— Pierwszy obowiązek masz względem mnie!

— Nie taki.

— Ale pierwszy.

— Żeby tu nie o twoje siostry szło!...

— Czemuś pierwej na to nie miał względu?

— Przez ciebiem głowę stracił.

— Zrobiłeś jedną podłość, a teraz chcesz zrobić drugą, jeszcze większą...

— Chcę naprawić!

— To się nie da naprawić. Z obiema się i tak żenić nie możesz, więc niech sobie piją to piwo, co go nawarzyły. Nie miały prawa do ciebie. Kradły mi cię jak złodziejki, po kryjomu. Ja cię odbieram. Ty jesteś mój. Ani jednej ani drugiej cię nie odstąpię. Mam twój pierścionek!.. Pamiętasz, ileś mi razy przysięgał?..

— Ja cię i tak do śmierci kochać będę...

— Ale się z inną chcesz żenić!.. Nie!.. Toby ładnie było, żebym ja, com była uczciwa, cierpieć miała przez łajdaczki. Taki wstyd!.. Pół roku jesteśmy zaręczeni... Noszę jego pierścionek!.. a ten się żeni z inną... z moją własną siostrą!.. Tylko w wodę skoczyć... Ale nie! Nic z tego!.. Żebym miała nie wiem co zrobić—nic z tego!..

— Moja Franiu... Nie wiesz, jak one napierają na mnie.

— Obie naraz?

— Każda z osobna. Jedna o drugiej przecie nie wie. Grożą mi Bóg wie czem... Chcą powiedzieć rodzicom...

— Niech powiedzą. Będziemy widzieli, po czyjej stronie rodzice staną.

— To można z góry wiedzieć, że po ich.

— A to skąd?... Sami się zgodzili, żebym za ciebie szła.

— Wtenczas nie było jeszcze tego co teraz... Jak się dowiedzą od Helki i Józi... staną po ich stronie...

— Dlatego, że ci się dały zbałamucić?

— Dlatego.

— Tak?!.. To ja powiem... powiem, że i mnieś zbałamucił...

— Nie uwierzą. Będą mnie wypytywać—a ja przecież kłamać nie mogę... nie potrafię...

— Nie potrafisz kłamać?!... Och! jakiś ty podły! Ale nie stanie się tak, jak myślisz, jak one sobie ułożyły. Jeżeli one mają mieć większe prawo dlatego, że były twojemi kochankami, to i ja potrafię to samo... O! ja jestem uczciwa

dziewczyna! Mogłeś się o tem przekonać. Znasz mnie dwa lata. Ale kiedy ja ciebie mam tracić przez to, żem uczciwa — dosyć tej uczciwości. I ja potrafię dać się zbałamucić!.. I ja... Musisz i mnie zbałamucić... Słyszysz?! Musisz. A może już nie chcesz?!... Co?... Tyle razy musiałam się z tobą bić po ciemku jak z zbójem, podarłeś na mnie suknię, a teraz może nie chcesz?.. O nic z tego!.. Musisz. Dziś jeszcze. Jak tylko wrócimy... Pamiętaj sobie, skoro wyjdziesz od nas po herbacie, zaczekasz w ogródku... Jak się uspokoi, przyjdę do ciebie... Muszę mieć to samo prawo co one! muszę!!.. A wtenczas — niech sobie robią co chcą! Ja jestem twoja narzeczona!.. Ja pierwsza!! Daj to serce. Niech widzą, żeś mi kupił. Niech sobie wiedzą, że ja jestem twoja a tyś mój!



— Nim cię zapotrzebuję, mój chłopcze, rozejrzyj się po przybytku. Gabinety wielkich ludzi i wielkich hultajów są zawsze interesujące. Nie chcę być złośliwym i dlatego odpędzam, jako paradoks, cisnące mi się na usta zdanie, że połowa wielkich drabów uchodzi do czasu za wielkich ludzi, albo, jeśli wolisz, połowa wielkich ludzi okazuje się po czasie hultajami. Tem bardziej nie myślę rozstrzygać, czy druga połowa nie zawdzięcza ocalenia aureoli — protekcyi trafu. No, baw się. Ja przestudyuję tymczasem dalszą seryę papierów. Polecam twej ciekawości szuflady tego tam biurka. Jestto biurko prywatne, nie urzędowe, biurko *viveur*'a, nie przemysłowca, biurko, przy którem czytano i pisano listy miłosne; fałszowanie weksli i bilansów odbywało się przy innem.

Radca poprawił szkieł na nosie i płomień u lampy i zatopił się w papierach, w tym puchu marnym, zawisłym od zębów myszy i lichej iskierki, w którym utrwala się cała wielkość i cała nędza człowieka, jego duszy, jego czynów, jego historyi. Funkcyę tę poruczono w tym wypadku wyjątkowo tej niepospolitej sile. Wyjątkowy skandal wymagał wyjątkowej ręki — a także dyskretnej. Nie chciano składać w pierwsze lepsze ręce tajemnic, których rozciągłości nikt nie był w stanie przewidzieć i dlatego się ich wszyscy bali.

Niemniej ochoczo, z innemi jednak uczuciami, zabrał się bratanek, młodziutki, początkujący adept Temidy, który umiał się czasem rumienić jak dziewczyna, do swego nieoficyalnego przeglądu. Biurko *viveur'a*! Niemy i naraz obdarzony mową powiernik słynnego Don Żuana! tego rycerza zwycięskiej miłości, który posiadał wszystko, co łamie kobietę: imię, tytuł, stanowisko, stosunki, pieniądze, urodę, młodość i sławę niezwyciężonego, na którego wspomnienie oczy jednych kobiet okrywały się mgłą rozkoszną a usta innych, skazanych, wykrzywiały udaną wzgardą...

Ciekawość, zazdrość i żądza, rosnąca jak pożar, rozpalały szybko młodego człowieka. Ze zdumieniem przerzucał bileciki, listy, telegramy, na których już jakaś ręka popodkreślała gdzieniegdzie zdumiewające zapałem lub cynizmem wybuchy namiętności, sensacyjne szczegóły, zagadkowe litery, imiona, pseudonimy i nazwiska, znane całemu światu, czasem śmieszne, czasem zadziwiające — tu, w tem archiwum miłosnem, na listach najściślej poufnej natury, które oddawały wiernie cały nastrój sypialni kochanków przy drzwiach zamkniętych i opuszczonej rolecie... — A listów tych i korespondencyj, z których przecie każda niemal reprezentowała całą osobną historyę, całą szaloną fugę pieszczot od pierwszego namiętnego pocałunku poznania aż do ostatniego wymuszonego przed rozejściem — były setki, może tysiące!

Ileż ten człowiek miał sił! czasu! ochoty, sposobności i szczęścia!... Istny czarownik... Rubens! Napoleon! Lope de Vega miłości...

— Może się nudzisz Mieciu?... Dam ci akta szwindlu z przedsiębiorstwem tkackiem...

— O nie, dziękuję...

— Wolisz miłość?... Łobuzie. Zgłębiaj więc

miłość. Tem lepiej dla ciebie, im prędzej poznasz, jaka to płytka toń.

Młody człowiek zdumiewał się po prostu ilości zwycięstw. Ileż ten hultaj kobiet uwiódł! przez ile był kochany!... Niepodobna ich było zliczyć. Listy zapełniały trzy szuflady. Kilkaset charakterów pism składało się na nie. Trudno było przypuścić, aby między niemi znajdowały się listy od zwykłych kokotek. Ten człowiek nie potrzebował chyba sięgać tak nizko po słodkie owoce dla swego nienasyconego podniebienia. A więc?... Kto one były te wszystkie, ukryte pod maską tajemnych znaków, liter, imion przybranych, fantastycznych nazwań, związanych zapewne z wypadkami, pełnych znaczenia, choć niezrozumiałych obcemu...

Następna szuflada zawierała fotografie. Rzucił się na nie w pierwszej chwili łakomie, były to bowiem same fotografie kobiet, młodych i ładnych wyłącznie, kobiet ze wszystkich sfer, zapewne kochanek, ale nie było to pewnem. Jedynie obecność ich w tym zbiorze nasuwała to podejrzenie. Młody człowiek, pieszcząc swe iskrzące oczy widokiem tych ślicznych kwiatów piękności kobiecej, wychylających figlarne lub

poważne usta, oczy, noski, z bukietu włosów, układających się dokoła nich na tysiąc rozmaitych sposobów, — z goryczą pewną począł myśleć, ilu też kochanków, narzeczonych i mężów rozpoznałoby może pośród tych twarzy rysy tej, która przysięgała im rozogniona i drżąca miłość pierwszą i jedyną, a w przeddzień lub nazajutrz po tej przysiędze zostawiała swój portret temu raubritterowi miłości, który dołączał go do kolekcyi. Gdyby je tak wystawić na widok publiczny? — co za rewelacya!... co za jaskrawe światło, rzucone w kłamliwy mrok życia obyczajnej społeczności, w nietykalną tajemnicę prywatnych egzystencyj i sanktuaryum rodzinnych ognisk.

I pomyśleć sobie, że potrzeba było, aby ten tryumfująco uśmiechnięty i dumny światowiec, spadkobierca baronowskiej korony i historycznego nazwiska, wygłaszający przy każdej okazyi surowe zasady etyczne, który jednocześnie rozjeżdżał ludzi po ulicach, a zawisłych od siebie traktował jak psów — okazał się pospolitym łotrem, długoletnim zbrodniarzem, opierającym swe stosunki, swe wesołe i wystawne życie na kradzieży i oszustwie, by się odsłoniło

całe to bagno brudów, w których nienasycony i brutalny egoizm topił cudze mienie, cudzą uczciwość i spokój...

— Jakże się bawisz?

— Tak sobie.

— Widziałeś już album?

— Album?... Czy to w zielonym pluszu z złotym amorkiem na wierzchu?...

— To samo.

— Właśnie je biorę w ręce.

— Nie wypuszczaj go z nich. Polecam je twojej uwadze. Ale się spiesz. Za chwilę idziemy.

Otwarł metalową zapinkę i spojrzał na pierwszą fotografię w podłużnym, makartowskim formacie.

No tak, naturalnie; można się tego było spodziewać... Naga kobieta. Nagość współczesna, aktualna, z natury, nie z obrazu, zresztą pełna smaku. Dziwić się raczej należało, że dotąd nie spotkał ani jednego takiego okazu w całym zbiorze. Skrzywił się jednak z niesmakiem. Ubóstwiał miłość, brzydził się pornografią. Czyliż stryj nie wie o tem? Mimo to przeglądał karty albumu jedną po drugiej, nie bardzo zajęty tem:

wspaniałemi co prawda ciałami, które w coraz to innych pozach bachantek, nimf, Led, Wener, robiły jednak wszystkie razem wrażenie pozujących za pieniądze kokot, aktorek lub szansonistek...

Naraz... Co?... co?!... Zatrzymał się jak wryty. Oddalił oczy od albumu, nie odrywając ich od najświeższej karty, a potem nachylił się ku niej napowrót i wpatrywał się osłupiały w odtworzoną na niej kobietę w ślicznej pozie, jak pijana Nimfa, wijącą się na pstrym, pofałdowanym kobiercu...

Ależ to... tak jest!... niewątpliwie!...

— Stryju! Ależ to pani U.!...

— Tak jest, mój chłopczyku, ona sama; pierwsza z kolei znajoma mi w oryginale piękność z uwiecznionych w galeryi.

— Czy stryj jest pewny, że to ona rzeczywiście?...

— Za to ci mogę ręczyć. Zresztą dlaczegóżby nie? To rasowa kobieta. Musiałeś słyszeć coś o tem. Ale nie wyczerpuj dla jednej całego twego zdumienia.

Rada stryja bywalca okazała się słuszną. Co drugą kartę Mieczysław na nowo wytrzeszczał oczy, spotykając ze zdumieniem jakąś śliczną,

podziwianą przez siebie, pożądaną skrycie, a szanowaną jawnie kobietę, z którą za szczyt szczęścia uważał sobie gawędzić dziesięć minut, przetańczyć walca, i którą całował ze czcią w rękę, wierząc niezłomnie, że tylko mąż jeden całuje ją gdzieś więcej. A teraz?... Teraz w nieprawdopodobnym jak sny rozpustne lub pijane hulanki karnawale bezwstydu przeciągały przed jego dziewiczemi oczyma utrwalone przez tak wiarygodnego świadka, jakim jest słońce — w rozkosznych, wdzięcznych, czasem zakłopotanych lub napół wylękłych, zawsze jednak to samo głoszących pozach, że były w mocy tego człowieka, zapominając o wszystkiem, wszystko depcąc...

I to nietylko kobiety Balzac'a lecz nawet całkiem młodziutkie lub takie, w których włosach odkrywano już — może tylko przez złośliwość — srebrne nitki... Ubóstwiane przez mężów!... rozkochane w dzieciach!... lekkie, według opinii, — zapominające się niekiedy, flirtujące tylko, nieskazitelne i zimne... Takie, na widok których myślało się: »no naturalnie«, i takie, które wzbudzały okrzyk: »ależ to niepodobna!«...

Kobiety wszystkich sfer, wszelakiej urody i każdego wieku. Drobniutkie a smukłe jak laleczki i otyłe jak hurysy; zażenowane jak dziewczę, zaskoczone w kąpieli, i rozpustne jak Leda; eteryczne jak Psyche lub pełne majestatu Diany — cały harem zamaskowanych kokot, z których twarzy szatan-przypadek zdzierał koronkową i wonną maseczkę kłamstwa.

Wyglądało to jak potwarz, zuchwale obryzgująca błotem to, co zdawało się dotąd niedosiężonem; przewracająca na opak długo, mozolnie, a z powodzeniem graną komedyę ludzką.

Do dyabła!... Czyż to możliwe?... Czy one naprawdę są tak podłe... wszystkie może tak podłe, jak te hypokrytki światowe?... A może poprostu wierność, wstyd, czystość, są głupią złudą sentymentalizmu łatwowiernych niedołęgów, złudą, z której przyroda i życie drwią bez litości, złudą, która w kobiecie pryska wobec pojawienia się silnego samca?...

Spojrzawszy mimowoli na portret zwycięzkiego barona na ścianie, jak gdyby w oczach tych, patrzących śmiało, wesoło, bezczelnie, zda-

jących się z cynizmem szydzić z jego naiwnych snów o cichej, skromnej, wiernej żoneczce, szukał rozwiązania zagadki — rozpłynął się w zawrotnych mrokach pessymistycznej zadumy, gdy nagle ocucił go głos stryja:

— I cóż ty na tę wdówkę po głośnym rzeźbiarzu?!... na tę lilijkę przeczystą?!... kroczącą przez ulice ze spuszczonemi oczyma, ze skromną minką zakonnicy?... Prawda, jaki z niej miły łobuz tu, kiedy się przeciąga tak rozkosznie na tygrysiej skórze?... Taki przecudny biust, trący się o szorstką skórę tygrysa... Brr!... iskry lecą...

— Stryju!... stryju!!... ale powiedz mi przez Boga, jakim sposobem...

— Jakim?... No oczywiście, że nie u fotografa dla wszystkich, nie u firmy »Apollo« ani u braci Światłowskich. Zresztą sposobem najprostszym. Fotografia amatorska jest dziś tak rozpowszechnioną i przystępną, a aparaty migawkowe do momentalnych zdjęć tak udoskonalone... Kobietka, upojona szampanem a nadewszystko miłością, staje się filozofką, przestaje się troszczyć o cały świat; przytem jest jej wesoło, gorąco, o co umiano się postarać... Odrzuci-

wszy więc już dawniej wszelkie skrupuły, dlaczego nie miałaby także odrzucić i wszystkich sukni?... Wówczas on nagle powiada: »Wiesz co, mój ideale, jesteś w tej pozie czarującą!... Nie ruszaj się, proszę, niech ci się napatrzę!...« I odstępuje parę kroków, akurat do tego kącika, gdzie — o! jak widzisz — wśród fałdów draperyi stoi dotąd jeszcze ukryty ten oto dodoskonały (informowałem się) aparat migawkowy. Jedno niepostrzeżone naciśnięcie balonika — i na przygotowanej kliszy »ona« zostaje uwiecznioną bystrem okiem objektywu, sama nie wiedząc o tem; kronice skandalicznej przybywa jeden pikantny sekrecik, a historyi obyczajów jeden dokument...

— Tak, tak, rozumiem... Ale aby tu przyjść... aby się na coś podobnego ważyć!...

— A! to znowu inna historya... Chodźmy. Przyjdę tu jeszcze raz jutro, poczem położy się pieczęcie. To znowu, widzisz, kwestya psychologii jednostek i psychologii płci... Nie myśl, abym chciał te panie odzierać w twoich oczach z szacunku. O nie. Owszem, zachowaj dla tych pięknych, wykwintnych, dowcipnych, nawet »dobrych«!... całą cześć — ale cześć taką, jakiej

są warte w każdym poszczególnym wypadku. Że niejedna z nich tylko na pozorną zasługuje — chciałem cię właśnie oświecić. Zresztą pamiętaj, żė człowiek wogóle jest bardzo słaby, a kobiety (czègośmy je długi czas starannie uczyli) są jeszcze słabsze. Należy im więc przebaczać, tem bardziėj, że tak są milutkie!... tak pomimo wszystko milutkie!... Nie trzeba jednak dla tego jednego zapominać o wszystkiem innem, bo toby nas zaprowadzić mogło do nieobliczalnych głupstw. Dlatego też radzę ci Mieciu żeń się z córką Sakiewskiego. Córka nadradcy jest piękna, przyznaję to, jak jutrzenka, i płomienna jak Wenus. Doskonała na kochankę — może dać cudny rok życia (takie kobiety stają się nieznośnemi po roku). Jako żona — zatrułaby ci egzystencyę. Na żonę najlepsze są potulne gąski, kwoczki gospodarne, ciche trochę, anemiczne, skłonne do tycia, o wąskich ustach, bladych oczach i sercu jagnięcia. Taka kocha do śmierci, bo kocha słabo. Jej bez obawy powierzyć możesz swój dom i swój honor, w chwili, kiedy sam spieszyć będziesz na schadzkę, jeśli twój temperament przymusi cię do tego. Przy tem Sakiewska jast partyą posażną!... jej

ojciec oprócz dużego majątku ma stosunki!...— a nadradca co?... Za pół roku przejdzie w stan spoczynku i nie wiem, czy ktoś potem więcej oprócz woźnego z jego biura kłaniać mu się będzie.

Łzy.

...Nie! wierzaj mi, nie ma na świecie nic głupszego od nawracania na drogę cnoty kobiet, które po niej kroczyć przestały, i radzę ci szczerze: nie czyń podobnego głupstwa nigdy! · Raz tylko wprawdzie miałem sposobność przekonać się, do czego poprawianie grzesznic prowadzi, ale ten jeden raz wystarczył mi na całe życie.

Miałem wtedy lat dwadzieścia i formalną manię uwodzenia szwaczek. Mania ta grasowała wówczas pośród młodzieży epidemicznie i o ile wiem, do dziś dnia jeszcze nie wygasła. Przebieg choroby prosty i krótki. Powiadasz sobie na widok jakiejś facetki: »a teraz ta«! — po niedługich zabiegach słowa stają się faktem lub rozbijają o opór ofiary — tak czy owak porzucasz ją niebawem i gonisz za nowemi.

Pewnej niedzieli w zimie uwziąłem się za-

raz po obiedzie na jakąś nieznajomą blondynkę, która po za tem, że była dla mnie od stóp do głów nową, miała w sobie wszystkie wabiki ośmnastoletniego łobuza w spodniczce, dość jeszcze świeżego, lecz popsutego już w każdym razie, który każe się namawiać do grzechu, choć go już kosztował, lecz nie da się namówić pierwszemu lepszemu.

Była zarumienioną mrozem, tłuściutką, miała gęste, wełniste włosy koloru miedzi, pełny biust, małą nóżkę, stąpała zgrabnie po ślizkich taflach trotoaru, z chmurką pary, wyrzucanej oddechem, przy nosku i ustach. Oczy jej, strzelając po przechodniach, zahaczyły o mnie od pierwszego spojrzenia, tak, że uznałem natychmiast za obowiązek honoru przyczepić się do niej i wsunąć jej rękę pod ramię.

Dopóki było jasno, śmiała się półprzyjaźnie, pół drwiąco z niezliczonych błazeństw, w które raz po raz podawałem jej zawiniętą bezwstydną propozycyę spożycia z nią jabłka. Lecz kiedy słońce skryło się za szczyty dachów, w powietrzu znikła brylantowa mgła i wzmagający się coraz bardziej mróz począł dokuczać, odezwała się w końcu bez ceremonii:

— Więc gdzie pan ostatecznie mieszka?

— Gdzie pani każe, a właściwie...

— ...Zgoda, zjedzmy kolacyę w »Centralnym« — i wsunąwszy teraz swoją rękę pod moje ramię, przycisnęła się rozkosznie do mego boku a w dziarskiej składności, z jaką poczęła od tej chwili iść równym ze mną krokiem, był już słodki przedsmak ofiary, jaką uczynić musiała dla mnie w duchu z wieczora tej niedzieli i z swego dobrego serduszka. Przestaliśmy do siebie całkiem mówić, mając sobie do powiedzenia zbyt wiele.

Ale zapał, jakim wybuchnąłem zaraz niemal po przekroczeniu progu, zgasiła straszliwą groźbą:

— Tylko proszę: żadnych poufałości! bo pójdę natychmiast... Każ pan podać herbatę i usiądź grzecznie przy stole...

— Przy stole?!... Ani myślę. Nie głupim za stołem marnować życie. Są daleko wygodniejsze sprzęty. Zresztą i pani nie przebaczyłabyś mi tego nigdy... Przyznaj się...

Ba!... zaczyna drapać!... Obrona jej nie jest udaną. Tak szelmutka, tak łatwa w początkach, staje się w dalszym ciągu niemożliwą, chce, żeby ją zdobywać na seryo, jak nowicyuszkę.

Trudna rada, poddałem się trudnym warunkom jej gustu. Wolałbym wprawdzie lekkie miłosne *capriccio*, pełne figli i śmiechów, w bokacyuszowskim stylu, — skoro jednak konieczność zmuszała do ciężkiej, ponurej blokady gdzieś z zmysłowych pieczar Rougon-Maquartów, gotów byłem podjąć się i takiej roboty. Daremnie jednak gorzałem; była zimną jak lód.

Po upływie godziny, może dwóch, może trzech godzin daremnych przymileń, zmarnowanych forteli, uczułem się w końcu urażonym tem igraniem z moją najlepszą wolą, zapałem i wytrwałością. Gdy nadto policzyłem podrapania na rękach, oberwane guziki, ilość wylanego potu, wyszafowanych sił i wszystkie wogóle szkody toaletowe, cielesne i moralne, poniesione w tej kampanii, odsunąłem się od niej porywczo i tłumiąc w zębach obelgę, rzuciłem się wściekły w drugi kąt kanapy.

Naraz uczułem na szyi dwoje ochoczych ramion i usta napastliwe przy mych ustach.

— Gniewasz się?

— Naturalnie, że się gniewam.

(Właściwie już się nie gniewałem).

— O co?

— Jak można znęcać się tak nad kimś?!...

— Czyż nie możemy pożartować?

— Więc to nie było na seryo?!...

— Rozumie się, że nie. Jest dopiero po siódmej, cóżbyśmy robili cały wieczór!...

Więc ona się tak droczyła dla naszego wspólnego dobra!... O mój aniele!... Ależ to zupełnie co innego. Porwałem ją w objęcia zachwycony — a raczej ona mnie teraz porwała... Przycisnąłem namiętnie wargi do jej ust — a raczej ona swoje do moich przycisnęła — i...

Lecz stała się rzecz fatalna...

Teraz ja byłem niby głaz — jak ona przed chwilą...

Nie zaraz to spostrzegłem, lecz skorom spostrzegł — formalny strach mnie ogarnął!... Coś podobnego zdarzało mi się po raz pierwszy w życiu! Nie tylko strach, ale i wstyd, i melancholia bez granic...

Bo ona gorzała teraz, jak ja do niedawna, wszystkiemi cząsteczkami swej istoty, porywała mnie! paliła!... — a ja byłem zimny jak lód...

Z początku próbowałem ją okłamywać, ale uczuwszy, że ta komedya długo przeciągać

się nie da, opuściłem nagle ramiona i poddając się rozpaczy, westchnąłem mimo woli...

— Co ci się stało?!...

— Nic.

— Nie prawda. Posmutniałeś tak nagle.

— Nie posmutniałem bynajmniej.

— Przecież widzę...

— Zdaje ci się...

— Nie kłam... Powiedz mi!... Możeś chory? Może ci się przypomniało coś przykrego? Może masz jakie zmartwienie?...

Co tu powiedzieć?... jak się wykręcić?... Ciekawość jej była wysoce podrażnioną...

— A nie będziesz się gniewać?...

— Nie!... tylko mów!...

Oto ogarnęły mnie... wyrzuty sumienia... żal nad nią... nad tą młodą, śliczną, rozkoszną a słabą, łatwowierną istotą, którą »bałamuciłem« dla własnej uciechy, a której los!...

Nie podobna mi przypomnieć sobie wszystko, czem na pół ją, na pół siebie okłamywać zacząłem — pamiętam jednak, że kłamałem z efektem... Efekt ten zresztą jedynym był dla mnie ratunkiem. Mówiłem zrazu dla uciszenia jej pytań, dla zamaskowania mojej słabości, później

dla konsekwencyi, w końcu jednak wymowa mnie uniosła, własne frazesy upoiły, wrażenie, jakie wywierałem, udzieliło się mnie samemu i uwierzyłem naraz, że z lekkomyślnego pustaka przedzierzgam się w istotę ludzką, czującą zło, brzydotę i krzywdę miłostek ulicznych, żałującą ich, brzydzącą się niemi... Skazany złośliwą psotą przypadku na przymusowe nawrócenie, widziałem grzech w najczarniejszych kolorach i starałem się ze wszystkich sił, aby i ona widziała go w takich.

I dokazałem tego. Melodramatyczny patos w pokoju źle oświeconym, przy mocnej herbacie i ciastach przesyconych wanilią, zrobił swoje. Musiała przy tem być trochę sentymentalną, trochę nerwową. Opuściła ramiona, zwiesiła główkę, a z pod spuszczonych rzęs stoczyły się dwie łzy żałosne...

Zwyciężyłem!... Przejąłem ją mym nastrojem!... Pogardzała grzechem jak ja!... Jak ja bolała nad swym upadkiem!...

Ale — o nieśmiertelny cudzie łez kobiecych!... Płacz jej nie podziałał na mnie wcale umoralniająco... Zamiast umocnić mnie w cnocie, począł nią chwiać, trząść, rozwalać ją, burzyć, aż

z wspaniałego gmachu pozostała tylko garść pyłu znikoma...

Oceniłem naraz napowrót jej piękność ze strony właściwej, przylgnąłem oczyma do jej białej szyi, do jej policzków rozognionych płaczem, do piersi, którą szarpały łkania, zapragnąłem na nowo, stokroć silniej, przycisnąć ją do siebie, jak człowiek kochający bez granic, który chce być kochanym nawzajem i to natychmiast!... i to ze wszystkich sił!... bo nie ma nic nad miłość!... nic!... nic!... nic!... dopóki się ją odczuwa w jej całej potędze...

Lecz odtrąciła mnie oburącz z nieopisaną gwałtownością.

— Kocham cię!...

— Nie! nie!!... Puść mnie pan!... Idę do domu... Natychmiast!... Nie zostanę tu ani chwili...

Próbowałem się ratować z rozpaczliwym pośpiechem. Najpierw wykręcać zapomocą sofizmatów sens mych wywodów moralnych, potem je wyśmiewać wesoło, szydzić z nich cynicznie, wreszcie je deptać... deptać z całą żywiołową siłą przekonania zwycięzkiej miłości.

Niestety — bez skutku. Każde nowe słowo, nowy argument, zdawały się tylko pogłębiać

przepaść między nami. Straciwszy wiarę w szczerość mej wymowy, nieczułą się stała na jej moc.

— Więc idziesz pani stanowczo?... Hm... Ale się zobaczymy jeszcze?...

— Nie! Nigdy! Z nikim!...

— Nawet ze mną?

— Nawet z panem! Ostatni raz w życiu!!...

Ładna historya! Przewróciłem jej w głowie zupełnie. Nie spojrzy odtąd na żadnego mężczyznę... A niech ją!...

Ale nie. Tak byłem ogłupiony i wyczerpany tem co zaszło, żem nie był w stanie ani jej przeklinać, ani ścigać. Wstydząc się oczu ludzkich, jak gdyby od pierwszego rzutu poznać musiały, jaką poniosłem klęskę, zamknąłem się w pokoju i wsłuchując się z niesmakiem i goryczą w żywy ruch hotelu, w dolatujące mnie z za ściany śmiechy i krzyki — zasnąłem na krześle, w ubraniu...

Przebudziłem się nazajutrz jakby połamany, zziębnięty, otruty czadem lampy, która świeciła się niezgaszona całą noc i do tego stopnia ogłuszony niewygodami desperackiego noclegu, że w pierwszej chwili nie mogłem poznać, gdzie jestem. Przypomniawszy sobie wszystko — skrzy-

wiłem się paskudnie, doznając przytem uczuć zapoznanego poety albo szulera, zgranego do nitki. Ale zaraz potem głupota, której w człowieku jest tak wiele, że niewiadomo, skąd się w nim jeszcze bierze miejsce na coś więcej, podszepnęła mi:

— To nic!... Spotkał cię ból, ale spełniłeś czyn dobry: nawróciłeś grzesznicę.

W chwili, kiedy wychodziłem z pokoju, drzwi sąsiedniego otwarły się również, wypuszczając na korytarz mężczyznę i kobietę, którzy bawili się wczoraj do późna tak wesoło o ścianę od mojej samotni.

Poznałem ją natychmiast. Była to moja nawrócona grzesznica.

Majówka.

— A teraz... precz mi z oczu!... Nie mogę na ciebie patrzeć! potworze!...

...Byłem z nim wczoraj, uważacie, na majówce w Rurach... Posłuchajcie, co mi to bydlę zrobiło.

...Tego roku Kocia pojechała na sezon do Rur. Ponieważ kabalarka przepowiedziała jej w zimie jeszcze szczęście, robiła więc sobie świetne nadzieje na całe lato. Tymczasem w Rurach ani psa — bajeczne pustki. Deszcz zadrwił z kabały. Telegrafuje więc do mnie Kocia we wtorek:

»Umrę z nudów — przyjedź chociaż na jeden dzień! Nr. 8«.

...Odpowiadam depeszą:

»Nie umieraj przed końcem tygodnia, pragnę poświęcić ci niedzielę«.

...Wczoraj rano nakupiłem wiktuałów, napitku, kwiatów, wszystkiego co lubimy oboje — i ja-

zda. Ale w ostatniej chwili przyszła mi do głowy myśl waryacka zaopatrzyć się w towarzysza podróży, takiego, coby to bawił, a nie zawadzał. Nawinęła mi się śmiejąca gęba tej małpy, myślę sobie: ten do tego jedyny — je za dwóch, pije za trzech, i śmieje się, nawet gdy nie ma z czego —; wziąłem go. Śmiała się bestya istotnie cały czas, śmieje się — o! — nawet dotąd: ze mnie!... Och! gdybym był przeczuł!...

...Ano, wziąłem go. Jedziemy, przyjeżdżamy, szukamy numeru 8-go i znajdujemy go. Śliczny domeczek, biały z żółciutką strzechą na zielonem tle sadu — jak jajko na szpinaku. Akurat na majówkę. W sadzie czerwienią się wiśnie, z warzywnego płomienieją maki, a cała ta bujność wygrzewa się rozkosznie w topieli skwaru, na który czekała długo. Baba czerwona, otyła, najedzona, uśmiechnięta, stoi przed progiem, podparta w boki rękoma jak dzbanek o dwu uszach.

— Macie wy tu kogo z miasta babusiu?

— Ojej!...

...To tu.

...Mówię do Franka: — Bierz te dwa kosze — ja wezmę tamten.

...Zobaczyłem w oknie z prawej strony domu damski kapelusz. To tam. Objuczeni oburącz, zeskakujemy na ziemię z Frankiem i wkraczamy w sień. Z po za uchylonych drzwi bieli się przewieszona na poręczy krzesła spodniczka czy coś pokrewnego. Któżby nie poznał po tem Koci!... To tam.

...Wchodzimy tedy, stawiamy kosze zjeżone szyjkami flaszek na stole, poczem ja siadam na kufrze i zaczynam weń bębnić z całej siły a Franek porywa z okna dwie blaszane pokrywki i uderza w nie jak w czynele. Wśród tego wytrambiamy na dwa głosy z całego gardła jakiegoś marsza tryumfalnego na znak, że kochamy Kocię nad życie, że jesteśmy bardzo weseli i mamy nadzieję wybornie się bawić. Oczywiście pies przed domem zaczyna wściekle szczekać i targać się na łańcuchu a my wrzeszczymy dalej, gdy wtem drzwi sąsiedniej izby otwierają się, aby wypluć dwie osoby, o twarzach na pół zdumionych, na pół wylękłych hałaśliwą napaścią: Kapuścińscy!...

...Nie wszyscy wiecie, kto jest Kapuściński. Jestto mój nieoficyalny ale wpływowy opiekun, umocowany przez moją matkę i całą konste-

lacyę bezdzietnych wujów i ciotek, którym załatwia różne interesa, — do dyskretnego czuwania nademną, wypłacania mi pensyi ect.

...Nim zdołałem ochłonąć z przerażenia, przebiegle-głupia gęba Kapuścińskiego obleka się w wyraz szczęścia bez granic:

— A!... pan Gustaw!... pan Franciszek!... Witajcie!... Co za niespodzianka!... Co oni tu nie nawieźli...

...Bierze nas bez namysłu za swoich gości! a nasze kosze! kosze napełnione przezemnie z takim pietyzmem ulubionemi przysmakami Koci, za gościniec dla siebie i swojej baby!...

...W chwili kiedy mu w myśli kości łamałem, Kapuściński całował mnie czule i ślinił, wykrzykując raz po raz:

— Poczciwi!... Pamiętali o nas... Niech wam Bóg zapłaci!...

...A Franek już zaczął oczkować z Kapuścińską. Ten świńtuch nie przebiera. Zawsze głodny! — i gotów jeść wszystko, co się nawinie. A ona zdaje się pochodzi z tej samej rasy.

...Tymczasem Kapuściński, obwąchawszy już moje pakiety i flaszki, wręczywszy bukiet, przeznaczony dla Koci, swej żonie i popchnąwszy

w me objęcia, dla Koci otwarte, tę starą kokietkę — wykrzyknął uroczyście:

— Drodzy moi!... W samą porę przyjechaliście!... Z nieba nam spadacie!... Wyobraźcie sobie, co my tu mamy za chryję!...

...I uchyliwszy drzwi do sieni, aby go było lepiej w całym domu słychać, — wytacza sprawę.

...Wynajęli mieszkanie jeszcze w zimie na całe dwa miesiące, obecnie wprowadzili się, zapłacili z góry — bardzo dobrze.

— Ale chłop — powiada — wyniósł się na lato z całą rodziną do stodoły i stajni, i mając drugą połowę chałupy do wynajęcia, wynajął ją także — zgadnijcie komu?... Albo nie wysilajcie się lepiej napróżno, bo nigdy nie zgadniecie.

...I stanąwszy na progu, krzyknął w kierunku drzwi przeciwnych, po drugiej stronie sieni, tak, aby go Kocia, mieszkająca tam, słyszeć mogła:

— Kokotce!... Tak jest. Jak mnie tu żywego przed sobą widzicie, demimondówce z Pałacowej ulicy, której fach zresztą poznać łatwo z jej miny, choćby mi jej nie pokazali byli swego czasu rzeczoznawcy. Pomyślcie panowie, co za położenie!... Egzystencya po prostu niemożliwa w takiem sąsiedztwie!... Bo ona przyjmuje u sie-

bie — no pozwól duszko, ale muszę dotknąć tej niemiłej materyi — odkąd tu jesteśmy, nie było prawie dnia, żeby... To się niby wydaje nic, co się dziać może za ścianą. My w istocie nie widzimy, nie słyszymy i nie możemy na pozór wiedzieć — ale to się przecież czuje!... to człowieka oburzał... to... to... Przecież to pod jednym dachem! Przechodzący, którzy coś niecoś wiedzą, mogą się odwracać od nas i od naszych okien, myśląc, że to tu... Przybysze zaś, niedokładnie poinformowani, mogą zbłądzić do nas, myśląc, że wchodzą tam — i na odwrót nasi goście narażeni są na to, że przez pomyłkę zamiast tu, dostaną się do mieszkania tej lafiryndy... Kiedy pomyślę, że podobna przykrość i was mogła spotkać, moi mili...?! A potem na letniem mieszkaniu pragnie się spokoju i świeżego powietrza, dla duszy i dla ciała zarówno... Zażądaliśmy więc od chłopa, ażeby jej wymówił mieszkanie... Czy wiecie, co nam ten opryszek odpowiedział?!... Że ona tak samo płaci jak i my a nawet lepiej... »Nawet lepiej!...« — czy słyszycie?... Co za cynizm. Ba! ma czem płacić!... Ale ci chłopi?!... Pomyśleć, że są waryaci, którzy ujmują się za chłopem...

...Wszystko to wrzeszczał umyślnie w stronę drzwi Koci, aby jej dokuczyć. Zakończył wreszcie apostrofą:

— No, powiedz pan sam, kochany panie Gustawie, czy to nie ohydne?...

...A ja, który o tem wiedziałem doskonale, że Kocia w tej chwili z całej siły przyciska do drzwi swoich to jedno ucho, to drugie i który pragnąłem w te małe, śliczne uszka szeptać najpieszczotliwsze i najweselsze rzeczy w świecie, musiałem odrzec pełnomocnikowi moich bezdzietnych wujów i ciotek:

— Tak, to ohydne — jakbym brał jego stronę.

...Jednem słowem, chłop ani Koci wypowiedzieć, ani też czynszu z góry pobranego zwrócić nie chce. Z zimną krwią oświadcza, że nikogo obchodzić nie powinno, kto z drugiej strony sieni mieszka i czem się zajmuje. Każdy powinien patrzeć swego nosa. Ale to nic jeszcze. On nie życzy sobie w ogóle pozbywać się Kapucińskich, zarabiając od nich nie tylko za mieszkanie, ale za nabiał, warzywa, jagody, drób, usługę, co przy braku letników tego roku wiele znaczy. Więc odmówił im koni do przeprowadzki. Ponieważ zaś jest znanym we wsi zabijaką,

którego się wszyscy boją, więc nikt, z obawy przed nim, nie chce im domu podnająć ani udzielić koni. Cudem znaleźli sobie izbinę na leśniczówce, małe pół milki stąd. Teraz zaś drugi, jeszcze większy cud, zsyła nasz wózek i konia, którym przyjechaliśmy, a który pozwoli im oswobodzić się od tego sąsiedztwa zbratanych plugastw wielkiego miasta i wsi.

— No, moi drodzy, skoroście nas odwiedzili, na willegiaturze — poznajcież wszystkie rozkosze willegiatury.

...I uchwyciwszy oburącz za jeden koniec stołu, miodowym uśmiechem zmusił mnie, abym uchwycił za drugi i zaniósł go z nim na wózek. To samo stało się z resztą rzeczy: z kanapą, krzesłami, łóżkami, olbrzymim kufrem, z całą kupą pudeł, garnuszków i pościelą. Pracowaliśmy jak tragarze, śmiejąc się wesoło i żartując, oni jako uprzejmi gospodarstwo, ja jako dobrze wychowany gość, Franek, jako ostatnie bydlę, a chłopi pod płotami, jako liczna galerya doskonale bawiących się widzów, którym religia zabrania ciężkiej pracy w dzień świąteczny, ale nie broni wcale śmiać się do rozpuku z spoconych, zziajanych, potykających się

i niezaradnych ciarachów. Daremnie siliłem się na to, aby dorwawszy chwili, wpaść ukradkiem do Koci i zamienić z nią słowo. Kapuściński, w obawie, aby wśród przeprowadzki coś nie zginęło, deptał nam nieustannie po piętach.

...W ostatniej chwili, kiedy już kopiato naładowany wózek gotów był do odjazdu, rozpacz podyktowała mi szatański fortel. Wsunąłem w kącik za drzwiami moją laskę, aby, skoro się oddalimy na jakieś 200 kroków, nagle zawołać: »Do licha!... Gdzie moja laska?...« — wrócić po nią, rzucić się Koci w objęcia, zapewnić ją, że ją kocham nad życie i cokolwiek umówić.

...Zaledwieśmy jednak ruszyli z miejsca, Kapuściński, który znikł, po to widocznie, aby raz jeszcze wsunąć swój długi nos we wszystkie szpary i kąty, zawołał z tyłu za nami:

— Który to z panów zostawił sobie laskę?!...

...Zawyłem w duchu: »Bodajś się nią udławił« — odwróciłem się jednak i z najmilszym, na jaki mnie tylko stać, uśmiechem:

— Ach! to moja!... — rzekłem. — Przepraszam!... Serdecznie dziękuję!...

...Ujął mnie pod ramię, to bydlę Franek

podrygiwał już pod rękę z jego żoną — z tyłu leciały za nami śmiechy chłopów i jakaś piosnka podejrzanej treści.

— Prawda, jaka tu piękna okolica? — zapytał mnie Kapuściński. — Tylko drogi liche. Musimy się posuwać krok za krokiem.

...W połowie drogi kamienistej i pełnej wybojów musieliśmy się zatrzymać. Kanapa, ustawiona w poprzek wózka, podskakując na kamieniach, zaczęła zjeżdżać ku jednej stronie i groziła wywrotem całego misternie spiętrzonego ładunku sprzętów. Pół godziny czasu i nowy zapas sił zabrało nam przywrócenie równowagi wśród bagaży. Potem ruszyliśmy dalej i znowu noga za nogą, jak żółw, posuwaliśmy się ku jakiemuś domkowi na zboczu lasu, który nam Kapuściński ciągle pokazywał, a który zdawał się przed nami uciekać.

...Nakoniec stanęliśmy na leśniczówce. Powtórzyła się historya z ładowaniem mebli, tylko w odwrotnym kierunku. Nastąpiło rozmieszczanie ich, urządzanie mieszkania.

...Przyszło mi na myśl:

— A gdyby tak zachorować nagle?...

...Ale nie! Kapuściński dla wyłgania od kogoś

z mojej rodziny dowodów wdzięczności za troskliwość, gotówby mnie w takim razie jeszcze osobiście odwieźć do miasta!

...Więc dźwigałem graty, ustawiałem łóżka cuchnące pluskwami, przybijałem gwoździe, zbijałem sobie palce młotkiem, a wszystko to z humorem, aby się nie zdradzić, i z zapałem, aby ocalić bodaj godzinkę przed odjazdem dla Koci. Spieszyłem się z robotą, jakby mi za nią zapłacić miano, pracowałem za dwu, za trzech, za wszystkich, aby prędzej skończyć. Co?... I ty pracowałeś?... A tak. Istotnie. Wyszli oboje z Kapuścińską trzepać z kurzu firanki. Trwało to tak długo, że inny na miejscu jej męża byłby przynajmniej humor stracił. Ale ten cymbał nawet nie spojrzał na zegarek.

...W końcu gniazdko usłane zostało jak należy. Otarłem pot z czoła i pomyślałem: nareszcie jesteś wolny« — z zadowoleniem człowieka, który ciężko na wyzwolenie pracował. Wtem otwierają się drzwi — i ukazuje się Kapuścińska, wprowadzając dziewkę leśniczyny z tacą, na tacy: moje ciasta, moje wędliny, owoce, wino, cała uczta, przywieziona dla Koci!...

— Po pracy należy się nagroda!... — miała czelność powiedzieć.

...Daremnie się zarzekałem, tłomacząc, że muszę wracać osobowym pociągiem, który odchodzi za godzinę.

— Nie! najdrożsi! Nie puścimy was za nic w świecie!... A toby dopiero ładnie było, po tem, co panowie dla nas uczyniliście, pożegnać was, nie nakarmiwszy, nie napoiwszy, nie ugościwszy... W niedzielę zresztą w osobowych przepełnienie, tymczasem pospiesznym w godzinę później, mówię wam: królewska jazda!...

...A Franek... ten wyrzutek!... potakiwał mu. Bal jemu się świetnie wiodło. Ponieważ samowar zgasł na stole, wynieśli oboje z Kapuścińską machinę na dwór i dmuchali w nią, daję słowo, z trzy kwadranse!... Zniecierpliwiony zwróciłem na to uwagę Kapuścińskiego. Uspokoił mnie z flegmą, że samowar jest »trochę« popsuty. Tego mi było zanadto. Wrzasnąłem na niego z wściekłością:

— Ależ panie! pański samowar jest kompletnie do niczego!... — aż na krześle podskoczył.

...Zrezygnowałem wreszcie w duchu z odjazdu pospiesznym. Pojadę rano — myślę. Na-

rażę się szefowi, ale przebłagam Kocię. Nie mogę przecież, nie potrafię w drodze na kolej minąć jej domu, nie wstąpiwszy; a skoro wstąpię...

...Lecz wyobraźcie sobie, co te potwory mi robią!... Odprowadzają nas na kolej!...

— Nie! nie puścimy was samych. A toby dopiero była gościnność!!...

...I odstawili nas osobiście na dworzec. Ona Franka, a mąż jej mnie. Sam nam kupił bilety, wsadził do wagonu, zatrzasnął za nami drzwiczki i posyłając nam razem z żoną całusy, zaklinał, bestya, już po sygnale, zdążając przez chwilę po wyruszeniu pociągu za naszem okienkiem:

— A przyjedźcie znów kiedy przepędzić z nami takie rozkoszne popołudnie!...

...Zaczęli powiewać chustkami, my powiewaliśmy także — właściwie on powiewał, ten łotr Franek, więc i ja musiałem...

...Czy wiecie, jakie jeszcze za to, że go z sobą wziąłem, że mu zapłaciłem kolej, że jadł, pił i przyprawiał rogi Kapuścińskiemu za moje pieniądze — jakie na domiar wszystkiego popełnił łajdactwo?...

...Kiedy pociąg wysunął się zwolna za stacyę,

chciałem wyskoczyć z wagonu, aby powrócić do Koci, i wyszedłem w tym celu na platformę. Tymczasem ten zdrajca woła konduktora i we dwóch zatrzymują mnie za surdut.

— Ocaliłem ci życie!

— Ale mi urwałeś połę!... idyoto.

Och! ta literatura!...

Komuż jest obcym zgubny wpływ drukowanego słowa?!... Kto z nas nie biada nad fatalnemi szkodami, jakie wszyscy ci truciciele ducha, którzy n. p. opiewali miłość, przynieśli i przynoszą ludzkości. Nie jest wolnym od grzechów w tym kierunku i sam autor *Quovadisu*, — w danym razie, co prawda, na szkodę paru jednostek tylko.

Mówię o ekspedytorze pocztowym w Żabiem Siole, Piotrusiu Dzińdzińskim. Jestto ekspedytor tak fenomenalnie wzorowy, że gdyby kiedykolwiek gdzieś w granicach monarchii zawakowało miejsce asystenta, z pięciu tysięcy dwustu czterdziestu siedmiu ekspedytorów, oczekujących z tęsknotą na wakans taki, on je powinien otrzymać pierwszy. Na razie młody człowiek pracuje gorliwie i czeka z ufnością, którą za słuszną uznają wszyscy, nie wyłączając jego

szefa, pocztmistrza Zdunia, głoszącego otwarcie, że taki wrodzony geniusz ekspedytorski, jak u Dzińdzińskiego, raz tylko jeden jeszcze w ciągu 20-letniego pocztmistrzowania zdarzyło mu się spotkać: w samym sobie.

Nieszczęścia genialnego ekspedytora, zrządzone przez literaturę, zaczęły się od ukazania się w »Tygodniku« tego rozdziału »Krzyżaków«, w którym po raz pierwszy występuje Jagienka.

Pocztmistrz Zduń miał córkę. Karłowate, wątłe, kaszlące, niedowidzące, z wypiekami na twarzy czupiradełko, które jak każda, bez względu na wiek i urodę, przeciętna zjadaczka »zajmujących« powieści, nie omieszkało, utonąwszy w »Krzyżakach«, wyobrazić sobie na miejscu Jagienki siebie, a na miejscu Zbyszka najbliższego jaki był pod ręką kawalera, a więc Piotrusia Dzińdzińskiego.

Nie stało się to bez przyczyny samego Zdunia, który w swojej patrzącej w przyszłość duszy ojcowskiej oddawna na Dzińdzińskiego z wielu racyj miał chrapkę.

Po pierwsze Hance niebodze o męża będzie trudno, a już jej dyabelnie czas, oczy ma podkrążone codzień głębiej... Po drugie zięć-poczto-

wiec z córką wziąłby i pocztę, nie zmarniałby interes w obcych rękach. Po trzecie — z trudem skrywane dotąd tajemnice poczty w Żabiem Stole ubezpieczyłaby na wieki pieczęć tajemnicy rodzinnej. Po czwarte ideałem Zdunia, eksnauczyciela ludowego, który pod powierzchownym lakierem abecadłowej tresury zachował duszę z lasu, było nazwisko, kończące się na: ski. Dawno już sam przezwałby się Zduńskim lub Zduniewiczem, gdyby nie zabobonny lęk kary bożej za odstępstwo, oraz nie spekulacya na dwumorgową schedę po jakimś bezdzietnym »stryku«. Tymczasem nauczył się kończyć swój podpis misternym gzygzakiem, który wyglądał na »ski«, pozwalał nazywać się znajomym: »panie Zduński« — i marzył, aby bodaj Hanka po mężu otrzymała nazwisko z pańską końcówką.

Ale wzorowy ekspedytor miał się z tej strony na baczności. Instynkt, który istoty żywe ostrzega o grożącem im niebezpieczeństwie, i jemu, zanim jeszcze rodzic i córa wabić go poczęli w swoje objęcia, szepnął: »omijaj bracie to podwórko«. Trzymał się więc ogromnie zdala, ze wszystkich sił unikając zetknięcia. Czynił to zaś

dlatego — bo i on był pod zgubnym wpływem literackich trucizn: był opętany Boccaciem...

On nie chciał jednej kobiety, on pragnął wszystkich. Marzeniem tego młodzieńca było mieszkać w Turcyi i mieć harem: w jednym pokoju piętnaście pism humorystycznych, jakie tylko przychodzą na pocztę w Żabiem Siole z europejskich Babilonów najmaśniejsze, — w drugim pokoju piętnaście niebianek, jakie tylko najponętniejsze ten padoł wydaje. (Erotoman!... niech niebo uchowa każdego od takiej choroby !...)

To też celem jego życiowym było, zostawszy asystentem, przenieść się do Serajewa, gdzie panują obyczaje tureckie, i obłożyć się *Caviarami* i *Karikaturami* z jednej, Fatmami i Zulejkami z drugiej strony, — na razie zaś czytywał te pisma na poczcie, zanim je listonosz odniósł na probostwo, łamał, lub przynajmniej łamać usiłował wszystkie łamliwsze cnoty damskie w Żabiem Siole oraz rysował w biurze na bibule przedmioty swych pożądań we wszelkich rozmiarach, negliżach i pozach.

Hanka Zduniówna ani mu była w głowie. I nie dlatego, że wzrost miała karli a stopy ol-

brzyma. Nie dlatego, że z przodu przypominała mopsa a z boku małpę. Nie dlatego, że kaszlała jak suchotnica, że nosiła brudne spodnice, że jej często opadała pończocha, że oczy jej były bardziej podkrążone niż niejednej młodej mężatki w najbardziej miodowych miesiącach — nie dlatego nawet, że ojciec jej był nieokrzesańcem, śmierdział wódką jak kufa, łamał sobie żebra i nabijał guzy po pijanemu, a na poczcie robił szwindle. Nie, tylko dlatego, że Dzińdziński urodził się polygamem.

Wyniknęła stąd arcyucieszna, powtarzająca się od wieków w milionach miejsc i form — obława na tego grubego zwierza, który się zowie zięciem; obława, polegająca na pokazywaniu »zwierzowi« Hanki w rozmaitych ponętnych stroikach, w dniach, w których wyglądała wyjątkowo uroczo, na wyliczaniu jej cnót, na przedstawianiu w tęczowych barwach raju małżeństwa, przeciwstawianiu mu nędz i niebezpieczeństw samotnej i jałowej kawalerskiej egzystencyi, na częstowaniu go w coraz większych dawkach plackami roboty Hanki (które, nie jedząc ich, chował potajemnie do kieszeni, świadom babskich podstępów), na częstem wspo-

minaniu jakiegoś legendowego bezdzietnego krewniaka bogacza, oraz na codziennem zapewnianiu, że Hanka przepada za blondynami (jak Dzińdziński), za umiejącymi grać na okarinie (jak Dzińdziński) — i zbierającymi marki pocztowe (jak Dzińdziński).

Ile razy Sienkiewicz opuszczał amory Jagienki na parę rozdziałów, ataki Zdunia i Zduniówny słabły i prenumeratorzy »Tygodnika« w Żabiem Siole i okolicy otrzymywali pismo regularnie a ekspedytor miał ze strony pocztmistrzanki spokój. Ile razy jednak rozmiłowana w Zbyszku dziewka wracała na scenę, Hanka poczynała schnąć z miłości, groziła ojcu wstąpieniem do klasztoru, ekspedytor opędzić się nie mógł jej i jej ojca natarczywościom, a abonenci »Tygodnika« to ten, to ów, słali do redakcyi piorunujące kartki z wyrzutami o nieregularną wysyłkę, które nie dochodziły naturalnie.

— Cóż za bezwstydna bestya! — miotał się w duchu srodze nękany ale uparty ekspedytor. — Żaden tandeciarz nie wpycha tak przechodniom starych spodni, jak on mnie tę dziewkę.

Bronił się jednak krzepko i cierpiał po chrześcijańsku, albowiem przyświecał mu piękny cel.

Nakoniec pocztmistrz, który długi czas wierzył w nieomylność tego, co Sienkiewicz mówi ustami Maćka, że: czego baby chcą, spełnić się musi — stracił cierpliwość! Wysłał córkę do Częstochowy na wybicie z głowy miłosnych uroków, a kiedy i to nie pomogło i niezdolna zbudzić w swym ideale miłosnych apetytów dziewica poczęła się głodzić, cisnął raz wobec niej z pasyą numerem »Tygodnika« o ziemię i zaklął:

— Djabli nadali z tymi »Krzyżakami«! całkiem ci w głowie przewrócili! Zbyszko przynajmniej był chłop, a ten, przypatrz mu się jak wyglądal... Nos jak faja!... Gęba pogryziona skrofułami!...

— Nie widać...

— Bo nosi wysokie kołnierzyki!

— To tylko z jednej strony.

— Mogłaś sobie też była upatrzeć takiego coby na obie strony był dobry.

Doprowadzony do wściekłości i urażony głęboko w swej dumie wzgardzonego kandydata na teścia, Zduń wziął na energię. Przedewszystkiem napisał impertynencki anonym do Sienkiewicza za przewracanie w głowach dziewczę-

tom, następnie starał się zaniepokoić Dzińdzińskiego oziębłością, a wreszcie, wybadawszy, czy i o ile tenże zdołał zapoznać się z niektóremi rachunkowo-kasowemi tajemnicami poczty w Żabiem Siole, postanowił, jeżeli nic o nich nie wie, postarać się na jego miejsce o ekspedytora wrażliwszego na placki, pieczone przez córkę szefa, lub — zrzucić pychę z serca i poprosić Dzińdzińskiego otwarcie o jego rękę dla Hanki.

Nim się zdecydował — grom!...

Dzińdziński mianowany asystentem!... przeniesiony do Bośni!...

W szklance wody.

Pudlem?!...

Znajomi nazywali go w rzeczy samej moim pudlem, ale niesłusznie, bo chociaż traktowałem go jak pudla, z pudla jednak byłbym — myślę — więcej zadowolony. Przypominał mi raczej pod wielu względami — świnię.

...Raz — pamiętam — zrobiłem jakąś drwiącą uwagę o jego pożyciu z długoletnią konkubiną, samicą pokrewnego mu gatunku. (Kpiny służą mi w stosunkach z »przyjaciółmi« za rajtpajcz, jakim *Thierbändigerzy* trzymają w przyzwoitem od siebie oddaleniu swą trupę). Obruszył się. Ja za rajtpajcz. I wykazałem mu bolesnym świstem faktów, że są oboje żywą satyrą na miłość, na wolną miłość, na szczęście małżeńskie na lewą rękę.

— Na przykład nietylko jej pan nie kochasz,

ale nawet chlubisz się tem, że cała miłość po jej stronie. Czyż ona bodaj pana kocha?... Tak, przywiązaniem flegmatycznej nałożnicy do pierwszego lepszego, z którym ją złączy traf. Jest w tem zresztą więcej obawy przed wyrzuceniem za drzwi i znalezieniem się na bruku, przed sromotą zerwania, niż żądzy zostania razem do śmierci. Dodajmy ideę *fixe* wszystkich konkubin i utrzymanek: ślub!... To łańcuch ze stali. Na dwu końcach takiego łańcucha bywa zawsze: pasożyt i niewolnica. Tak też żyjecie. Pan wszystko — ona nic. Pan się ubierasz, jesz, pijesz, bawisz, o ile możesz — ona, chce czy nie chce, musi gotować, zamiatać, prać, myć, cerować, robić papierosy i czekać na zjawienie się miniaturowego sułtana z oficyn, któremu ustępuje krzesła, gdy chce usiąść, łóżka, kiedy mu się spodoba leżeć, pieca, jeśli mu zimno, okna, gdy duszno, kęsów z swego talerza i swojej pełnej szklanki, gdy własne już opróżnił, — z których to praw mocniejszego korzystasz pan w pełni, jak czworonożny Azor wobec swej Beli z tego samego podwórka, którą liże najczulej w pewnych momentach roku, po za niemi jednak tyranizuje bez litości. Z czego się pan śmiejesz?

— Z cierpień ofiary, na które się wcale nie skarży.

— Nie czułaby ich chyba — a musi je czuć, myśleć o nich, mówić, skarżyć się...

— Czy i przed panem?

— To obojętne, przed kim.

— Ale czy i przed panem także?... Albo nie. Wiem, ile mi trzeba. Dziękuję. Bardzo dziękuję.

— Za co?

Skarżyła się na niego — brawo!... doskonałe odkrycie! Dawno upragniony pretekst do zerwania!

— Jak to?... Tak od razu?!...

— Im prędzej, tem lepiej. Ach! jakiż jestem kontent!...

— Widzę. Aż się pan trzęsiesz. Ale spokojnie. Chodźmy na wodę sodową. Nie zapominaj pan, że to »słaba niewiasta«. Laskę panu odbiorę, ale dopiero przed bramą, bo teraz jeszcze nogi pod panem dygocą. W ogóle pozbądź się pan wszelkich przedmiotów twardych, wyjąwszy naturalnie własną głowę — i: spokoju! grandezzy! jak najmniej słów, jeszcze mniej giestów a broń Boże rozlewu krwi, bo krew sądem pachnie.

Żegnając go, dałbym był bez namysłu szóstkę

za to, aby być świadkiem mającej się rozegrać tej burzy w szklance wody, jaka głupcom zastępuje dramaty życiowe. Zaraz nazajutrz oznajmił mi, nadrabiając miną, rozpromieniony, że wszystko załatwione. Rozchodzą się!

— Przystała?

— Nie od razu. Taka, kiedy się człowieka czepi!... Postawiła warunek, że jej zapłacę 100 koron.

— Za co?!...

— Za: »piętnaście straconych lat życia«.

— Ha! ha! ha!... Po ileż to wypada za rok?!...

— Myślała, że się przestraszę kwoty!

— Ha! ha! ha!... Jak wy się znacie!...

— Przepraszam. Przystałem bez namysłu.

— I dałeś jej pan pieniądze?...

— Nie. Skądże! Dam, jak będę miał.

— O!... to może być spokojną o jutro!...

— To mnie pan nie znasz.

— Znam pana całego; to jest pański brzuch i kieszeń. Ale te bezinteresowne! przywiązane kochanki!... Jakież one podobne!... Jak z jednej formy!... Miłość się chwieje? — oho! — jest cyfra!... Jakże się to odbyło? Nie widzę na panu żadnych obrażeń.

— E, ja byłem bezpieczny.

— »Drogi« pomimo wszystko!

— Wściekła za to na pana!

— Na mnie?!

— Pan przecie wszystko wywołałeś.

— Ja?!...

— Powtarzając mi jej skargi.

— Ja panu jej skargi powtarzałem?!

— Nie mówiłeś pan, że myśli o mojej tyranii, że mówi o niej, że się na nią skarży?!

— Ależ ciemięgo!... Ja mówiłem, że tak być »musi« — nie, że tak »jest«! Ja tylko wnioskowałem!

— Dość, że wspomniała coś o witryoleju. Radzę panu strzedz się.

— Możeby się tak kopnąć do Ameryki? co?... Powiedz no pan jej, że mieszkam, gdzie zawsze, nic nie zmieniam w mych obyczajach, a jeśliby miała kłopot z witryolejem, dostarczę jej żądaną ilość po cenie kosztu. Zwaryowało do reszty babsko, jak Boga kocham!... Jak gdyby mi mogło coś zależeć na burzeniu jej szczęścia, którem bawiłem się tak serdecznie. Zresztą czyżem nie brał zawsze jej strony?.... Zarzucałem panu, że jej nie kochasz, więc chciałem widocznie,

abyś ją kochał. Chcę tego dotąd. Sto koron!... Już w tem samem co za dowód serca!... Zła kobieta nie sto-by żądała, lecz tysiąc, — nie mnie, lecz panu, groziłaby witryolejem. Przytem piętnaście lat zasług!... prawie jubilatka!... Nie zdradza pana — przynajmniej ze mną. Obmawia cię — więc cię kocha. Uwalnia cię za okupem, którego nigdy nie zdołasz złożyć — więc pragnie zgody! Gdzie pan znajdziesz taką drugą?... To perła!... I żeby tak choć trochę umiała gotować i myła się częściej... A nałogi sercowe?... Każda inna, po niej, wyda się panu gorszą... Dopłacać za gorszą sto koron!... Więc zamiast tej kwoty zanieś jej pan na zgodę, dwa ciastka z kremem, jej ulubione, tem więcej, że przynajmniej jedno z nich i tak sam zjesz i żyjcie dalej w tej samej co dotąd harmonii. Pan jej już w duchu przebaczyłeś. Paneś się z nią powinien ożenić. Pan się z nią jeszcze dochowasz dzieci!... A co?!.. Po takiej awanturze!!

Pogodzili się oczywiście, wyznał mi to z pewnem zażenowaniem.

— Trudno... Beczała... Przymilała się... Ona nie jest zła, tylko głupia.

— Powtarzam — to drugie — oddawna.

Tak nalegał, że dałem mu się do nich zaciągnąć. I nie żałowałem fatygi.

Zaraz po przyjściu rozwalił się z ostentacyą na kanapie, ona zaś, popodciągawszy pończóch i przypudrowawszy twarz w kącie, spędziła go zaraz z legowiska, aby z tryumfem zająć jego miejsce. Musiał jej podać papierosy, ogień, zapalić lampę, przynieść książkę, musiał jej w moich oczach usługiwać, jak ona jemu dawniej — teraz ona była tu panią! on podwładnym mężulkiem.

— Jacyż wyście zabawni! jacy zabawni! — parsknąłem im w oczy śmiechem na to widowisko, aż zczerwienieli.

— Tak?!... Może panu się zdaje, że gramy przed panem komedyę?... — syknęła tonem wściekłej straganiarki. — A pamiętasz pan, jakeś mnie raz, jak byłam sama, uszczypnął w łydkę?...

— Ja?!... panią?!... w łydkę?!!

— No, no, nie wypieraj się pan. Brzydak jeden. Co nie można, to nie można i koniec. Ja pana lubię, ale jego wolę, więc choćby się panu i udało nas poróżnić, jabym jemu i tak została wierną.

— W imię ojca i syna!... Więc pani myśli? pani chce we mnie wmówić... Ależ pani!... Przy-

sięgam, że chyba na całkiem bezludnej wyspie... a i to... Ja tłustych kobiet nie...

Nie wiem, co się z tą parką dzieje. On się podobno ożenił z jakąś starą babą, która go złapała na chałupę obdłużoną wyżej wartości, a ona została akuszerką, czy coś...

Kleszczowy poród.

— Zgadnijcie też, kogom tam, za przyjazdem, spotkał na pierwszy sztych?!... — wysapał Grubniewicz, lekarz powiatowy w X., siadając w kasynie do preferansa po trzydniowej, ogólną zazdrość i docinki budzącej wycieczce do stolicy.

— Kolegę z medycyny Kazka!... pamiętacie?... tego blondyna z prosięcemi oczami, co mi trzy lata temu trzymał do chrztu moją Dziunię.

...Ledwiem wyjechał z dworca — patrzę: we mgle rannej sunie jakaś znajoma postać, z torbą, jakich używamy na chirurgiczne narzędzia, w ręce. Kto?... On!... Lubimy się pasyami, hulało się swego czasu razem, że aż fe, więc jak nie huknę z doróżki, złożywszy w trąbę ręce:

— Cóż to?... czy teraz już i dentyści nie mogą chrapać spokojnie pod pierzyną choć do dziesiątej?...

...Obejrzał się, wytrzeszczył oczy... »Aaa!... Muniek!...« — i wali do mnie. Ściskamy się, ja go w dryndę, komenderuję furmanowi: »jedź« — a do niego: »mieszkasz gdzie dawniej?« — »Tak, ale nie jedźmyż do domu!...« — Więc gdzie?... Wymienił jakąś firmę, pojechaliśmy i... Aj! nie! dalibóg! te wielkie miasta!... Tam tylko się dowiesz, co można przeżyć na tym padole języczkiem, brzuchem i sercem.

...Po drodze ja do niego:

— Ileżeś tam naurywał trzonowych, tak na gwałt, po nocy?...

...Roześmiał się: »dajże pokój!« — i otwarłszy torbę, pokazuje mi: kleszcze porodowe i inne pokrewne instrumenty.

— Cóż to?... Przerzuciłeś się na akuszeryę?...

— Tak! — ale parsknął przytem takim śmiechem, aż mnie to zażenowało, więc zaraz szepcze: »Powiem ci wszystko — pod dachem«.

...Pod dachem zaatakowaliśmy nasamprzód puszki, słoje, butelki. Ale przyszła kolej i na to. Cóż — hultaj ma utrzymankę.

— A żona?!

...Właśnie. Żona wściekle zazdrosna już z samego patrzenia na te facetki, które do niego

procesyą z zębami przychodzą. Wierci mu ustawicznie dziurki w drzwiach od mieszkania do jego gabinetu, żeby go przez nie w godzinach konsultacyjnych szpiegować. To go zmusza zasłaniać drzwi grubą kotarą, bo niechby się do której pacyentki odezwał trochę grzeczniej albo jej czulej w gębę zajrzał — zaraz za drzwiami: trzaskanie, stuk mebli, besztanie sług, Bóg wie co!

— Ja muszę przy pracy mieć zupełną swobodę, najpierw w ogóle ze względu na klientki, które lubią, żeby z niemi jak z jajkiem, a potem czasem zdarzy się taka, że... rozumiesz przecie?... żeby człowiek nawet chciał, nie potrafi wobec niej bawić się w kamedułę...

...Właśnie taką jednę poznał dwa lata temu. Przyszła ząb wyrwać, poradził jej plombę i za drugą wizytą — przestał się wobec niej bawić w kamedułę...

...Dałem szelmie kułaka po tem wyznaniu — ale on: »E, ma to i swoje ciernie, ma!... Proszę cię: dwa lata kochać się jak uczniak, pokryjomu. Wymykać się z domu na godzinkę, półtorej, oglądając się, czy cię kto nie śledzi, kłamać przedtem i potem, wikłać się, drżeć!... Z początku jest w tem pewien pieprzyk awanturniczości,

niby manewry, wycieczka w góry, coś... Ale po pewnym czasie człek żonaty, który poznał i ocenił wszystkie dobre strony miłości legalnej, nie potrzebującej nikogo i niczego się lękać, przychodzi do przekonania, że mu się dzieje krzywda. A tu — ona u siebie boi się matki, ja w domu drżę przed żoną, miasto zaś przeraża nas oboje, bo to poczwara tysiącoka! sam nie wiesz, jak, gdzie, kiedy cię podpatrzą!... dentystę! z taką praktyką!!... Przytem ona jest tak skromna... Nie śmiej no się! Ja ją przecie zbałamuciłem... Popełniłem... bezczelność! A potem już naturalnie: stało się... To się najporządniejszej trafi.

— No dobrze, mój donżuanie, dobrze — ale cóż wreszcie z temi kleszczami, które, w rękach dentysty, przyznaj...?

...Ano tak. Matka jej (tej z plombą), jest głucha jak pień, śpi jak zabita i dlatego przestaje się zupełnie liczyć, skoro zaśnie. Kazał tedy przysyłać po siebie w nocy sługę (co miesiąc inną) z listem (który sam pisał) niby od chorego, co nagle zasłabł, po najbliższego lekarza. Kilka razy udało się, lecz potem żona nie chciała go więcej puszczać. Daremnie jej przekładał, że

odprawiając z niczem posłańców, ryzykuje swoją reputacyę lekarską... »Jesteś dentystą! wyszedłeś z praktyki, jeszcze komu zaszkodzisz. Zresztą nie powinieneś innym doktorom w ich działy wkraczać!« Był w rozpaczy!... Fortel, rozkuwający od czasu do czasu na parę godzin jego małżeńskie pęta, wymykał się. Wtem robi odkrycie!... Oto żona, jak głaz nieczuła na alarmy nocnego dzwonka, rozczulała się w jednym tylko razie: gdy wezwanie przychodziło od położnicy.

— Spostrzegłszy to, kupuję ja sobie natychmiast komplet instrumentów akuszera i odtąd przynajmniej raz na dwa tygodnie miewam w mieście między 11 w nocy a 7 zrana — jak dziś — jakiś nagły, ogromnie ciężki poród, po którym jedyny kłopot sprawia mi opowiadanie żonie coraz to innych przypadków, bo ty wiesz... ja przed rygorozum musiałem dać belfrom słowo, że poprzestanę na dentystyce... Lecz i na to znalazł się sposób: czerpię je z podręcznika akuszeryi, wykreślając tylko każdy opowiedziany, aby go nie powtórzyć dwa razy. Będę sobie nawet musiał niedługo zapisać książkę innego autora, bo w tej zapas ciężkich porodów jest już na schyłku.

— Więc nie myślisz się wcale poprawić lamparcie?

— Kiedy mi z tem tak dobrze!... To taka poczciwa facetka... Nieładna wprawdzie...

...Zaczął się rozwodzić nad jej cnotami, bezinteresownością (»daję jej wszystkiego 100 koron miesięcznie«), miłością, (podobny jest — wszak go pamiętacie? — wypisz, wymaluj: prosię). Wreszcie pokazał mi jej fotografię, tłómacząc: — »Noszę, bo sama mi ją dała, a to ujmuje kobietę. Patrz na te dobre usta... na tę skromną minkę...«

...Żem nie trzasnął śmiechem — a miałem już dobrze we łbie — istny cud... Bo i ja przecie — jak was tu wszystkich szanuję — nie bawiłem się wobec tej facetki w kamedułę, co prawda raz tylko, lat temu dwanaście (jeszcze na uniwersytecie), na jakiejś majówce rękodzielniczej, gdy deszcz, o zmierzchu, lunął z nienacka i wszystko, co żywe, w gąszcz dało dęba... Nie chełpię się zresztą tem zwycięstwem, które mi dał deszcz, noc, las, majówkowy nastrój, parasol i familijne skłonności tej facetki, pochodzi bowiem z rodu utrzymanek — jak są rodziny rogaczy, pyrotechników i koniokradów — a matka

jej już dwanaście lat temu znaną była w kołach młodzieży męskiej z surowych obyczajów za dnia, a absolutnej głuchoty i kamiennego snu nocą.

...Musiałem się trochę dziwnie wpatrywać w te »dobre usta« i »skromną minkę« na fotografii, które po tylu latach walki o byt jeszcze umiały się utrzymać w roli, bo Kazek zaczął: »Nie, nie myśl o niej nic złego. Ja ci za nią ręczę!... Trudno! Mąż się nie trafił, praca kobieca ciężka a mało niesie... Cóż ona ma robić?... Gdyby mnie nawet nie kochała — trzeba żyć!«

...Mówię wam: tam w stolicy (wiem to z ust pewnego urzędnika policyi) to takich skromnych facetek, sznurujących usta, którym się mąż nie trafił, praca za ciężka i za mało przynosi, a które jednak bez trudu mają pewną ilość koron miesięcznie i poręczenie cnoty z ust jakiegoś kogoś — jest tyle, że człowiek na ulicy na widok najskromniej spuszczonych dziewiczych oczu, nigdy na pewno nie może wiedzieć, kogo właściwie ma przed sobą: anioła — czy kokotę?

W gniazdku.

Szuft wracał do domu w ponurem przygnębieniu kopniętych, zakrzyczany, wyśmiany, obity, zbryzgany błotem zupełnej porażki, z zgromadzenia, na którem w ogólnym szale ludowych haseł, zgłosił czelnie swą kandydaturę poselską szumnem przemówieniem, napisanem mu przez najczerwieńszego z zaniedbujących szkołę dla reformowania świata żółtodziobów uniwersyteckich, jacy w danym momencie odchorowywali chłopięcą czerwonkę ideową, owładającą w wieku umysłowego ząbkowania tak gwałtownie marzycieli, nicponiów i głupców.

Całe ciało bolało zjedzonego rozpustą i opilstwem dryblasa od otrzymanych razów, nogi omdlewały od tego zajęczego galopa, jakim kandydat na posła ratować się musiał od dalszego ciągu bolesnych perswazyj wyborców, wołających za nim:

— Won!... Na swoje śmieci durniu!... Do młotków i szrubsztaka!... Posłować mu się chce!... Oślisko!... Paszoł!... Obejdzie się tu bez takich drabów...

...Szpara w drzwiach gmachu wybrańców niedość jeszcze była szeroką, aby się przez nią za próg można wślizgnąć prosto z rowu. I Szuft, który, wyjeżdżając z tłumioną wiarą w »a może się uda?...«, czuł już dreszczyki przyszłego reprezentanta ludu, zarabiającego 20 koron dziennie za siedzenie w fotelu i jeżdżącego kolejami za darmo — wracał z wyprawy z policzkującą nielitościwie świadomością, że jest i pozostanie tylko wzgardzonym przez szczęśliwszych urwiskiem ulicznikiem...

— Psiakrew!... — zgrzytnął nagle zębami z wybuchem tej samej andrusowskiej pasyi, z jaką zawsze przeklinał radykalne szopki, ile razy mu za nie wypadło kozę odsiadywać: — »Po co jo się w to świństwo dołem wciągnąć?! co jo z tej całej hecy mom?! — Żeby to wszystko raz szlag trafił!«

O ileż spokojniejszy, wygodniejszy był, zerwany niestety, stosunek z księdzem, któremu w młodości buty czyścił, płatał pauperskie psoty,

całował ręce i niejedną parę mało noszonych spodni zawdzięczał. Tam się było wprawdzie tylko pokornie u drzwi stać zmuszonym, nim bliżej poproszą, protegowanym czeladniczyną, istotą niższej rangi, ale nie brało się kijem i nie siadywało w areszcie, jak teraz w charakterze reprezentanta ludu, którego po za szpaltami partyjnego pisemka wszędzie traktowano niżej psa.

Dokąd tu iść?... Przeczucie szyderczych spojrzeń odpychało go od fabryki. Do domu?... Tam znów żona... Brr!... Twarz jej streszczała w sobie cały bezmiar brudu w przymusowem pożyciu dwu istot, skojarzonych przez obopólną, na swą pracę i zarobki, rachubę, w której kobieta używała swej płci za przynętę, a zostając matką nie z miłości, lecz przez spekulacyę, groźbami wlokła potykającego się na własnym tryumfie samca przed ołtarz, aby mu nazajutrz usty, uśmiechniętemi dotąd tak anielsko, na zapytanie: »Cóż będzie z tą pralnią, co ją miałaś założyć?...« parsknąć cynicznie w twarz: »To ty myślisz, że ja po to wyszłam za ciebie, żeby w pralni harować?!...« A potem — wyjąwszy krótkie chwile szału mięsa — całe lata kłótni i walki dwu uporów, dwu dzikości, dwu samo-

lubstw, dwu niewykorzenionych głupot — w których mężczyzna nastawiał rogów, naiwnie ufny w swe ustawowe prawa głowy domu, a kobieta brała go za nie, wygrywając bitwy niezwyciężoną przewagą kuli u nogi, plagi dozgonnej, złego, z którem liczyć się trzeba na każdym kroku, będąc odeń na każdym kroku zależnym.

Powlókł się jednak w końcu do domu... »Do dzieci...«

Po każdej pijatyce, burdzie, kozie, w wyhodowanej na bruku, dojrzałej w domach publicznych duszy Szufta budził się czuły ojciec, bachorami swemi zastawiający się przez zabobon, jak tarczą, przed karzącą za grzechy ręką losu, żałujący win, przysięgający poprawę, postanawiający żyć odtąd wzorowo, byle mu dla nich, dla jego drogich robaczków! żyć było wolno...

Kupiwszy trzy tanie, duże, pożywne, grubo zakurzone ciastka z serem w podrzędnym kramie z czerstwemi wybiórkami, kroczył do siebie w nastroju idylicznym, pozując sam przed sobą, po raz Bóg wie który, na cichego i dobrego człeczynę, pełnego najszlachetniejszych popędów, którego tylko złość ludzka sprowadzała dotąd na manowce, ale który nakoniec odnalazł prostą

drogę cnoty i obowiązku i odtąd tylko po niej kroczyć będzie.

Po przebyciu jednakże kilku piętr schodów, w pachnącej jak wychodek schludnością mieszkańców oficynce, czekała go niespodzianka, która w świeżo upieczonym dobrym człeczynie wskrzesiła natychmiast długoletnie bydlę.

Żony nie było. Dzieci, brudne, zasmarkane, powykrzywiane ohydnie, beczały w niebogłosy, podczas kiedy sługa obelgami i biciem daremnie starała się uciszyć potworki — wszystko to w pokoju pełnym dymu, smrodu, spalenizny, wśród podłogi zalanej wodą, użytą do gaszenia podpalonego przez bębny siennika, którego na pół zwęglony brzuch roztwierał przed przybyłym swe czarne wnętrzności.

Nastąpiło zatykanie wrzeszczących gęb dziecięcych ciastkami, policzkowanie sługi za niedozór i energiczne, wśród dosadnych obelg, śledztwo: co się stało z siennikiem? czemu Kubusiowi krew z nosa kapie? kto podbił Jadwisi oko a Frani podrapał policzek? gdzie pani poszła? etc.

Lżona i bita — wbrew humanitarnemu duchowi zasad socyalizmu — proletaryuszka, da-

remnie spróbowawszy się stawiać, zeznała wśród płaczu treściwie historyę pożaru, sińców, skrwawień i zasmarkań, czemu wszystkiemu, mając myć »tyła nacynia« mimo najlepszych chęci sama jedna zapobiedz nie mogła, skoro pani — zabrana przez »starsze panie« — poszła od dwóch godzin na wesele Masłowny.

Jeszcze jedno czułe pogłaskanie główek brudnych i śmierdzących aniołków, z których jeden przypominał wiernie brzydotę taty, drugi mamy, trzeci obojga, — jeszcze jeden giest groźby pięścią słudze z tekstem, poczynającym się od: »pamiętaj świnio jedna...« i Szuft, jak duch pomsty, puścił się, po trzy schody, na wesele Masłowny, wykańczając w głowie frazes: — »To ty się, szmato jedna, po weselach włóczysz, a dzieci tymczasem...«

Rozbawieni weselnicy przyjęli Szufta błyskiem graniatek, zmusili zaraz na progu wychylić kielich dystylatu, poczem przemocą zawiedli do tanecznej sali, gdzie przy dźwiękach harmoniki, na przestrzeni, mogącej z trudem pomieścić piętnaście spokojnie zachowujących się osób — piętnaście par tancerzy w kurzu, huku i pocie wiodło bój wściekły z prawami hygieny i fizyki.

Tu wydarto walcującą właśnie z wdziękiem Szuftową jej danserowi i wtłoczywszy ją gwałtem w objęcia męża, którego ręce świerzbiały, żeby ją wyłomotać, wbito oboje w zwarty karuzel taneczników, co wciągnął ich i uniósł, jak tryby maszyny, zmuszając przetańczyć raz przynajmniej do koła.

Ten jeden raz wszakże wystarczył, aby Szuftowa, wyszczypana w ciżbie palcami i wyszturkana kolanami męża, na widok jego wściekłych min i brzmienie owego tragicznego frazesu, zrozumiała, że zanosi się na jakiś gruby skandal, dla którego zmniejszenia, trzeba czemprędzej, acz z bólem serca, gody opuścić.

Mimo protestów całego »towarzystwa« ścigani drwiąco-zdziwionemi spojrzeniami matki Szuftowej, siostry i trzech ciotek — poszli, Szuft zaś zaraz na ulicy, rozwścieklony bardziej jeszcze kontrastem atmosfery weselnej z jego osobistem piekłem, począł zasypywać żonę z pod wąsa najbardziej szekspirowskiemi przezwiskami, jakiemi tylko zła żona, zła kobieta, zła matka natchnąć może język męża, który straciwszy widoki zostania posłem do rady państwa, szuka

w gniazdku rodzinnem deski ratunku dla swojej skołatanej duszy — tymczasem zastaje: co?...

Droga do domu była jednem pasmem wyrzutów, klątw i obelg, cichnących tylko, gdy wymijali przechodnia, któremi ją kopał bez żadnego oporu kobiety, po pierwszej próbie wykwintnego urażenia się z jej strony, bryzgnąwszy: »Stul pysk, bo ci w mordę dam«. W domu, na teatrze katastrofy, widok jej śladów jeszcze bardziej podniecił Szufta, którego usta tu, w swoich czterech ścianach, poczęły jak na popis ziać błotem, co wykarmiło niegdyś w dzieciństwie jego własną duszę i bez urojenia jednej kropelki przekazanem być winno spadkobiercom imienia, jako rodzinny skarb. Wtem — kiedy natchnienia jego wymowy były u szczytu i wszystko co żyło, żona, dzieci, sługa, kuliło się wylękłe po kątach przed gniewem pana i władcy — naraz drzwi się otwierają i wkracza: matka, trzy ciotki i starsza siostra żony — pięć śniadych i czarnowłosych, jak cyganki, wiedźm tego samego co i ona typu, cała jej straszliwa gwardya przyboczna, zawsze gotowa do boju z chłopem i niezwyciężona!

W tej chwili złamaną Szuftowę podrzuciło niby sprężyną.

— Chwała Bogu, że przychodziciel... — wykrzyknęła z dziką radością — inaczej nie wytrzymałabym już dłużej, co tu ten człowiek ze mnom wyrabia...

Szuft cisnął wszystkim sześciu jakieś gromkie przekleństwo — lecz tamte parsknęły śmiechem, syczącym jak kłąb żmij, i zaczęła się zgiełkliwa, ogłuszająca walka na języki sześciu kobiet, mających porachunki z tym gałganem od dnia, w którym zaczął unieszczęśliwiać ich Andzię — nie... od Adama i Ewy!... odkąd kobieta odkryła największego swego wroga na ziemi w mężczyźnie! Był on w ich ręku żołnierzem z przeciwnego obozu, co dostawszy się w ich moc, swoją skórą i głową odpowiadał za winy wszystkich swoich, za całą płeć, za to, że matka Szuftowej miała tylko trzech mężów, ciotki już, a siostra jeszcze — żadnegò, Szuftowa zaś sama, jednego tylko i to takiego!... Był jeńcem, którego się nie rozstrzela ani wiesza, lecz żywcem obdziera ze skóry i zwolna, długo przypieka.

Szuft, z śmiesznej junakeryi samca, co nie chce kapitulować, mimo, że wróg ten zawsze zadawał mu klęski, walczył jak lew. Ale czemże był jego jeden język, męski, dyletancki, wobec

ich półtuzina kobiecych! Został więc wyśmiany, wynicowany, zdeptany bez litości. Wykazano mu, jak na dłoni, że jest durniem, błaznem, waryatem, niedołęgą, bydlęciem i szubrawcem; nieszczęściem Andzi, wstydem jej rodziny, stokroć godniejszym stryczka od tych, których się na nim z urzędu wiesza. Daremnie wysilał krtań, wywijał pięściami, ciskał z oczu błyskawice, udając, o ile umiał, rozjuszonego tygrysa — one swoim zimnym śmiechem ulicznic parowały wszystkie jego cięcia.

— Cicho?... Właśnie!... Mamy na to patrzeć, jak ty się nad niom będziesz znęcał... Cóż z tego, że poszła na wesele!... To my jom wzieny... Na złość my jom wzieny!... Kobieta schnie!... Krokiem za próg!... Ludzie mówiom, że leży chora, bo jom mąż bije... Wszyscy tak mówiom!... Oj! żeby my były przed ślubem wiedziały!!...

— Jezusie! W wodę bym wolała, niż za mąż.

— Ja sama, choć matka, powiedziałabym jej: ady utop sie lepiej! Bo przecież i mój ostatni był pies, a tamte dwa — huncwoty, jakich mało... Ale takiego hycla chłopa!...

— Nikt wierzyć nie chce, jak opowiadać.

Zniecierpliwiony, wyczerpany, zachrypnięty,

uciekł się Szuft do ostatniego środka i z ochrypłym krzykiem wściekłości:

— Wiedźmy bestyjskie!... wynosić mi się zaraz! precz z mego domu!... — ruszył walecznie do najbliższej, aby ją własnemi rękoma za drzwi wyrzucić, a ponieważ się schowała za krzesło, sięgnął po nie, by tę przeszkodę usunąć. W tej chwili jednak wyrwały mu je i wszystkie w gwałt:

— Z krzesłem się porwał na ciocię!... z krzesłem!... Chciał ciocię zabić!...

Oniemiał na tę bezczelność, zachowując przez chwilę nieruchomość rzeźby. Potem nim wewnątrz tak coś szarpnęło, że tylko rzucić się i gryźć, drapać, mordować — nie tracąc słów. Naraz drzwi się otwierają na oścież — i ukazuje się sprowadzona zdradziecko przez jednę z ciotek, która zdołała się wymknąć nieznacznie, — właścicielka domu.

— Prosimy paniom gospodyniom, niech pani gospodyni sama zobaczy, że my tym hałasom nic a nic nie jesteśmy winne, tylko...

Usadowiona uroczyście, otoczona pełnemi dystynkcyi »wiedźmami«, poczęła przybyła do Szufta z wysoka:

— Proszę pana, ja tego dłużej nie mogę znosić... Lokatorzy się skarżą... Pańska własna rodzina się żali... Ja zapowiadam, że...

Dygocąc z gniewu i wzruszenia wybełkotał:

— Czego pani tutaj...? Jakiem prawem pani...

Szuftowa z całą swoją rodziną pospieszyła czemprędzej zaznaczyć dzielącą je od męża przepaść pełnem oburzenia mruknięciem:

— Grubjanin... parobek!...

— Zdaje mu się, że przemawia na zgromadzeniu! — dodała druga, żeby go dobić.

— On przecież na zgromadzeniach nigdy się nie odzywa! — zaostrzyła trzecia, znając jego słabe strony, aż ostatnia dokończyła okrutnie:

— Boby nie potrafił! — i wszystkie sześć parsknęły śmiechem, zabójczym dla miłości własnej wyśmiewanego.

— Milczeć!! — tupnął Szuft nogą, aż szyby brzękły. — A pani zapowiadam! nie pokazuj mi się więcej tutaj... bo...

— Bo co?... — zapytała właścicielka swobodnie z piedestału swej trzypiętrowej kamienicy.

— Bo co?!... — zawtórzyły zjadliwym chórem tamte.

Tu brakło już Szuftowi konceptu i werwy. Machnął ręką, splunął i wdziawszy kapelusz dla okazania im swej wzgardy, wybiegł z takiem trzaśnięciem drzwi, aż klucz wyleciał w zamku.

Przez chwilę kipiała w kandydacie na posła, gdy pędził przez mroki wieczora, mściwa i bohaterska myśl: zabić się!... zabić się, żeby tę hołotę zostawić na bruku bez chleba!... Lecz nie. Wnetby sobie upolowały innego, a jemu i w grobie nie dały spokoju, mówiąc z naigrawaniem: »jakie życie — taka śmierć!« Nie!... Należy żyć i używać!... a one — niech zdychają!...

W myśl tego maksymalnego programu poszedł z pierwszą spotkaną prostytutką używać przez resztę wieczora, skarżąc się na jej sercu na zawody, doznane w małżeństwie, poczem pełen nowej ochoty do życia, zaczerpniętej z tych chwil szczęścia, wziął ze zdwojoną werwą udział w jakiejś burdzie ulicznej, która jako polityczna demonstracya warstwy uciśnionych przekazaną została nazajutrz w wspaniałej szacie potomności przez skrzętnych kronikarzy radykalnego świstka.

Listek figi.

— Czy wiem, kto jest ten pulchny, rumiany brunecik w monoklu, z wypieszczonemi baczkami, taki wesół i pewny siebie, taki poprawny?... Wiem. Nazwisko — mniejsza o nie: zresztą... kokota.

...Sądziliście z manier, że to ktoś z arystokracyi?... Moi drodzy! Po pierwsze: to wcale nie przeszkadza — po drugie: cóż są maniery?... Manier, przy odróbinie fizycznej zgrabności, nabiera się w lustrze i u tancmistrza. W pierwszorzędnych restauracyach spotkać można płatniczych, co mają jeszcze lepsze, choć wcale nie rodzili się z hrabiów, nawet na lewą rękę. A skąd biorą maniery aktorzy, rekrutujący się przeważnie z łakomej lekkiego chleba czeladzi rzemieślniczej obu płci, a udający pysznie królów nawet?

...Wyobraźcież teraz sobie, że trutniowi, pod-

żeganemu wszystkimi apetytami egoizmu bez skrupułów, szepnie pewnego dnia kokota, fryzyer lub lustro:

— Pan to wygląda jak jaki hrabia!...

...Wyglądać jak hrabia — to już są szanse!... to jest już coś do spieniężenia na życiowej tandecie...

...Więc cel egzystencyi wytknięty! Nikt prędzej od karyerowiczów, tych, niewiadomo, bardziej śmiesznych czy nędznych, błaznów, trawionych żądzą wzbicia się choćby za cenę podłości i głupstwa, nie dochodzi do przeświadczenia, że świat — to teatr, na którego scenie »pozór« stanowi najpokupniejszy artykuł zbytu. Im błyskotliwiej się wydasz, tem drożej cię zapłacą, czemkolwiek byłbyś w gruncie rzeczy. Szczególna troskliwość należy się zatem frazesowi, pozie i masce. Bo aby mieć kurs dukata nie trzeba wcale nim być, dość jest nim się wydawać. Złoto i kamienie ulegają próbie dopiero w sklepach jubilerów — na ulicy przyjmuje się za prawdziwe wszystko, co jest jaką taką imitacyą. Dlatego to ulicę obrali sobie za teren działania: trybun ludowy i prostytutka.

...Taką jest geneza pięknych manier pulchne-

go bruneta w monoklu. Spytajcie go, który z lekkich sposobów dojścia do pieniędzy, to jest do szczytu życiowych marzeń, uważa za najlepszy? Oczywiście małżeństwo. Szaleńcy tylko wyłamują kasy, a głupcy pracują w pocie czoła. Świadomy życiowych dróg robi dziarską lub słodką minkę do łaskotliwej samiczki, a ona przynosi mu sama pełny wór za to, co mogłaby mieć o wiele taniej, gdyby nie była tak głupią. Legiony kokot płci męskiej kładą w ten sposób podwaliny przykładnych rodzin.

...Pewnego wieczora siedziałem za brunecikiem w cyrku i słyszałem następujące *credo*, wypowiedziane przezeń do towarzysza nie szeptem, lecz głośno, otwarcie.

— Widzisz w drugiej loży na lewo tę facetkę w białem boa?... Co za oczy! nos! usta! Perła!... co?... Tylko niech cię nie myli jej samotność, jak gdyby liczyła na towarzystwo dopiero po spektaklu. Nie. Dziś już nie. Ustatkowaliśmy się. Za to dawniej. Nawet niedawno jeszcze. Lecz dziś już — basta. Ida. Nie słyszałeś?... Ach! kąsek!... Ekskokota, której dostał się od ostatniego z nich za tę bagatelkę: jeden kroć!... Co za okazya do ożenku!... Ale to

jeszcze nic. Wyobraź sobie: suchotnica w ostatniem stadyum!... Nie wygląda?... Tak. Dzisiaj, i na odległość. Dlatego też wybrała się do cyrku. Ale patrz na ten kaszelek... o!... jak go maskuje wachlarzem... A rumieńce!... To skazana. Pytałem doktorów. Nie obiecują jej roku. Suchoty i... coś tam jeszcze. Bo to uważasz — jeden z nich, magnat, sypał na nią banknoty i te precyoza, do których babom oczy wyłażą. Drugi, goły, ale wściekle zakochany, zostawił jej ten kaszelek, te wypieki i... resztę, na co sam zadarł kopyta. Igraszka losu. Tymczasem ona — jak wszystkie takie — marzy o zamążpójściu; po porzuceniu zawodu, o zmianie firmy, co kładzie krzyżyk na przeszłość. Krzyżyk?... Powiedzmy raczej: listek figi. Sto tysięcy!... przy takiem orzeczeniu lekarzy — co za sposobność dla epuzerów.

...W parę miesięcy po tem otwarciu duszy był jej mężem, jej »listkiem«, a w drugie parę wdowcem. Nie zawiodły terminy ani kwota. Zawiedli tylko przyjaciele, te roje żółtodziobów, którzy lgnąc dawniej do parawanowych dowcipów i plotek bywalca w monoklu, odbiegli go naraz jak zapowietrzonego, gdy w jednem z pism

humorystycznych ukazał się pod jego adresem anons taki:

»Wyleczywszy się radykalnie z wszystkich »chorób po mej pierwszej żonie, szukam dru»giej. Wiek, uroda, wykształcenie, stosunki ro»dzinne, temperament, zdrowie, charakter, prze»szłość — i tym razem obojętne. Warunek ko»nieczny: majątek wartości 100.000 i dowody »nań. Oferty pod: »Listek figi«.

...Ktoś posłał mu numer. Przeczytawszy — wyjechał. Na zawsze?... Nie. Po co?... Na miesiąc.

...On wie, że języki ludzkie łakną nowości, że obrabiani przez ogół dzisiaj — jutro sami, wraz z ogółem, nowe ofiary obrabiać będą. On czuje, że w cywilizowanem społeczeństwie nie zważa się na to, jak ktoś do guldena przyszedł, lecz ile ich ma, i że nikomu na seryo nie zarzuca się wytartego czoła, które bywa najczęściej tylko figurą retoryczną w ustach największych szubrawców na pęstrach małych — nie przebacza się jednak pod żadnym warunkiem wytartych spodni, bo te są namacalną, smutną i istotnie — nie względnie tylko — nieładną rzeczywistością.

...Gdy przed miesiącem wrócił, złota młodzież odwróciła się doń tyłem, ponieważ skandaliczność jego małżeństwa była większą od zysku, jaki mu przyniosło. Zstąpił więc w sfery pozłacane. Wybrakowany trefniś paniczów wślizguje sie dziś w łaski półpanków, małpujących arystokracyę, i czaruje swemi manierami damulki z burżoazyi wątpliwej konduity, więc wdzięczne bez granic każdemu, gotowemu kompromitować się publicznie u ich boku. Eksogon hrabiów Kocia i Jasia jest dziś w parweniuszowskiej kloaczce równie popularnym meblem na popis, jak koń, na którym jeździł hrabia X., kokota wytrenowana przez barona Y., albo waterklozet, podniesiony do godności szlacheckiej czasowem oddawaniem usług księciu Z.

.. W olbrzymiej galeryi łowców posagowych, tych rodzonych braciszków nierządnicy, dla których miłość jest tylko formą operacyi finansowej lub »epizodem« bywają mniej i więcej krańcowi plugawcy. Naszkicowałem profil jednego z nich jako próbkę, czem są wszyscy.



SPIS RZECZY.

